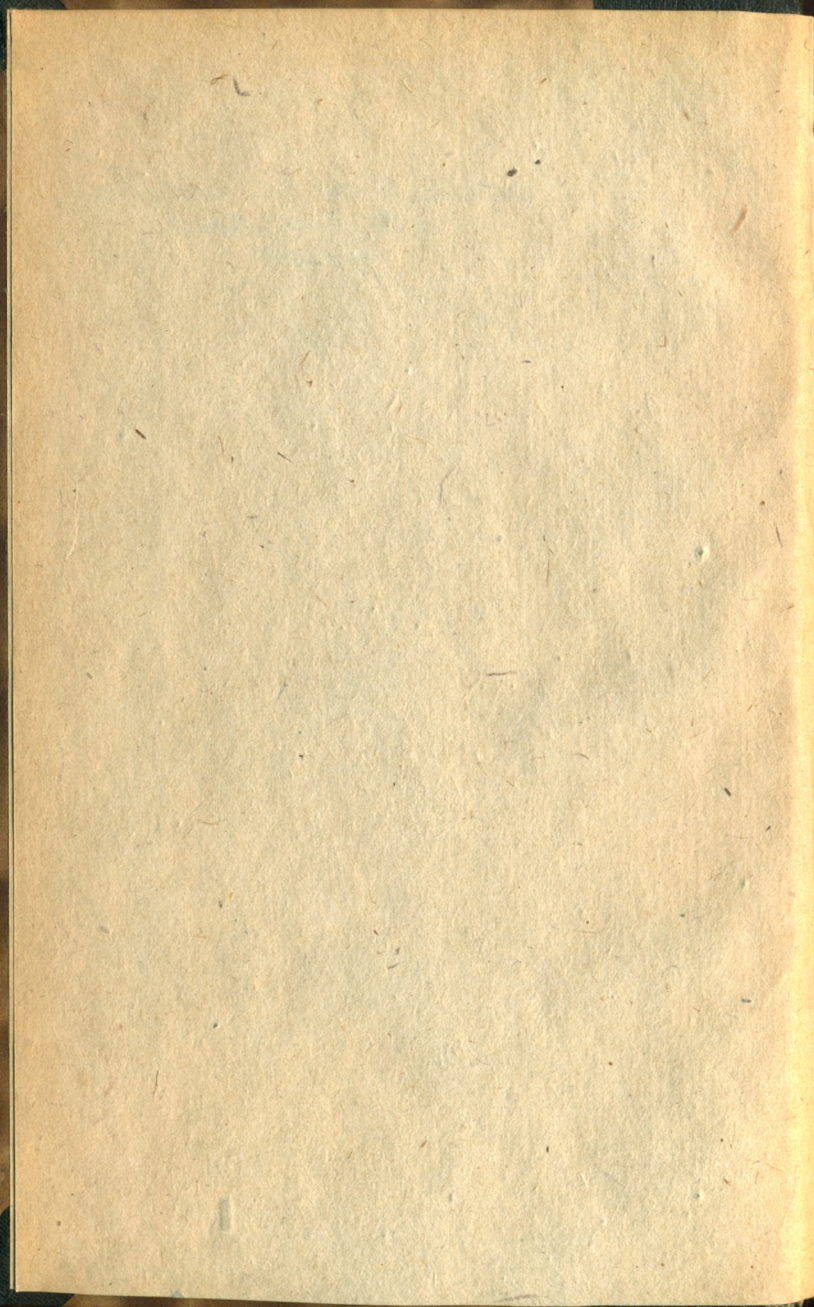


~~Akademia Lekarska w Gdansku
Zakład Historii i Filozofii
Medycyny~~

~~I. 78~~

9214

Bill.



John Stuart
MILL

~~Akademia Lekarska w Gdansk
Zakład Historii i Filozofii
Medycyny~~

↓
Druk S. Dębskiego w Łodzi, Mikołajewska № 39.
↑

Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“.

Klasyki Filozofji.

VI.

Samuel Saenger.



JOHN STUART MILL

Przełożył z niemieckiego

Antoni Krasnowolski.

~~Akademia Lekarska w Gdańsku~~

~~Zakład Historii i Filozofii~~

~~Medycyny~~



~~I. 78.~~

WARSZAWA

Skład główny w księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

9214

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
гор. Варшава 16 Марта 1904 года.



1998 D.87 / 56

~~211477~~

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Wstęp.

Szereg przodków filozoficznych, których uczniem jest John Stuart Mill, rozpoczyna się od Franciszka Bacona i Hobbesa a prowadzi poprzez Locke'a, Berkeley'ego, Hume'a, asocjacionistów angielskich Hartley'a i Priestley'a, poprzez „oświecicieli“ francuskich, grupujących się około Helvetiusa, przedstawicieli t. zw. filozofji szkockiej Stewarta, Browna, Reida, Fergusona, Smitha aż do Bentham'a, do ojca jego Jamesa Mill'a, a w ograniczonym zakresie i do Augusta Comte'a.

W tym szeregu przeważają empirycy, sceptycy, naturaliści i pozytywiści; a więc—aby ominąć zarośla terminologiczne—wszyscy ci, którzy z opracowania danych w jakikolwiek sposób poznawalnych usiłowali wytworzyć poznanie, oparte na pojęciach. Podstawą ich wspólności myślowej jest, obok walki z arystotelizmem, scholastyką i mżonkami metafizycznymi, kierunek ku temu, co pożyteczne: coraz to świadomszemi stają się próby rozwiązania zagadnień filozofji teoretycznej, a więc—zagadnień, dotyczących począt-

ku i wartości naszego poznania, dotyczących przedmiotu i środków poznawania, oraz określeń logicznych naszych sądów o prawdzie i określeń psychologicznych naszych sądów o wartości—z pomocą metod, wypróbowanych w naukach poszczególnych.

W tym szeregu uwydatniają się szczególnie Hume, Berkeley, Bacon i Hobbes, jako najbardziej zbliżeni do Milla; zanim więc przedstawię bardziej bezpośrednio ich wpływy i stosunki, choć w kilku słowach scharakteryzuję sposób ich oddziaływania na Milla.

Jako historykowi, Mill wprawdzie zarzuca myślicielowi szkockiemu brak zamiłowania prawdy i szczerości, ale od filozofji jego stanoweżo otrzymał niejedną pobudkę. Hume jest drugim myślicielem „kontynentalnym“ w filozoficznym szeregu poprzedników Milla (list do Comtea z d. 5. X. 44). *Zdawało mu się*, że podziela jego nominalizm, jak również i nominalizm Berkeleyya (DD IV, 156)*) i Hobbesa, w rzeczy samej był jednak raczej konceptualistą (porówn. Hume-Studien Meinonga, I, 249 i nast.). W teorii poznania Humeowska ocena postrzegania i wyobra-

*) Powołując się na dzieła J. St. Milla, autor oznacza literami WW—wydanie jego dzieł zbiorowych, które wyszło nakładem R. Reislanda w Lipsku 1869 i nast.; literami S W H—oznacza główne jego dzieło krytyczne: „Examination of Sir William Hamiltons Philosophy.“ Lond. 1865, a literami D D—„Dissertations and Discussions,“ Lond. 1859—74; 4 tomy.

zania wywarła i na J. St. Milla wielki wpływ. Wyobrażenie (ideę) nawet w najwyższych jego postaciach, w pojęciach stosunku (jak pojęcie przyczynowości i in.) uważa za dalszy *pochodnik* materji myślenia, t. j. spostrzeżeń zmysłowych; w tym, co nazywamy doświadczeniem, przeważa pierwiastek zmysłowy, wrażenie („im—pression“), a więc umysł zachowuje się w sposób odbiorczy, jest machiną rejestrującą również i dla *stosunków* wyobrażeń. W późniejszych latach przyznawał umysłowi „zgodność“ (conformity), uważał go za władzę czynną, określającą formę poznania; tak usiłował poprawić błąd psychologii asocjacyjnej (D D 119 i nast.). Jego wywody jednak sprawiają przeważnie wrażenie, jak gdyby pojęcia *stosunków* stanowiły jedynie połączenia asocjacyjne, jak gdyby w wytworzonych przez nie połączeniach wyobrażeń nie było nic apriorycznego; poznanie rzeczywistości ma być zawsze aposterioryczne, ma z treści i formy pochodzić z doświadczenia. Tym sposobem pogląd Humea na zagadnienie przyczynowości jest dla niego wzorem, przyczym nie zawsze udaje mu się ustrzec swego zapatrywania od niedorzeczności (o tym zob. poniżej: Rozdział trzeci, 9). Ważne rozróżnienie Humea pomiędzy sądami o faktach a sądami o czystych *stosunkach* wyobrażeniowych (czyli pojęciach), jakie zachodzą n. p. w matematyce, Mill, jak się zdaje, przeoczył; i w matematyce umysł nie jest dla niego produkcyjnym;

ale często zbliża się do prawdziwego poglądu (porówn. rozdz. III, 10). W etyce dzieło Milla „Utilitarianism“ czyni nieraz wrażenie, jak gdyby było dalszym ciągiem Humea „Inquiry concerning the principles of morals“, ale ich teorie moralności zawierają również znaczne różnice. A również i w dziełach religijno-filozoficznych obydwu pisarzy nie mogą dostrzec tak blizkiego pokrewieństwa, jak n. p. F. Jodl; są one z ducha i z litery stanowczo różne i wykazują, jak bardzo Mill w swej ocenie religii pozytywnych sprzeniawierzył się 18. stuleciu (porówn. Jodl, Geschichte der Ethik in der neueren Philos. II 454; 469).

Pod względem głębokości i trwałości wpływu na J. St. Milla, biskup Berkeley bynajmniej nie ma mniejszego znaczenia od Humea; owszem, nasz filozof stawia nawet Berkeleya ponad wszystkimi wielkimi myślicielami bez wyjątku, ponad Platonem, Hobbesem, Lockem, Hartleyem, Kartezjuszem, Spinozą, Leibnizem i Kantem. Bo żaden z tych wielkich, jak powiada Mill (D D IV, 155 i nast.) nie zbogacił filozofji trzema „odkryciami“ pierwszorzędного znaczenia: 1. nauką, że najważniejsza część naszych spostrzeżeń wzrokowych (wielkość, kształt, oddalenie) jest nabyta i wywnioskowana; 2. zrozumieniem, że niema wcale wyobrażeń ogólnych (general, nazywanych przez Milla także błędnie abstract ideas); 3. poznaniem tego, co nazywamy światem zewnętrznym (externality), materją, postrzeżeniem zmy-

słowym, wyobrażeniem. Słowem: Mill zawdzięcza Berkeleyowi swój fenomenalizm, swą wiedzę o przedmiocie poznania (zob. rozdz. V). Hume ma raczej znaczenie dla jego krytyki poznania naukowego, a zwłaszcza przyczynowości. Mill jednak odrzuca Berkeleyowskie tłumaczenie spirytualistyczne spostrzegania. Podobny jest jego stosunek do Browna. Jako psychologa sławi go w liście do Comtea, jako tego, który nakreślił najświetniejszy obraz „ducha pozytywnego“ (esprit positif) w rozprawie „Cause and Effect“; Brown, jako metafizyk, niebardzo go interesuje. Dlatego pociągało go też szczególnie poczucie faktów, cechujące Bacona. Mill wychodzi wprost od renesansu filozoficznego, uosobionego w Baconie; oczarowały go jego świeży zmysł, zwrócony ku opanowaniu przyrody, jego duch, dążący ku temu, co praktyczne, co bezpośrednio może być użytkowane i zastosowane, jego wiara w potęgę badania, w postęp i w zdolność człowieka do poprawy. Co do szczegółów, jest mu wdzięczny za to, iż nauczył ludzi iść za doświadczeniem i opierać swoje wnioski nie na dogmatach metafizycznych, lecz na faktach (Logika, VI 7, 1, str. 284). Również i zasługi Bacona około wyjaśnienia ogólnego charakteru indukcji, jako narzędzia prawdziwego postępu naukowego, znalazły u Milla wyraźne uznanie. Indukcję starożytnych, powiada Mill (3, 3, 2) Bacon słusznie przedstawił jako „inductio per enumerationem simpli-

cem, ubi non reperitur instantia contradictoria“, jako nienaukowy sposób uogólniania, jako bierny sposób badania przyrody, jako „proste macanie“. Bacon, jak powiada Mill, w zasadzie wypowiedział konieczność zadawania przyrodzie pytań, segregowania ogromnej różnorodności, którą przyroda nieproszona przedstawia i na której opierają się naiwne uogólnienia, oraz konieczność zabezpieczenia uogólnień od możliwości choćby jednego wypadku sprzecznego. Na podstawie tej jego zasługi Mill nazywa Bacona, sprawiedliwszy w tym od nowszych filozofów i przyrodników (Liebig, Lasson), *ojcem filozofji indukcyjnej*; wszak własne jego stanowisko logiczne nazywają „nowo-bakońskim“ (H. Sidgwick, *Fortnightly Rev.*, vol. 21 p. 652). Co prawda, z wielkiego pana, jaki się odzywał w Baconie, z jego zamiłowania przepychu i blasku, retoryki i frazesu—w skromnym myślicielu wieku 19. niema ani śladu. Ale zato znów go pociągał w Baconie prawnik, polityk i historyk.

O wpływie Tomasza Hobbesa (1588—1679) na Johna Stuarta Milla trudno sobie wyrobić dokładne wyobrażenie. W dwunastym roku życia poznał jego *Computatio sive Logica*, „dzieło, pod względem głębokości myśli o wiele wyższe od zwykłych logik szkolnych“ (Autobiografja, przekł. niem. K. Kolba, str. 15); ale sądzi, iż ojciec jego, James Mill, przeceniał to dzieło. W każdym razie w nielicznych miejscach, gdzie o nim mó-

wi, uważa go za wybitnego myśliciela (n. p. Logika, 1, 2, 2 str. 6; w polemice w rozdz. 5). Poszczególne punkty wpływu Hobbesa są mniej więcej następujące: nominalizm: ogólność przysługuje nazwom, a nie wyobrażeniom czyli ideom; atomistyczne rozpatrywanie (nie pojmowanie) duszy w psychologii; idealistyczne (fenomenalistyczne) tłumaczenie postrzegania: świat cielesny obiera z dodatków podmiotowych, z jakości zmysłowych, i pozostawia mu tylko takie własności, jako rzeczywiste, które są konieczne do wyobrażenia sobie ich wzajemnego oddziaływania na siebie i ich wpływu na narządy zmysłowe, mianowicie: masę i ruch (Tönnies, Hobbes, str. 120); nareszcie stanowisko utylitarne w etyce, jako też świadome przeniesienie metod naukowych do traktowania zagadnień społecznych, przyczym, jak się zdaje, największe wrażenie wywarł na Milla nie surowy i trzeźwy umysł, z jakim Hobbes je podejmuje, ani też zupełny brak złudzeń w jego ideałach, lecz pozytywizm jego zamiarów. W korespondencji swej z Comtem (5. X. 44, str. 357) Mill nazywa go myślicielem *kontynentalnym*; ma to być pochwałą i ma w przeciwieństwie do wyspiarskich uprzedzeń innych filozofów *angielskich*, jak Locke'a, Berkeley'a, Hartley'a, Coleridge'a, „nawet Bentham'a“, uwydatnić jego brak uprzedzeń i przesądów. Pominąwszy te punkty ogólne, obydwaj mężowie zupełnie się różnią temperamentem i charakterem. Przed-

czyli, jak się wyraża w korespondencji z Comtem, negatywnej metafizyce prowadzi ze względów użyteczności, ponieważ ona zdaniem jego swojemi pustemi istnościami wywołuje zamęt w głowach, powstrzymuje prawdziwą oświatę i sławia zaporę rozszerzeniu „ducha pozytywnego“. Mill nie potrafi wcale zajmować się filozofją inaczej, jak ze względu na ostateczne i najwyższe nasze cele kulturalne, a filozofja społeczna (socjologja, nauka o społeczeństwie), oparta na podstawie epistemologicznej, stanowiłaby przeto właściwe zakończenie systematyczne wszystkich jego prac filozoficznych, politycznych i społeczno-ekonomicznych, ciężących ku niej, jako ku swemu naturalnemu środkowi. Do tego, niestety, nie doszło; ale że do takiego dzieła zmierzały wszystkie jego usiłowania filozoficzne, o tym świadczy ponownie i w sposób przekonujący jego korespondencje z Comtem, niedawno ogłoszona (1899). Jego własne usposobienie, wycnowanie przez tak praktycznych myślicieli, jak James Mill i Bentham, oraz znajomość z kierunkiem rozwojowo-historycznym myślicieli kontynentalnych (Coleridge, jako pośrednik niemieckiej filozofji dziejów; Carlyle; Saint-Simoniści; Guizot; Al. de Tocqueville) usposobiły go do przyjęcia głównego przekonania Comtea: „Niema nic bardziej rzeczywistego, jak ludzkość, dlatego dopiero nauka o społeczeństwie zaprowadza prawdziwą jedność filozoficzną“ (Socjologja, wyd.

Rigolage, str. 419); to przekonanie górowało wciąż nad jego myślami.

Punkt widzenia socjologiczny tworzy zatem naturalny drogowskaz poprzez wielostronność dzieł Milla.

Tyle w celu pierwszej orientacji. Nie będziemy się teraz dziwili dwom zjawiskom: ani temu, że pośród dzieł Milla czysto filozoficzne ustępują co do liczby, chociaż nie co do znaczenia historycznego, a silnie przeważają polityczne, publicystyczne i społeczno-ekonomiczne; ani temu, że z pośród mężów, którzy wywarli stanowczy wpływ na jego rozwój filozoficzny, pierwsze miejsce zajmują dwa umysły wybitnie praktyczne: Jeremy Bentham i James Mill. O Benthamie pomówimy, kiedy mówić będziemy o jego roli w życiu Milla; Jamesowi Millowi zaś, ojcu, wychowawcy i nauczycielowi filozoficznemu, poświęcić musimy w tym miejscu choć kilka słów. Przez obydwuch tych mężów John Stuart Mill wiąże się z tradycją historyczną; ich nauka tworzy niejako ramy, w których nasz filozof umieścił później, doszedszy do dojrzałości, rozszerzony i zmieniony zakres swego poznania, jaki mu się udało osiągnąć.

Po śmierci Benthama (1832) James Mill został uznaną głową Benthamitów i filozofów radykalnych, walczących w parlamencie i prasie (zwłaszcza w bardzo wpływowej „Westminster Review“) za swe wspólne przekonania podsta-

wowe. Został, jak o tym świadczą najkompetentniejsi pisarze, ich głównym rzecznikiem w owych pamiętnych czasach, ważnych pod względem politycznym przez emancypację katolików (1829), pierwszą reformę parlamentu (32), zniesienie ceł zbożowych i zaprowadzenie wolnego handlu (46), reformę więzień (Bentham; Howard), reorganizację praw o ubogich, zniesienie niewolnictwa (Wilberforce, Zachary Macaulay, Bentham), dalszy rozwój szkoły ludowej Bell-Lankasterskiej i inne reformy podobne. Nastają wolniejsze, bardziej oświecone formy myślenia, torujące przejście do demokracji samorządu. James Mill należy wraz z Benthamem i Ricardem do mężów, którzy stworzyli nowożytną Anglję.

Jest zresztą rzeczą ciekawą, że Bentham starszego Milla nazwał ojcem duchowym Ricarda; jemu w każdym razie zawdzięczamy, że bystry, ale nieśmiały i skromny bankier wydał swoje „Zasady ekonomji politycznej i opodatkowania“ (1817), które stanowią epokę i których dwie naczelné nauki: teorię wartości i teorię renty grunтовой, przyswoił sobie John Stuart Mill.

Z większych prac Jamesa Milla dwie są podziśdzień znane w szerokich kołach: „Historja Indji“ i „Analiza umysłu ludzkiego“ (Analysis of Human Mind), której drugie wydanie, uskutecznione przez syna (1869), dla zaznajomienia się z przekonaniemii psychologicznemi Johna Stuarda Milla ma wielkie znaczenie. Również i w lo-

gice często przytacza się tę Analizę, n. p. przy sposobności teorji względności i nauki o abstrakcji, i uważa się ją za jedno z najważniejszych dzieł literatury filozoficznej; jest to ocena, utrzymująca się nie tylko w Anglii (Bain I, 412 i nast.)*); tak nazywa to dzieło Meinong (Hume-Studien II 633) jednym z najważniejszych ogniw pośrednich w rozwoju empiryzmu angielskiego i mówi o bystrym poglądzie analitycznym autora na usługach, „rzec prawie można, w niewoli“ hipotezy asocjacyjnej. Rzecz zadziwiająca, jak i syn pozostaje w tej niewoli. Z innych prac, wydanych w formie książek, Zasady ekonomji politycznej i dzieło o rządzie jeszcze większy mają rozgłos. „Zasady“ powstały z rozmów, prowadzonych między Jamesem Millem a synem jego w czasie przechadzek. Historję Indji Macaulay uważa za największe dzieło historyczne w języku angielskim od czasów Gibbona. Dzieło to utorowało Jamesowi Millowi drogę do zarządu Indji, któremu później i syn się poświęcił; ojciec należał do niego od r. 1819 aż do śmierci, pod koniec jako główny kierownik. Mając byt zapewniony, działalność swą jeszcze rozszerzył, zdobywając wciąż nowe wpływy, dążąc w życiu publicznym Anglii do oświaty i postępu.

Jak rozumiał oświatę i postęp, to wyluszczał od r. 1824 w głównym organie Benthamiz-

*) Przytoczenia: Bain I, Bain II dotyczą dzieł Baina, poświęconych obydwom Millom. Przep. tłum.

mu, w „Westminster Review“. James Mill jest przedstawicielem „negatywnego“ (Comte), liberalistycznego, czyli, jak dziś byśmy rzekli, anorganicznego pojmowania państwa: państwo istnieje dla obrony prawa i własności, o którą zwolennikom Jamesa Milla i Ricarda bardzo chodziło: za środek ku tej obronie uchodzi przedstawicielstwo klas średnich, panowanie większości zamożnej, której interes jest identyczny z interesem państwa, t. j. wszystkich. W określeniu rządu reprezentacyjnego („block to misrepresentation“) brak określeń pozytywnych. Wiara, że różne *wolności*: wolność handlu, wolność przemysłu (od r. 1835), wolność stowarzyszeń (od r. 1869 uznana prawnie, choć faktycznie istniała już dawniej), obok rękojmi, wytworzonych przez dobry system reprezentacyjny, dla dobrego prawodawstwa, przywróca harmonję pomiędzy sprzecznymi interesami, ta wiara wyraźnie się łączy z temi poglądami i pozostaje w związku z walką, podjętą przez Ad. Smitha, przeciwko kastowości porządku feudalnego, przeciwko państwu klasowemu, systemowi ceł ochronnych i ustrojowi cechów, osądzonemu wraz z nastaniem maszyn (James Watt 1769, Hargreavea „przędąca Joasia“ 1784, Arkwrighta maszyna przędzalna, Crompton, Cartwrighta mechaniczny warsztat tkacki 1787). Takie zasady wymagają kodyfikacji prawa; James Mill, idąc w ślady mistrza swego, Benthama, wiele o tym pisał i kreślił plany „systematu praw-

nego". Pozytywne zadania, pozostawione przez Benthamitów państwu, wywodzą się z ideału humanitarności 18. stulecia: równość wszystkich, także i murzynów, wobec prawa, tolerancja religijna, staranie o ubogich i więźniów. Osobnik, wyzwolony z wszelkich pęt przymusu i opieki policyjnej, otrzymuje ze strony państwa i społeczeństwa tylko idealne uzbrojenie do walki materialnej: przez wychowanie, oświatę i wykształcenie, których rozszerzenia i organizacji domagają się radykałowie filozoficzni. We wszystkim tym tkwi wiek osiemnasty, występujący również tak charakterystycznie w ich określeniach politycznych: ponieważ człowiek kieruje się jedynie interesem, więc forma rządu powinna być zależna nie od niepewnego doświadczenia historycznego, lecz od natury człowieka i jego obecnych potrzeb. W swym pojmowaniu natury ludzkiej James Mill ma poprzedników w Hobbesie i D. Hume („in contriving any systems of government... every man ought to be supposed a knave"). Przeciwno tej dedukcji apriorycznej wystąpił energicznie już młody Macaulay (w *Edinb. Rev.* 1829) i zalecał postępowanie historyczno-indukcyjne; Mackintosh jak najostrzej potępił wywodzenie „ogromnej mnogości faktów politycznych jedynie ze sprzeczności interesów materialnych;“ młodszy Mill stanął po ich stronie i później w swej *Logice* (Ks. 6) uwydatnił błędy metody abstrakcyjnej czyli geometrycznej na fi-

lozofji interesów, głoszonej przez Benthama i jego ojca. W kwestjach wychowania przeciwnie ojciec i syn się zgadzali; obydwaj wierzą w jego wszechmoc. Pod tym względem młodszy Mill zachowuje tradycje osiemnastego stulecia. Tak czytamy w pozostałym po nim Essay o pożytku religji, że potęga wychowania nie ma granic; zdaniem jego niema ani jednej skłonności naturalnej, którejby wychowanie nie zdołało zatamować i w razie potrzeby przez odzwyczajenie zniszczyć. Nadzieja, jaką pokładał w swej „etologii“ (zob. powyż. str. 12, list do Comtea), polega na tym przekonaniu, jak również jego predylekcja do Helvetiusa.

Streszczając się, możemy powiedzieć: przez swego ojca John Stuart Mill łączy się z tradycją asocjacyjno-psychologiczną angielską, jako ekonomista narodowy łączy się z Ricardem, jako logik formalny z Hobbesem, w sprawach wychowania ludowego i ogólnych ideałów humanitarnych z oświeceniem 18. stulecia. W sprawach ustroju państwowego James Mill i jego uczniowie usiłowali uzasadnić państwo przemysłowe i handlowe, a więc panowanie burżuazji (w znaczeniu, nadanym jej przez Saint-Simona i Marxa). Ulegali złudzeniu, że przez to popierają interes ogółu; nie domyślali się, że byli tylko przedstawicielami pewnej klasy, ponieważ burżuazja, azeby dojść do panowania, musiała występować w obronie ideałów humanitarnych o znaczeniu nieograni-

czonym. Prawie we wszystkich tych punktach John Stuart Mill wychodzi poza stanowisko swego ojca, poza stanowisko 18. stulecia. Wobec prawa terażniejszości, które wyłącznie uwzględniali reformatorzy społeczni, grupujący się około Bentham'a i Jamesa Milla, jak gdyby ono po wszystkie czasy i w każdym miejscu pomagało do zaprowadzenia słuszności, John Stuart Mill nie zapominał znaczenia przeszłości (zob. rozdz. II, 3); co tamci pojmowali bezwzględnie, to on brał względnie; co dla tamtych myślicieli, uprzedzonych pod względem prawa przyrodzonego, miało wartość wieczystą, to dla niego zależało od warunków historycznych. Tamci zmierzali do statyki, on do dynamiki społeczeństwa, aby wykryć prawa rozwoju ustrojów społecznych. Dlatego też uznał, że rozwój polityczny nie może się zatrzymać na emancypacji burżuazji, ale zarazem i to, że demokracja, aby zachować swą żywotność i uniknąć bezrządu panowania mas, musi się zorganizować. Do tego miała się przyczynić i *logika*: jej zadaniem miało być wysłędzenie praw rozwoju historycznego, w dziedzinie zaś czysto naukowej uzasadnienie nauki o metodach. W całej tej książce starać się będziemy wykazać ten dalszy rozwój syna poza stanowisko ojca. Ale tylko raz, i to chwilowo, w czasie swych uprzedzeń pozytywistycznych (zob. rozdz. II, 6) syn uświadomił sobie zupełnie swoje przeciwieństwo do tradycji kontynentalnych, odzie-

dziczonych po ojcu (list do Comtea z 5. X 44); poza tym przeważało nawet tam, gdzie najbardziej się oddalał od literalnego brzmienia nauk tej tradycji, poczucie łączności z nią i przeświadczenie, że sam z pomocą nowego poznania, wytworzonego przez czas, współdziałał w celu urzeczywistnienia ideałów humanitarnych, przyświecających wszystkim czasom. Pod tym względem John Stuart Mill pozostał zawsze synem 18. stulecia, synem swego ojca.

ROZDZIAŁ DRUGI.

I. Młodość i pierwsze wychowanie.

John Stuart Mill urodził się 20 maja r 1806 w Londynie. Był najstarszym z dziewięcior-ga dzieci. W trzecim roku życia uczył się po grecku; według najwcześniejszych wspomnień musiał się uczyć na pamięć całych szeregów słówek greckich, które ojciec wraz z ich znaczeniem angielskim wypisywał na karteczkach. Potym uczył się deklinacji i konjugacji; tak uzbrojony, czytał bajki Ezopa, a nieco później Anabazę Ksenofonta. Potym nastąpiły w przeciągu czterech lat: Cyropedja i Memorabilje Ksenofonta, Herodot, urywki z Dyogienesesa Laertiosa i Lucjana, dwie mowy Izokratesa i sześć dyalogów Platona; a z angielskich historyków: Robertson, Hume, Gibbon, Watsona Filip II i ulubiona jego książka, Filip III, Hookea Historja Rzymu, Rollin w przekładzie angielskim, Langhorna Plutarch, antypapieskiego Burnetsa (1643—1715) Historja jego czasu, a nareszcie t. zw. „Rejestr roczny“, dzieło perjodyczne, obejmujące najważniejsze zdarzenia roku; potym opisy podróży Ansona, Cooka, Robinson Crusoe, Tysiąc i jedna Noc,

Don Kichote, Opowiadania miss Edgeworth i t. d. To wszystko przeszedł w czterech pierwszych latach życia, lekturę angielską tylko mimochodem, bo o tym musiał ojcu zdawać sprawę na przechadzkach. Równocześnie młody uczony ćwiczy się we własnych kompozycjach: owoce czytania streszcza w opowiadaniach o narodach starożytnych i nowożytnych. Pewna dama, zaprzyjaźniona z rodziną Millów, otrzymała jedną z tych pierwszych prób literackich, w której półsiódmaletni autor okazuje wielki zmysł do ugrupowania treści i żywy, dziarski styl; małe i proste zdania są już logicznie powiązane zapomocą spójników.

Równolegle z greckim uczył się i arytmetyki; tę naukę pobierał wieczorami, i Mill przypomina sobie, iż odczuwał przy tym „niechęć“.

Skończywszy osiem lat, zaczął się uczyć po łacinie, czytać poetów greckich, a naprzód Homera, studjować geometrję podług Euklidesa, a algiebrę podług Eulera. To oznaczało dla niego pewien zwrot: bo odtąd uważano go za dostatecznie dojrzałego, by uczył swą siostrzyczkę, o dwa lata młodszą od niego. Lektura łacińska od roku ósmego do dwunastego obejmowała po kolei: Bukoliki Wirgiljusza, sześć pierwszych ksiąg Eneidy, Horacego z wyjątkiem epod, bajki Fedra; pięć pierwszych ksiąg Liwjusza, do których niezmordowany chłopiec z zamiłowania przedmiotu dodał resztę pierwszej dekady; potym Salustjusza, Przemiany Owidjusza; niektóre komedje Te-

rencjusza; kilka ksiąg Lukrecjusza; kilka mów Cyncerona, oraz jego „De Oratore“ i listy do Atyka, nareszcie prawie wszystko, co posiadamy z dzieł Tacyta, Kwintyljana i Juwenalisa. Z autorów greckich czytał: całego Homera, niektóre dramaty Sofoklesa, Eurypidesa i Arystofanesa; całego Tucydydesa; Heleniki Ksenofonta; prawie całego Demostenesa, Eschinesa i Lizjasza; Teokryta, Anakreonta, część Antologii i wybór z Dyonizjusza; kilka ksiąg Polibjusza, a na koniec Retorykę Arystotelesa. Jako lekturę prywatną, czytał w tym okresie zwłaszcza dzieła historyczne, między innymi i o historii urzędów państwowych; zamiast drogowskazu, dał mu ojciec ostrzeżenie przed uprzedzeniami arystokratycznymi, a kiedy John pomiędzy jedenastym a dwunastym rokiem życia za wzorem Tookeya i na podstawie tradycji Liwjusza i Dyonizjusza sam opracował *Historję rzymskich zasad państwowych*, wtedy, jak powiada—rzecz to znamienna—stał po stronie rzymskiej partji demokratycznej.

W tym tak zadziwiającym planie wychowawczym ćwiczenia historyczne były dobrowolne, a *układanie wierszy* obowiązkowe. Prozodji języków starożytnych John się nie uczył, ale uczył się prozodji angielskiej. Zachęcony wierszami Popea w przekładzie Iljady, rymował najpierw z zamiłowania, a potem na komendę. Ojciec, który zwykle był skąpy w uzasadnianiu tego, czego żądał od swego wychowanka, zalecał mu



układanie wierszy z dwóch powodów, bardzo dla niego charakterystycznych: popierwsze, ponieważ zdaniem jego niektóre rzeczy dają się lepiej i dobitniej wyrazić mową wiązaną, niż prozą; ale głównie dlatego, że ludzie przywiązują do wierszy najczęściej niezasłużoną wartość, że przeto warto ćwiczyć się w nich, aby móc rozmawiać z ludźmi w języku dla nich dostępnym. Czytanie poetów angielskich pozostało w tym czasie w stosunku do zakresu całej lektury bardzo ograniczone. Szekspira czytano dla historii; ojciec podnosił swój głos ostrzegawczy przeciwko jego ubóstwianiu. Równocześnie chłopiec poznał wysoce czonego Milтона, Goldsmitha, Burns'a, Graya, Spencera Królową wieszczek, romance W. Scotta, które pocichu nucił według skomponowanej przez siebie melodji, niektóre sztuki Cowpera i Beattia, a nieco później (w 13. roku życia) Campbella, którego ballady: „Hohenlinden“, „Lochiel“, „Wygnaniec w Erynie“ wprawiały go w prawdziwy zachwyty. Wogóle Mill był wrażliwy na wszystkie rodzaje poezji; malownicze opisy pociągały go i podniecały jego życie uczuciowe; daru twórczego, co prawda, w tej dziedzinie nie okazywał, chociaż już w wieku młodocianym miał za sobą nader płodną wytwórczość w zakresie tragedji. Później był jednym z pierwszych, którzy publicznie wystąpili w obronie sztuki Tennysona, z trudem dobijającej się uznania. Carlylea cenił jedynie dla jego uzdolnienia literackiego.

go; jego „Rewolucja francuska“, dla której usiłował znaleźć nakładcę, a później jego „Sartor Resartus“ wprawiały go w gorączkowe upojenie. Alfredowi de Vigny poświęcił bystry i subtelny essay.

Z tą stroną uczuciową w naturze Milla łączy się jego poczucie piękności przyrody. To poczucie było w nim tak silne, że gdy miano budować kolej do Brightonu i z pomiędzy pięciu możliwych torów miano wybrać cały kierunek drogi, on publicznie i w wyrazach możliwie najsilniejszych zaprotestował przeciw znieważeniu doliny Norbury u podnóża góry Box Hill, której piękność malownicza wydawała mu się niedościgną. Oburzał się strasznie, gdy ci sami ludzie, członkowie większości parlamentarnej, którzy ekonomistom i utylitarystom odmawiali poczucia i zrozumienia rzeczy estetycznych, równocześnie z drobnostkowego interesu materialnego nie wahał się znieważać i szpecić dymem i sadzą wiecznego źródła wszelkiego piękna artystycznego — przyrody. Takie wycieczki polemiczne przypominają daremną walkę Tomasza Carlylea i Johna Ruskina przeciwko estetyce komina fabrycznego; w tym punkcie Mill czuł, jak sentymentalny miłośnik przyrody najnowszego kierunku. Uważam za rzecz pożyteczną zatrzymać się dłużej na rysach tego rodzaju, ażeby odeprzeć niedorzeczne wyobrażenie, jakoby John Stuart Mill był pewnego rodzaju żyjącą maszyną rachunko-

wą, jakoby w mężu o „obrażającej jasności“ (Nietzsche), w „młynie logicznym“ wynalazku Carlylea nie było miejsca dla uczucia estetycznego, bez którego przecież wielkość duchowa wydaje się nam tylko człowiekiem połowicznym, a w każdym razie zimnym. Później, kiedy jego benthamizm był „w najwyższym rozpędzie sekciarskim“, a więc między r. 17 a 20, „Essay on Man“ Popea silnie oddziaływało na jego wyobraźnię, chociaż każde zdanie tej wierszowanej nauki moralności pozostaje w ostrym przeciwieństwie do jego poglądów. Mill był z najmłodszej młodości gorliwym turystą i zbieraczem roślin; pośrednią przyczyną jego śmierci była ekskursja botaniczna na trzy dni przed jego zgonem. Ale co prawda, jego zamiłowanie przyrody było sentymentalne, jego poczucie poetyczne polegało na podstawie moralnej; z poetów pociągali go najbardziej poeci patetyczni, mniej zaś poeci, naiwni w swoim zadowoleniu zmysłowym. Stąd pochodzi jego szczególne upodobanie w Schillerze, którego gorliwie broni przeciwko niedocenieniu go przez Comtea (Koresp. 20, 1V, 43). Nieporównany, czysto poetycki gienjusz Goethego uznaje bez zastrzeżeń, i ani przez myśl mu nie przechodzi, żeby do niego przyłożyć miarę np. ciasnych purytańskich pojęć moralnych takiego Wordswortha albo de Quinceya; a jednak Goethe nie ostaje się przed jego ideałem moralnym, w dzie-

łach jego nie znajduje „wyżyny moralnej“, do jakiej dotarł Schiller w Wallensteinie i Tellu.

Dlatego najcenniejszą kulturą poetyczną (Autobiogr. 93) nazywa pełne uszanowania podziwianie wielkich charakterów, a zwłaszcza bohaterów filozofji: platońskie obrazy Sokratesa, a zwłaszcza Turgotowskie życie Condorceta były dla niego niewyczerpanym źródłem najwyższej rozkoszy, która nie przestawała być poetyczną, dlatego że zawierała w sobie podniety moralne.

Studja małego uczonego w dziedzinie matematyki i nauk ścisłych dotrzymywały kroku studjom z dziedziny nauk duchowych. W dziewiątym roku życia załatwił się prawie z całą matematyką elementarną, licząc do niej i trygonometrię sferyczną oraz geometrię analityczną (przecięcia stożków); w następującym (10) roku życia uporał się ze wstępem do rachunku nieskończoności Eulera (*Introductio in analysin infinitorum*), zabrał się do teorii fluksji (rachunku różniczkowego), oraz załatwił się, z dziedziny matematyki stosowanej, z początkami astronomji i mechaniki. Zadania rozwiązywał prawie wszystkie bez pomocy książek; przyzwyczajano chłopca, żeby sam znajdował i dalej rzecz rozwijał. Jego uzdolnienie matematyczne było zatem więcej, niż średnie—to nie podlega wątpliwości; bo to, co młody Mill w tym okresie życia pokonał w dziedzinie matematyki, budziłoby podziw nawet w sprawozdaniu o przedwczesnej dojrzałości matematycz-

nej takiego Pascala albo Gaussa. Wobec tego faktu upada późniejsze powątpiewanie Jevonsa o matematycznym uzdolnieniu Milla, tym bardziej, że u takiego, jak Mill, logika mogło chodzić tylko o odbiorcze, a nie o twórcze uzdolnienie matematyczne.

W naukach doświadczalnych późniejszy autor Logiki indukcyjnej znajdował wprawdzie największe upodobanie, pochłaniał wprost książki i rozprawy o przedmiotach fizykalnych i chemicznych:—ale ani sam nie czynił doświadczeń, ani nigdy ich nie widział. Ojcu zależało jedynie na nauce zasad, która w tych książkach najczęściej nie trafiała do jego przekonania. Te studia przypadają na czas przed dwunastym rokiem życia. Z tym rokiem młodociany uczony wstępuje w wyższe stadium swego zawodu wychowawczego, ponieważ odtąd głównym zadaniem jego nauki nie były środki pomocnicze myślenia, t. j. myślenie o przedmiotach, lecz myślenie o myśleniu samym. Czytano więc i objaśniano *Organon* Arystotelesa aż do obydwu *Analityk* włącznie, kilka rozpraw scholastycznych o logice, oraz *Hobbessa Computatio sive Logica*. John Stuart Mill nie może się nachwalić (*Autobiogr.* str. 15 i nast.) znaczenia tych wczesnych ćwiczeń logicznych. Przyznaje, że nie wszystko rozumiał w *Analitykach* i w objaśnieniach ojca; ale twierdzi, iż one stanowiły jądro, około którego osadziły się jego własne rozważania; powiada, iż w przebie-

gu jego wychowania nie tak dalece nie rozwi-
nęło jego własnej zdolności myślenia i nie przy-
czyniło się do osiągnięcia jego późniejszej energii
myśli, jak właśnie wczesne zapoznanie się prak-
tyczne z (sylogistyczną) logiką szkolną. Umiejęt-
ność rozwikłania zagmatwanej przędzy mętnej
i sprzecznej w sobie myśli, oraz nadawania wy-
razom i zdaniom wyraźnej i jednolitej treści my-
ślowej—stanowi zdaniem J. St. Milla nieocenio-
ną korzyść takich studjów logicznych. Wśród kul-
tury, obarczonej historją i tradycją, a przez to
zabarwionej dyalektycznie, ubolewania Milla nad
zaniedbaniem tych studjów ze strony badaczy,
zawierają niewątpliwie wielką część słuszności;
on sam przygotowywał się do tej walki dyalek-
tycznej jeszcze przez równoczesne studjowanie
dIALOGÓW i REPUBLIKI PLATONA, dla którego on,
jak i jego ojciec, nie mają dość słów pochwały.
Mill rozróżnia w Platonie logika od dogmaty-
tyka: logika wynosi pod niebiosa, z dogmaty-
kiem nie chce mieć nic wspólnego. W rzeczy sa-
mej, jego rozkoszowanie się „formalnym stanem
obłączenia“, stosowanymi środkami dyalektycznymi
względem niedbalej mowy i niedokładnego my-
ślenia, wykazuje, jaki logik tkwił w Millu samym,
i jak bardzo musiał cierpieć od samowoli w uży-
waniu słów, panującej zwłaszcza w naukach du-
chowych. Ale przeoczył, jak łatwo przez takie
wychowanie można nabyć w myśleniu przyzwy-
czajeń sofistycznych i scholastycznych. Wych-

wanie ku przestawaniu z rzeczami samemi zapomocą własnego poglądu, bez pośrednictwa pojęć oderwanych, najlepiej zabezpiecza od nadużywania wyrazów. Oprócz uwag w Autobiografji (str. 15—18), również i mowa rektorska, miana w St. Andrews dnia 1 lutego 1867 (WW 1, 235 i nast.) świadczy o tym, że J. St. Mill popierwsze: nie doceniał ważności nauk „ścisłych“, a przedewszystkim matematyki, dla wychowania ku dokładnemu i ścisłemu pod względem pojęciowym myśleniu, oraz podrugie: że Mill—a to rzecz ważna dla oceny jego logiki—logice bezsprzeczności (czyli t. zw. logice formalnej) przyznawał prawie tę samą wartość, co logice „prawdy“ (Logika, Ks. II, 3, 9), t. j. nauce o formalnych prawach doświadczenia naukowego wogóle i o sposobach postępowania w badaniach poszczególnych. We wstępie do tego dzieła mówi zresztą sam o naturze „scholastycznej“ pierwszych jego części, traktujących o nazwach i zdaniach.

Mając lat trzynaście, pobierał u ojca całkowity kurs nauki o państwie. Nauka odbywała się na przechadzkach (zob. powyż. str. 17). Po tym przygotowaniu odczytywano Zasady Ricarda i gruntownie roztrząsano zagadnienia uboczne, nasuwające się w czasie czytania; potym studjowano Adama Smitha, przyczym, jak Autobiografja (str. 23) wyraża się znamienne, roztrząsano i poprawiano „powierzchowne poglądy tego autora“ z pomocą wytrawnych nauk Ricarda.

W maju r. 1820 wyjechał J. St. Mill na dłużej niż na rok do przyjaciół w południowej Francji, a więc właściwe bezpośrednie wykłady ojca były w tym roku przerwane. Chłopiec miał dopiero 14 lat; tej sumy wiadomości, którą posiadał nie tylko w niższych, lecz głównie w wyższych gałęziach wiedzy, początkujący uczeni zwykle albo wcale nie osiągnąją, albo dopiero w dojrzałym wieku. Nie można naturalnie przypuszczać, żeby wszystko, co przeczytał, rozumiał: u wielu z wyliczonych autorów zrozumienie kończyło się zapewne na ujęciu znaczenia wyrazów. Mill sam oświadcza, że ostatnie rozdziały *Analityki* Arystotelesa czytał bez wielkiej korzyści, gdyż do nich jeszcze nie dojrzał (*Autobiogr.* str. 15). Pomimo to rezultat był sam przez się zadziwiający; w historii zaledwie znaleźć można przykłady podobnej przedwczesnej dojrzałości i wszechstronnej uczoneości na podstawie filozoficznej. Bo z Leibnizem, który mógłby komu przyjść na myśl, rzecz miała się o tyle inaczej, że w nim wcześniej obudził się *popęd do nauki*, że inicjatywa do uczenia się wyszła od niego samego; u innych gienjuszów naukowych, jak np. u Gausa, ujawniło się bardzo wcześniej uzdolnienie *specjalne*, podobnie jak zwykle tylko u natur, uzdolnionych artystycznie. John Mill przeciwnie, zaledwie się urodził, dostał się pod surowy rygor, był biernym przedmiotem eksperymentu pedagogicznego, który nim zawładnął, zanim je-

szcze można było dostrzec jakikolwiek samorzutny objaw jakiegokolwiek zdolności. Jaki stąd wyniknął skutek?

Mill sam (Autobiogr. str. 24 i nast.) odzywa się niekiedy z najwyższym podziwem o planie, a zwłaszcza o metodach dydaktycznych, któremi się posługiwał ojciec w jego wychowaniu. Próba zdaniem jego wykazuje, z jaką łatwością można w najwcześniejszej młodości nauczyć się języków starożytnych, a więc uniknąć straty czasu, zwykle marnowanego na ich nauczanie. Nie był on, jak powiada, obdarzony z natury ani bardzo dobrą pamięcią, ani wyjątkowo bystrą pojętnością, ani nareszcie nadzwyczajną siłą woli; ale wychowanie, unikając prostego mechanicznego wykuwania lekcji i przeciążania pamięci, wzmocniło jego zdolności umysłowe i uzdolniło go do zdobycia punktu wyjścia, który go wysunął o całe ćwierćwiecze przed jego rówieśników. Nigdy nie obniżono lekcji do prostego ćwiczenia pamięci; zawsze pamiętano o tym, żeby nie tylko przechodzić przedmiot krok za krokiem, lecz równocześnie przygotowywać zrozumienie i ułatwiać postępy. Rzecz widoczna, że James Mill posługiwał się metodą heurystyczną; co można było znaleźć przez własne myślenie, tego nie udzielał uczniowi, i w rzeczy samej w tym punkcie jego metoda odbijała korzystnie od zwykłego wówczas (?) tresowania uczonych papug.

Czy jednak to, czego musiał dokazać młody Mill, rzeczywiście może osiągnąć „każdy chłopiec albo dziewczyna (!) z dobrym zdrowiem i średnim uzdolnieniem“, jak Mill później sądził (Autobiogr. str. 27), oraz czy w razie, jeśli to jest możliwe, i ze względu na osiągnięte w tym jednym wypadku rezultaty, należy uogólniać próbę, jakiej był poddany Mill? I jedno i drugie spotka się zapewne z wątpliwością, a nawet z zaprzeczeniem. O niezwyklej przedwczesnej dojrzałości duchowej Johna Milla, zwłaszcza do strony logicznej i filozoficznej w nauce, niema co dyskutować, chociaż on sam o tym, co można osiągnąć przez wychowanie, i o ogólnej zdolności do wyrobienia umysłowego—o wyrobieniu moralnym sądził, co prawda, inaczej—przez całe życie miał przesadne wyobrażenie; pochodziło to nietylko z jego skromności, lecz również z wiary w dogmat 18. stulecia, jakoby umysłowe uzdolnienie ludzi, prawie wyłącznie różnicowane przez stosunki społeczne, pierwotnie było u wszystkich równe. Byłoby śmiesznością przypuszczać, iż choćby wybór młodzieży liczebnie znaczny zdołałby się uporać z masą wiadomości, opanowanej przez Johna Milla do 14. roku życia, nie łamiąc się pod jej ciężarem. Takie próby przyczyniałyby się tylko do zaludnienia szpitali i zakładów dla obłąkanych. A do takich prób właśnie doświadczenie, uczynione na Millu, mogłoby tylko zniechęcać. Wprawdzie jeden skutek, o któ-

rym możnaby tu pomyśleć, ominął go na szczęście: zarozumiałość. Nigdy nie usłyszał słów pochwały albo pochlebnych porównań z innymi młodzieńcami—o to dbał jego ojciec. Pod względem moralnym jego wychowanie było bez zarzutu, ale pod względem zdrowia miało dla wychowanka takie skutki, które głośno zaprzeczały jego pożytkowi. To wychowanie wyczerpywało jego siłę nerwową nadmiernie; w nim należy szukać źródła tych stanów wyczerpania, którym ulegał Mill w r. 1826 i niejednokrotnie później, chociaż on sam nigdy nie myślał o tym źródle. Jest także rzeczą prawdopodobną, że nadzwyczaj słaba pamięć Milla dla konkretnych szczegółów, na którą się uskarża w korespondencji z Comtem (str. 180) i która również uderzała Sterlinga, duchownego, wsławionego przez Carlylea, o wiele więcej pochodziła z wczesnego zużycia jego siły nerwowej, niż z logiczno-uogólniającego kierunku jego myśli, z którego on ją wywodzi. Popęd do działania był w nim tak wyrobiony, że prawie było niepodobna go pohamować. Zdaje się, jakoby w swej praktyce życiowej hołdował przekonaniu o równoległości ducha i materji, wyłączającej wszelkie wzajemne oddziaływanie obojga; jego teoretyczny pogląd na tę sprawę nie jest jasno wypowiedziany.

Na inne zaś istotne braki swego wychowania John Stuart Mill sam zwraca uwagę. Obchodził się bez towarzystwa chłopców; prawie za-

wsze, dopóki był w domu, pozostawał pod tajemnym przymusem (Autob. str. 29); te krótkie chwile wypoczynku, które mu z zasady pozostawiano dla zabawy, na nic mu się nie przydały, gdyż nie miał towarzyszków. Przyzwyczajano go do wstrzemięźliwości i częstych przechadzek, ale nie dostarczano mu sposobności do ćwiczeń cielesnych, jako przeciwwagi przeciwko nieuniknionym przyzwyczajeniom mola książkowego i piecucha. Mill wyjaśnia swoją niezręczność z tego trybu wychowania; jego głowa i ręce pracowały zawsze bardzo powoli, gdy chodziło o rzeczy praktyczne; jego zdolności umysłowe, jak powiada, były w przeciwieństwie do większości ludzi zbyt wyłącznie zwrócone nawewnątrz. Całe wychowanie przez ojca było bardziej skierowane ku temu, żeby wiedział, niż ku temu, żeby umiał (Autob. str. 30); metoda była zbyt abstrakcyjna, nawet przykładów objaśniających często mu skąpiono (tamże str. 19).

Niektóre z tych braków wychowania daje wprawdzie wyraźnie poznać i sprawozdanie, które mamy o jego długim pobycie we Francji (od maja 1820 do lipca 1821, Autob. str. 46—50; Bain, str. 16 i nast., gdzie znajdujemy wyciągi z dziennika z owego czasu); ale to sprawozdanie zarazem świadczy o najszcześniejszym okresie w młodości Johna Stuarta Mila. Mieszkał w zamku Perpigneau w Prowancji, jako gość Sir Samuela Benthama, brata Jeremjasza. Z zamku

rozpościerał się wspaniały widok na dolinę Garumny pomiędzy Montaubanem a Tulużą, a maly filozof rozkoszował się w całej pełni pięknoscią przyrody, rozlaną obficie nad tym kawałkiem ziemi. Lecz za najpiękniejszą korzyść tego pobytu uważał później to, iż w ciągu całego roku oddychał swobodną, wesołą atmosferą życia kontynentalnego. Kultura uczuć, których nie napaotykał u swoich ziomeków, tutaj we Francji była szczególnie uprawiana. Znana jest przesada antysentymentalnego wychowania angielskiego wraz z jego obawą uzewnętrzniania uczuć. Jego dewizą jest: not to be demonstrative, co, wyrażone pozytywnie, znaczy: przytłumiaj i ukrywaj swoje uczucia. Skutek często nie daje na siebie czekać: uczucia są poprostu tępione. John Mill przytacza, jako wytwór takiego wychowania, własnego swego ojca, któremu przecież nie odmawia uczuciowości. Francuska uprzejmość, otwartość i poufalość zachwycaly go; czuł się bardzo szczęśliwym w tej atmosferze swobodnych, niewymuszonych stosunków towarzyskich, do których wechodzi cały człowiek, w przeciwieństwie do mieszkańca północy, ukrywającego bojaźliwie to, co w nim najlepszego. Jak bardzo ten chłopiec, czujący głęboko i jak się później okazało, zdolny i potrzebujący serdecznych wynurzeń przyjacielskich, cierpiał pod berłem bezustannego rozsądku i rozkaźnika kategorycznego, władającym w jego domu ojcowskim, to można

zrozumieć właśnie za sposobu, w jaki oceniał, a nawet przeceniał zalety towarzyskie francuzów. Te wynurzenia rzucają także światło na jego stosunek do ojca. W Autobiografji (str. 43) John Mill waha się wypowiedzieć, czy więcej stracił, czy zyskał przez surowość ojca, wskutek której nigdy między nimi nie panował serdeczniejszy stosunek; wprawdzie dodaje, jakby dla własnego uspokojenia, że tryb jego wychowania nie przeszkadzał mu być dzieckiem szczęśliwym; ale to twierdzenie jest wprost sprzeczne z wiarogodną tradycją, iż Mill wobec pani Karoliny Fox w Falmouth (*Journals of Caroline Fox*, I, 163 i nast.) oświadczył: „Nigdy nie byłem chłopcem, nigdy nie grałem w krykieta. Lepiej byłoby pozostawiać naturze swobodny bieg.“ Ta uwaga jest najostrzejszym potępieniem jego ojca, jako wychowawcy. Podobnie wyraża się przy sposobności kryzysu w r. 1826 w swej Autobiografji, pomimo widocznego starania, żeby na pamięci Jamesa Milla nie pozostawić żadnej plamy.

2. Pierwszy stopień samokształcenia. Zdobywa sobie podstawowe przekonania filozoficzne. Młodociana propaganda słowem i pismem. Mill, jako benthamita i radykał. 1821—1826.

Po powrocie z Francji Mill wstępuje w okres samokształcenia. Wykłady ojca się skończy-

ły, ale pozostaje jego wpływ na przebieg i kierunek studjów, jakoteż wybór i ocena autorów, przeznaczonych do czytania. John czytał: Condillaca (1821) „*Traité de Sensations*“ i „*Cours d'études*“; Locke'a; Helvetiusa „*De l'esprit*“; Hartleya „*Uwagi nad człowiekiem*“; Berkeley'a; Hume'a; Reida; Dugalda Stewarta; Browna „*O przyczynie i skutku*“ (1822). Uogólnienia Condillaca uważał w porównaniu z Hartleyem, za niewystarczające; nawet Locke'a mniej cenił, niż tego psychologa asocjacionistę. O większości przeczytanych dzieł John Mill spisywał wyczerpujące uwagi, które ojciec krytykował. Jako zawód wybrano dla niego prawo; cenne przygotowanie do studjum prawniczego zawdzięczał wsławionemu później przez swoją „*Filozofję prawa pozytywnego*“ Johnowi Austinowi. Brał udział w jego studjach o prawie rzymskim, czytał z nim razem w zimie r. 1821 na 22 instytucje i pandekta, oraz pracę o ustroju państwowym i prawodawstwie Anglii klasycznego podziśdzień Blackstone'a (*Commentaries on the laws of England*, 1765 —68). Ale wszystkie te studia mają o wiele mniejsze znaczenie, niż jego znajomość z Benthamem. Jako na „konieczny dodatek“ do tych studjów prawniczych, wskazał mu ojciec na Jeremjasza Benthama; czytał więc (22) francuskie wydanie jego wielkiego dzieła, „*Traité de la législation civile et pénale*“ Dumonta, a przeczytanie tej książki stanowiło epokę w jego życiu,

jeden z punktów zwrotnych w dziejach jego umysłowości.

To stało się dzięki Benthamowskiej Etyce prawodawstwa; ona w mniemaniach i myślach jego za prowadziła „spójność i jedność“. Miejsce wieloznacznych i mglistych frazesów, jak „prawo przyrodzone“, „poczucie moralne“ „przyrodzone poczucie prawa“ „równość przyrodzona“ (natural equity), odgrywających wielką rolę w nauce moralności i prawodawstwie i polegających na zasadniczym nastroju ascetycznym (Works, ed. Bowring, part. XXI, p. 87 uw.), odwracającym chorośliwie przyrodzone potrzeby szczęścia i nierzadko wyrażającym się w sentymentalizm, zajęła Benthamowska zasada największego szczęścia dla największej liczby. Zalety tej zasady, jako przedmiotowej miary wartości dla naszych czynności, a zwłaszcza jako zasady konstrukcyjnej prawodawstwa, od razu rzuciły się w oczy Millowi.

Millowskie uzasadnienie moralności przez „zasadę użyteczności“ tak ściśle wiąże się z jej uzasadnieniem przez Benthama, że w celu zrozumienia dalszego rozwoju tej doktryny, uskutecznionego przez Milla, jest rzeczą niezbędną rozpatrzyć bliżej naukę mistrza. W przeciwieństwie do moralistów zwykłego typu, Bentham nauczał, że cnota dla niej samej jest niemożliwa, że ofiara dla samej ofiary jest zgubna. Zgubne, powiada Bentham (Works, part. XXI, p. 90 uw.),

jest mniemanie, wiążące moralność z cierpieniem; przeciwnie, moralność jest wtedy najowocniejsza, gdy jest najmniej powiązana z bólem: odpowiednie jej skojarzenia—to rozkosz i radość, nie zaś niechęć (gloom) i nędza (podobnie wyraża się i Spinoza). Im mniej poświęca się szczęścia, tym większa będzie ogólna suma szczęścia. To jest prawdziwa ekonomja rozkoszy, ta, której przyroda nas uczy. Moje szczęście i moje nieszczęście są zarówno częściami mojej istoty, jak moje narządy; zachowanie, jakiego wymaga przeczność, nie jest zatym niczym innym, jak zachowaniem, do którego przyroda nas z m u s z a (in required by necessity): bez nieprzerwanego panowania zasady samozachowania czyli egoizmu (selfish principle) nie mógłbym w dalszym ciągu żyć. Gdyby tak nie było, to pompatyczne dogmaty moralne o naszych obowiązkach znajdowałyby widoczny posłuch, gdy tymczasem nikt ich faktycznie nie słucha, ponieważ każdy przedewszystkim myśli o swoich interesach i o nich musi myśleć; zadanie moralisty polega przeto jedynie na tym, żeby podawał tylko prawdziwsze wyrachowania tych interesów własnych. A zatym czyn niemoralny polega na błędnym obliczeniu interesów własnych, gdy tymczasem przeczność wymaga, żebyśmy je rozszerzyli w kierunku życzliwości dla innych i swoje szczęście ze szczęściem innych po pierwsze wyrównali, a powtóre go w nim szukali. Altruizm występuje tu więc jako dobrze zrozu-

miany interesu własny; świadomość jego egoistycznego pochodzenia nie pozwala Benthamowi przyznawać mu, nawet w świadomości człowieka dzisiejszego, osobnej cechy jakościowej, podobnie jak wiedza o empirycznym pochodzeniu najwyższych twierdzeń doświadczenia, t. zw. przez Kanta sądów syntetycznych a — priori, nie pozwala empirystom przyznawać im aprioryczności logicznej — w stosunku do wszelkiego przyszłego doświadczenia, oraz dla przebiegu wcielania nowej treści świadomości do zespołu naszego doświadczenia. Konieczność zaś włączania bliźniego do swojego obrachunku interesów wynika dla Benthama ze społecznej natury człowieka, n adanej nam z samego początku; nie jest też dla niego zagadnieniem życzliwość, uwzględnianie bliźnich w postępowaniu indywidualnym. Bo zarówno, czy skutki przyjemne i nieprzyjemne postępowania są zgóry obliczone czy nie: zawsze to postępowanie określa się nie tylko doświadczeniem indywidualnym, zależnym od niezmiennych praw psychofizycznych, a więc niejako doznany na własnej skórze (Benthama sankcja naturalna, Locke'a Law of nature), lecz również wyobrażeniami albo przesądami moralnymi, politycznymi i religijnymi. Te s a n k c j o n u ją postępowanie publicznie, ale zarazem motywują je prywatnie. Pobudki, decydujące świadomą wolę, leżą zatem częściowo już z góry poza osobnikiem, są natury społecznej i zmuszają nawet największe

szego egoistę do nadawania swym uczynom zarbarwienia społecznego. Taki jest, w najprostszym tłumaczeniu brzmienia dosłownego, sens i skutek Benthamowskiej zasady użyteczności; tak w każdym razie młody Mill ją rozumiał i sobie przyswoił.

Rzecz godna uwagi, że uzasadnienie zasady dobrobytu przez Benthama i jego klasyfikacja wszystkich bodźców ludzkiego postępowania (opracowana później samodzielnie w „A Table of the springs of action“, 1817) wywarły na Milla wrażenie; w nich upatrywał niezawodne normy do oceny wartości społecznej postępowania ludzkiego. Wkrótce przeczytał i inne dzieła Benthama, wnet opanował ich treść, jako samodzielny nabytek duchowy. Oznaczeniu tego faktu mogą zaświadczyć tylko własne słowa Milla. „Kiedyś“, powiada, odłożył ostatni tom Traktatu, byłem zupełnie innym człowiekiem. Zasada użyteczności, taka, jak ją Bentham rozumiał, tworzyła ostatnie ogniwo, spajające wszystkie luźne, ułamkowe części mojej dotychczasowej wiary i wiedzy, i nadawała moim wyobrażeniom jedność wewnętrzną. Teraz miałem poglądy, wiarę, doktrynę, filozofję i w jednym z najlepszych znaczeń tego wyrazu, religję, której głoszenie i rozszerzanie mogło się stać głównym zewnętrznym zadaniem mojego życia. Jakież to zmiany można było z pomocą tej nauki wywołać w położeniu człowieka!“ Tak mówi młodzieniec szes-

nastoletni. Naraz widzi jasno przed sobą zadanie swego życia, z siłą nagłego objawienia odsłania się przed nim jego powołanie; czuje, na co się rodził, oraz, jakie niezmierne znaczenie dla społeczeństwa i w ogóle dla kultury może mieć wiedza, poddana najwyższym celom praktycznym, w przeciwieństwie do wiedzy specjalistów, byleby silna wola wyzyskania jej w tym kierunku owładnęła osobnikiem. Pomocy Benthamu zawdzięczał J. St. Mill ten rozstrzygający krok na drodze ku dojrzałości umysłowej i moralnej. Później, doszedszy do szczytu swej samodzielności filozoficznej, usiłował rzeczowe i historyczne braki benthamizmu wytknąć z bezstronnością prawie wyszukaną i dla dawnych towarzyszy sekty i walki (zwłaszcza Grote'a) obelżywą: mogłoby się zdawać, że odrzucił i jego zasadę. Ale i tutaj oświadcza: Benthamowi należy się poczesne miejsce wśród mistrzów mądrości, wśród wielkich nauczycieli i niepożytych chlub duchowych rodzaju ludzkiego, a zarazem wśród tych, którym Anglja zawdzięcza, zwłaszcza w ostatnich czasach, najdonioślejszy przewrót w myśleniu i badaniu.

Z dzieł Benthamu wymienia Mill jeszcze jedno, które gruntownością swej analizy wywarło na nim po Traktacie o prawodawstwie najgłębsze wrażenie; jestto, „Analiza wpływu religji naturalnej na doczesne szczęście ludzkości“, wydana przez jakiegoś Filipa Beauchampa (pseudonim)

na podstawie rękopisów Benthama. To dzieło zachęciło go podobno (Autobiog. str. 57) do napisania pośmiertnej rozprawy o pożytku religji, w której mówi o jej wartości kulturalnej i społecznej (teza: religja jest w wieku sceptycznym konieczna do celów moralnych i społecznych) w przeciwstawieniu do jej wartości, jako prawdy. Zbiorowym wydaniem dzieł Benthama ta rozprawa nie jest objęta; spoczywa jeszcze w rękopisie w Muzeum Brytyjskim. Stanowisko Benthama względem religji było, podobnie jak stanowisko starszego Milla, czysto negatywne, przy czym obydwaj myśliciele jednak nie hołdowali dógmatycznemu niedowiarstwu. W dziełach Benthama często mowa o religji, tak np. o sankcji religijnej (Definicja 1,14; 1,52); o demoralizujących skutkach przymusu religijnego (1, 564—65) i o nietolerancji religijnej (1, 565); o konieczności wyłączenia jej, jako przedmiotu wykładu, ze szkoły ludowej, „chrestomatycznej“, t. j. ogólnej (8, 40—42); o społecznym niebezpieczeństwie fanatyzmu religijnego, skoro oddała się od rozumnej moralności (pod względem materialnym—hedonizmu, pod względem formalnym—racjonalizmu; 10, 70); o argumentach przeciwko kościołowi państwowemu (9, 92—95). W tym wszystkim tkwiefsfalszowane 18. stulecie; nie tu nie widzę, coby w zaznaczonym znaczeniu je przekraczało i mogło być zużytkowane w rozprawie Milla. W jednym miejscu określa nawet prawodawstwo, po-

pierające kościół państwowy, jako środek do podkopania prawdy, ażeby zapomocą przekupstwa popierać pewne mniemania (6, 35). W jakich rozmiarach J. St. Mill później zarzucił te poglądy, to zobaczymy później. Teraz zajmował się ich propagandą.

Przedewszystkim chodziło o werbowanie zwolenników i o wtajemniczenie ich w zasady benthamizmu. W tym celu Mill założył w zimie r. 1822—23 towarzystwo utylitarystyczne (do 1826), zbierające się co dwa tygodnie w domu Benthama, aby roztrząsać zagadnienia etyczne, prawnicze i polityczne. Do niego należały najwytrawniejsze, najbardziej obiecujące umysły Anglii, młodzi ludzie, którzy bardzo rychło prawie wszyscy doszli do rozgłosu i stanowiska i podczas następującego okresu reform w ciałach prawodawczych, w administracji, w nauce i literaturze popierali kierunek i doktrynę Benthama i Jamesa Milla (W. E. Tooke, W. Ellis, G. Graham, J. A. Roebuck). Do szerszego kółka przyjaciół i znajomych należeli: Jerzy Grote; John i Charles Austinowie, z których drugi świetną swą wymową wśród wyboru studjującej młodzieży w Cambridge werbował przyjaciół dla benthamizmu; Macaulay; późniejszy lord Romilly, który się wkrótce odznaczył w ruchu, zmierzającym do reformy wyborczej, i in. W tych kołach John Mill uchodził za prawowitego przedstawiciela filozofji „radykalnej“; jego wymowa w tym

czasie podobno była niewyczerpana i w mówcach z urodzenia, jak Macaulay i Ch. Austin, wzbudzała podziw; ale choćby cienki i bezdźwięczny jego głos nie pozwalał mu zapomocą żywego słowa wpływać na masy. Ale młodociany partyzant już samym wyrazem „utilitarysta“, którym najpierw oznaczał siebie i kilku swych zwolenników, a który rychło został przyjęty przez powszechny zwyczaj językowy, wywierał wielki wpływ. Jeszcze przed rozwiązaniem się towarzystwa utilitarystycznego założył Mill, przejęty młodzieńczą żądzą uczenia się i nauczania innych, klub debatujących, „Speculative Debating Society“ (1825—29), do którego oprócz Owenistów należeli też wybitni mężowie przeciwnego kierunku, jak n. p. chrześcijańsko-socjalni torydemokraci Maurice i Sterling. Mill przypisywał później tym ćwiczeniom oratorskim wielkie znaczenie, nie tylko jako środkowi do rozjaśniania sobie swych myśli, lecz szczególnie jako szkole do wyrobienia sobie stylu przez to, że rozwijały poczucie estetycznej strony wysłowienia, poczucie potoczystości i rytmu wykładu. Dyskusje obracały się—co jest rzeczą znamionną—około głównych punktów reakcji przeciwko 18. stuleciu (Autobiogr. 106); był to temat, któremu Mill w dziesięcioleciu od 1820 do 1830 ustawicznie poświęcał swe myśli i który właściwie stanowił treść pracy jego życia. Obok tych rozpraw „speculacyjnych“ odbywały się ćwiczenia specjalniej-

sze, urządzone przez Milla i jego przyjaciół z towarzystwa utylitarystycznego w domu Grotea na temat gospodarstwa narodowego i psychologii. Podstawą tych ćwiczeń były: jego ojca „Zasady ekonomji politycznej“, Ricarda „Zasady“, Bairy- laya rozprawa o wartości (On Value), logiki sylogistyczne Aldricha, który mało zadawałał, i jezuita Du Trieu, którego „Manuductio ad logicam“ uważano za najlepszy z wielu podręczników logiki; później dzieła Whateleya i Hobbesa; nareszcie, z dzieł psychologicznych, Hartley i (1829) dopiero co wydana „Analiza umysłu ludzkiego“ Jamesa Milla. Z tych dyskusji wzięły początek Johna Milla „Essays on some unsettled questions of political economy“; były spisane w r. 1831, ale wyszły dopiero w r. 1844 i miały wielkie powodzenie. Również i zajmująca rozprawka o Logice Whateleya (Westm. Rev., stycznia 1828) jest owocem tego wspólnego czytania i omawiania. To wszystko przyczyniło się bardzo do zwrócenia oczu inteligencji krajowej na tę grupę benthamitów, zajęłą gorliwą propagandą. Wpływ tej grupy tak szybko wzrastał, że jako organ centralny swych dążeń, zmierzających w pierwszym rzędzie ku oświecaniu i pouczeniu, założyła „Westminster Review“.

W roku założenia towarzystwa John pierwszy raz wystąpił jako pisarz z artykułami w dziennikach; od r. 1824 do 28 ogłosił szereg artykułów (13), częściowo już bardzo ważnych we,

wspomnianym czasopiśmie, które założono w celu zatamowania wpływu konserwatywnej „Quarterly Review“ i liberalistycznej „Edinburgh Review“. Artykuły Johna dotyczą najczęściej przedmiotów religijnych („O prześladowaniu religijnym“), politycznych, prawniczych i ekonomicznych (o prawach zbożowych). Zajmująca jest ocena Dawida Humea, napisana przy sposobności. (paźdz. 1824). Mill powiada o nim: Hume posiadał zdolności bardzo znaczne, ale zamiłowanie prawdy (regard for truth) nie tworzyło części składowej jego charakteru. Myśli jego odznaczają się zadziwiającą bystrością, ale cel jego rozmyślenia nie był skierowany ku prawdzie, lecz ku dowodzeniu, że prawda jest niedościgła; umysł jego ulegał także zbyt wzdętom na smak literacki, któremu wcale nie zależy na prawdzie albo na użyteczności, lecz raczej na wzbudzeniu uczucia. W artykule o Logice Whateleya wskazuje z wielką bystrością na niezalutowane jeszcze zadania logiki, jakoto: rozbiór pojęć ogólnych; rozbiór pojęć orzekania, przy czym należy ustalić bezpośredni przedmiot m n i e m a n i a, jeśli zgadzamy się na jakie twierdzenie; określenie usług, oddawanych przez operacje pojęciowe naukom przyrodniczym, zwłaszcza, gdy prowadzą do odkrywania nowych faktów. Tu już jasno zaznaczono rozszerzenie logiki, podjęte później przez Milla. Drugi punkt dotyczy argumentów, na których się opiera przedmioto-

wa wartość sądów. Trzeci punkt dotyczy tworzenia twierdzeń ogólnych na podstawie doświadczenia, logiki, jako środka do otrzymywania sądów syntetycznych a—posteriori; ten punkt jest główną częścią logiki indukcyjnej Milla. Jest to rzecz znamienna dla przedwczesnej dojrzałości naukowej Milla.

Ale ta zadziwiająca działalność agitatorska i literacka nie wypełnia całego czasu młodzieńca; wykonywał ją od r. 1823 tylko w wolnych chwilach. Wbrew pierwotnemu zamiarowi poświęcenia się zawodowi prawniczemu, dnia 21 maja tegoż roku wstąpił jako „junior clerk“ do urzędu egzaminacyjnego zarządu Indji (India House), do którego należał i jego ojciec na wysokim stanowisku, na końcu jako prezydent. W chwili śmierci ojca (1836) był już trzecim urzędnikiem Domu z roczną pensją 1200 funtów sterlingów. W r. 1854 otrzymał dodatek osobisty w wysokości L 200; dnia 28 marca 1856 otrzymał miejsce prezydenta („examiner“, egzaminator, mianowicie korespondencji z władzami i rządami indyjskimi—taki był jego tytuł urzędowy) z roczną pensją L 2000. Na Boże Narodzenie r. 1858. zarząd Indji przeszedł z rąk Towarzystwa indyjskiego do państwa, i Mill otrzymał dymisję z emeryturą L 1500. Urząd pozostawiał mu wiele wolnego czasu; nominalnie pracował w nim sześć godzin dziennie, ale do załatwienia spraw urzędowych wystarczała zaledwie

połowa tego czasu; resztę poświęcał pracom naukowym; dwa wielkie swoje dzieła, Logikę i Ekonomję polityczną, napisał w godzinach urzędowych. Mill nie miał więc powodu do uzalania się na swą działalność praktyczną, chociaż przez pewien czas żałował, iż wskutek swego wychowania bezwyznaniowego miał drogę zamkniętą do służby w administracji państwowej. Próby skłonienia go do wstąpienia do Trinity College w Cambridge były daremne. Młody radykał wolnomysłny nigdy nie byłby się zgodził na podpisanie „testaktu“ (39 artykułów).

3. Pokonanie Benthamizmu.

1826 — 1840.

Na czasy tej „propagandy“ młodego poprawiciela świata w słowie i piśmie przypada przełom duchowy, wslawiony przez sprawozdanie w piątym rozdziale Autobiografji.

Według tego sprawozdania chodziło tu jedynie o rozstrój uczucia, o patologiczny stan umysłu. Ten stan zaczął się objawiać w jesieni r. 1826. Przedmioty, któremi dotychczas się rozkoszował i zachwycał, wydawały mu się marnemi i obojętnemi. Ulubieni poeci nie przynosili mu już pociechy; pomniki dawnej wielkości i szlachetnego uspiobienia straciły swą moc; „sucha“ małoduszność wzięła go w posiadanie i nie

opuszczała go, gdziekolwiek był i cokolwiek robił. Sen nie dawał mu ukojenia, zaledwie na kilka minut opuszczała go świadomość stanu bolesnego. Jego uczucia społeczne, wzniecone w nim przez „miłość ludzkości i wyobrażenie o jej doskonałości“, zupełnie wyschły. Stan był taki, że Mill potrafił tylko siłą rutyny wypełniać obowiązki urzędowe. Ten stan, wedle własnego porównania Milla był podobny do stanu, w jakim się znajdować może nawrócony dó metodyzmu, gdy go ogarnie poczucie swej grzeszności. Co się stało przyczyną takiego stanu?

Cielesny podkład tego stanu zbywa Mill krótkimi słowy, że cierpiał na rozstrój nerwowy, któremu zapewne każdy w pewnych okolicznościach musi ulegać. Zapewne nie każdy, odpowiemy, zwracając uwagę na jego przymusowe wychowanie i na niesłychane przeciążenie umysłowe, z nim powiązane. Ale on sam daje w innym miejscu prawdziwe wyjaśnienie: „Mój ojciec, pisze, do którego w sprawach praktycznych z natury rzeczy zawsze się uciekałem, w tym razie był ostatnią osobą, po której mógłbym się spodziewać pomocy; bo wszystko mię przekonywało, że on o takim stanie umysłowym nie miał wyobrażenia; a gdyby mi się nawet udało wywołać w nim zrozumienie mego stanu, to on z pewnością nie był właściwym lekarzem, aby go wyleczyć. Moje wychowanie było w całości jego dziełem i odbywało się bez przewidywania

możliwości takiego wyniku; na cóżby się więc przydało zgotować mu udręczenie myśli, że jego plan był chybiony, jeśli zło nie mogło być wyleczone, a przynajmniej wyleczone zapomocą jego środków zaradczych“ (str. 112). Wychowanie było błędne nie tylko w tym, czego uczyło i czego nie uczyło, lecz także w skutek rozmiarów, w jakich nadużywało młodocianego mózgu do swych zbyt obszernych celów, a więc było błędne pod względem jakościowym i ilościowym; John Mill zbyt wyłącznie znajduje błędy tylko w jakości wychowania. Powiada, że brak w nim było kultury uczuć, że było wyłącznie intelektualne i uczyniło przedwczesną analizę zakorzenionym nawykniem jego umysłu. Tej analizie, temu nawykniem do pojmowania całego życia wewnętrznego, o ile się ujawniało w chceniach i działaniach, jako wytworu asocjacji wyobrażeń pobudzających z wyobrażeniami ich skutków przyjemnych albo nieprzyjemnych, towarzyszyła widocznie u Milla dążność do obezwładniania uczuć i do osłabiania żywości pożądania, a więc *primi moventis* człowieka, jako istoty, przeznaczonej do działania. Zamiast więc — taki jest sens tych wynurzeń Milla — wytwarzać możliwie silne, praktycznie nierozzerwalne skojarzenia wyobrażeń czynności, pod względem społeczno-etycznym pożądanych, albo ich przeciwieństwa z uczuciami rozkoszy i cierpienia, obnażono przedwcześnie przed jego oczyma cały mechanizm ży-

cia moralnego i wyhodowano w nim skłonność do stosowania tej wiedzy, jako środka ku badaniu i ocenianiu faktów moralnych. Rzecz szczególnie uderzająca, że z ust człowieka „robionego“ czyli „sfabrykowanego“, za jakiego powszechnie uchodził J. St. Mill, ciągle słyszymy o „rozkładowym“ wpływie analizy. Ona to zdaniem jego pozwala wnikać szczególnie w związki przyczynowe (przyczyny i skutku, środka i celu), lecz tworzy „robaka, wciąż podgryzającego korzenie namiętności, a nawet cnót“, podkopuje wszelkie pożądanias i radości, które wynikły z asocjacji. „Tak więc, jak to sobie sam powtarzałem, siedziałem na wybrzeżu z dobrze opatrzonym okrętem i rudlem, ale bez żagli, bez rzeczywistego pożądanias tych celów, do których osiągnięcia byłem tak starannie przysposobiony“ (str. 115) Walka w obronie dobra ogólnego, która dotychczas budziła w nim zapał i w której ojciec jego i jego zwolennicy upatrywali najwyższe i najpewniejsze źródło szczęścia, straciła dla niego wszelkie powab. Wstręt do życia był naturalnym skutkiem takiego stanu. Niejaką ulgę sprawiło mu naprzód czytanie Marmontela. Gdy Mill doszedł do miejsca, w którym autor mówi o smutnym położeniu rodziny po śmierci ojca i opisuje zapał, jaki go ogarnął na myśl, że teraz on musi rodzinie zastąpić umarłego, wtedy rozczulił się do łez. Gniotący ciężar wyobrażenia, jakoby wszelkie uczucie w nim zamarło, nieco zwolnił. „Nie,

nie żyłem już bez nadziei, nie byłem kijem lub kamieniem, lecz nosiłem w sobie jeszcze coś z tej materji, z której pochodzi cała wartość charakteru, cała wrażliwość na szczęście“. Bardzo wyraźnie wskazuje właśnie to miejsce Autobiografji, skąd pochodziło zło: pochodziło stąd, że wychowywanie i nauczanie zaniedbywało stronę podmiotową życia, że dla strony przedmiotowej i społecznej przeoczyło stronę indywidualną w jednostce, jej całą podmiotowość, wyrażającą się szczególnie w życiu uczuciowym. Jak gdyby najtajniejszy i najbardziej tajemniczy pierwiastek naszej istoty, ponieważ nie można go naukowo uprzedmiotowić i sprowadzić do liczby i miary, nie miał żadnego prawa do bytu w społeczeństwie! Teraz zwrócił się młody filozof do poezji dla niej samej i znalazł w niej pociechę i podporę; w tej samej poezji, która w oczach Benthama była niejako tylko spaczeniem i zniekształceniem rzeczywistości! Czytał Byrona, którego poezja bólu wszechświatowego mało go jednak zdołała podźwignąć; zagłębiał się w Wordswortha, którego poszanowanie tego, co małe, proste i prostacze, umysł młodzieńca, naprężony ku temu, co najwyższe i najogólniejsze, dobroczynnie naprowadziło na przyrodzony zakres interesu ludzkiego; podobalo mu się również poczucie przyrody u Wordswortha i jego malownicze opisy. Za tym poszło studjowanie Goethego i innych poetów; zbudowana z wielką siłą namiętności, potrzeba kultury

uczuc zapomocą dzieł wyobraźni (Autobiogr. 126) domagała się coraz to obfitszego pokarmu; a równocześnie usiłował wytłumaczyć dotychczasowym swym zwolennikom, że wzruszenie „imaginacyjne“, wywoływane w nas przez żywo odczuwane wyobrażenie, jest równie rzeczywiste i równie mało może w sobie zawierać błędu albo omamienia, jak najbardziej „przedmiotowe“ własności świata rzeczy (zob. „On poetry“ 1833, Westm. Rev.). W miarę, jak stawał się wewnątrz nie obcym swoim dotychczasowym zwolennikom i towarzyszącom broni, zbliżał się do swoich dawniejszych przeciwników, torydemokratów Mauricea i Sterlinga, i przez nich, a później przez ich mistrza Coleridgea i przez Carlylea poznał cenne strony światopoglądu arystokratycznego, który i przez to był sympatyczny dla Milla, że u tych mężów nie miał nic wspólnego z dążnością, udającą w powszednim życiu politycznym konserwatyzm, a zmierzającą tylko ku zachowaniu starych przesądów i przywilejów. Połączenie tych wpływów doprowadziło do zajmowania się „kontynentalnym“ sposobem myślenia; Mill odczytuje Goethego i poznaje w oryginałach autorów, piszących o filozofji historii, z którą się zapoznał najpierw w jej wydaniu St.-Simonistycznym; w tym kierunku zwróciły jego uwagę artykuły Coleridgea i Carlylea, przez długi czas wyśmiewane przezeń, jako „frazeologia“. O tych wpływach wspomina Autobiografia (n. p. str.

134), ale rzecz dziwna, pomija tu A. Comtea, którego „Rozprawkę o polityce pozytywnej“ — czyli raczej „Plan des travaux scientifiques nécessaires pour réorganiser la société“, 1822, wcielony później do Systematu polityki pozytywnej—Mill czytał już w r. 1828, a więc w tym samym roku, w którym dzięki poezji Wordswortha walka o nową treść życiową otrzymała podporę uczuciową. W liście z dnia 8, XI, 41, którym Mill rozpoczyna swoją korespondencję z Comtem, wyraża się o tej rozprawce, że wraz z innymi wpływami, ale silniej od nich, nadała jego ideom nowy rozmach, który wywołał jego ostateczne wystąpienie z sekty benthamitycznej szkoły rewolucyjnej (t. j. według terminologii Comtea, metafizyczno-krytycznej) 18 stulecia. Ale o tym później (rozdz. II, 4).

Tak dalece „ostateczne“, co prawda, nie było zerwanie z benthamizmem; chodziło tu jedynie o rozszerzenie zasad. „Chociaż“, powiada w Autobiografji, „w przebiegu swojego postępu na chwilę niedoceniałem tego wielkiego (t. j. 18) stulecia, jednak nigdy nie przyłączyłem się do reakcji przeciwko niemu, lecz tak po jednej, jak i po drugiej stronie, mocno trzymałem się prawdy“. W Autobiografji „drugą połową“ prawdy, dołączoną przez myślicieli 19 stul. do prawdy, poznanej przez wiek 18, nazywa to, że duch ludzki w swym postępie kroczy według

pewnego porządku, w którym jedne rzeczy muszą poprzedzać drugie, porządku, który rządy i instruktorzy publiczni mogą do pewnego stopnia zmieniać, ale nie w zakresie nieograniczonym; oraz, że wszelkie zagadnienia, dotyczące urzędzeń politycznych, są względne, a nie bezwzględne, i że różne stopnie postępu ludzkiego nie tylko domagają się różnych urzędzeń, lecz je mieć muszą; a dalej, że władza zawsze znajduje się w rękach tych albo przechodzić musi w ręce tych, którzy w społeczeństwie stanowią największą potęgę, i że zakres tej potęgi nie zależy od urzędzeń publicznych, lecz przeciwnie te urzędzenia są zależne od niej; nareszcie, że wszelka ogólna teoria albo filozofja polityki, a także wszelka filozofja historii opierać się musi na teorii postępu ludzkiego (str. 134). Włączanie takich nowych składników do dawnych przekonań odbywa się aż do punktu kulminacyjnego jego „uprzedzenia pozytywistycznego“ (zob. poniżej II, 4), a więc do r. 1844; zewnętrznie uwydatnia się to przez to, że Mill zarzuca plan etologii i rozpoczyna Zasady ekonomji politycznej. Zestawię teraz te punkta, w których John Stuart Mill znacznie odstępkuje od benthamizmu.

Najpierw odkrywa, że istnieją podmiotowe źródła szczęścia, i że do nich należy harmonijne wykształcenie władz uczuciowych człowieka; jest to odkrycie o trwałej doniosłości, odkrycie, z którego w r. 1859 w rozprawie o Wolno-

ści korzysta w tym sensie, że należy oddzielić dziedzinę uprawnionej podmiotowości, do której państwo nie ma prawa się wdzierać. Jego przyjaciel Sterling, znany mistyk, omawia tę przemianę słowami, że Mill był wychowany w mniemaniu, jakoby polityka i urządzenia społeczne były wszystkim, że jednak powoli otrząsnął się z tej cechy zewnętrznej i teraz wyraźnie pojmuje, iż reforma indywidualna jest podstawą postępu społecznego. Następnie dokonał drugiego odkrycia, które sobie uświadomił dopiero później, w pośmiertnych Badaniach religji, a i wtedy niezupełnie jasno, mianowicie: że mamy pewien stosunek uczuciowy do rzeczywistości, który równie dobrze, jak poznanie naukowe, usiłuje wpływać na ostatnie nasze myśli. Następnie zmienia się jego filozofja polityki; zaczyna swój dotychczasowy ideał czystej demokracji ograniczać i przekształcać, za pośrednictwem St.-Simonizmu i jego przywódców, z których kilku (Bazarda, Infantina, Gustawa d'Eichthala) poznał osobiście, zaznajomił się z socjalizmem i wyrzekł się znacznej części liberalizmu gospodarczego; w ściślejszej dziedzinie filozoficznej rozjaśniają się pod wpływem rozstroju uczuciowego jego wyobrażenia o stosunku między wolnością a koniecznością w myśl określeń w Logice (ks. 6, rozdz. 2), a zarazem wyobrażenia o pojęciu szczęścia (Autob. str. 110, 117; jest to rozszerzenie utylitaryzmu). Naukowo uwydatniło się to poko-

nanie benthamizmu najpierw w jego filozofji polityki.

Zaczepek Macaulaya, skierowana przeciwko „Próbie o Rządzie“ jego ojca (Edinb. Rev. 29) wywołała stanowczy przewrót w jego przekonaniach: John Stuart Mill doszedł do przekonania, iż założenia jego ojca były zbyt ciasne. Tożsamość interesów pomiędzy ciałem rządzącym a społeczeństwem wydawała mu się w praktyce już nie jedynym warunkiem, od którego zależy dobry rząd; nie można jej też zapewnić przez jakikolwiek sposób wyborów. Te wątpliwości rozszerzyły się jeszcze, w związku z innymi studjami Milla, w zagadnienie metodologii, a więc logiki stosowanej. Macaulay zamierzał z polityki uczynić naukę doświadczalną, ale bez jasnego zrozumienia indukcji. James Mill pozostawiał wprowadzić polityce znaczenie nauki dedukcyjnej, ale czynił to błędnie według wzoru czystej geometrii albo fizyki matematycznej, a nie, co byłoby rzeczą słuszną, według wzoru dedukcyjnych gałęzi nauk przyrodniczych. On uznał, iż nauki różnią się stosownie do tego, czy w zjawiskach złożonych skutki, których przyczyny możemy odnaleźć, są równe sumie skutków ich przyczyn poszczególnych, czy nie są jej równe; a przez to rozróżnienie zjawisk mechanicznych a zjawisk chemicznych czyli heteropatycznych (zob. rozd. IV) wyjaśnił sobie naturę i możliwość polityki, jako nauki. Stanowi to już ogólny zarys tego, co póź-

niej dokładniej wyluszczył w Logice nauk duchowych (Logika ks. 6, rozdz. 6 i nast; odpowiednie miejsce w Autobiogr. nie jest zupełnie jasne). Ale te przekonania metodologiczne musiały Milla koniecznie naprowadzić na podstawowe zagadnienie teorii nauk: na indukcję; tym zagadnieniem Mill, jak się zdaje, zajmował się nieustannie w dziesięcioleciu od 1830- do 1840. roku. Już w r. 1831. spisał swoje myśli o innych głównych punktach swojej teorii, mianowicie o pewnikach logicznych i o teorii sylogizmu.

O wpływie St.—Simonistów już pokrótce mówiliśmy. Zaznajomił się z nimi w latach 29. i 30. i odniósł z nich donioślejszą korzyść, niż z gorzkich i namiętnych zastrzeżeń Carlylea przeciwko niedowiarstwu wieku 19. Ich podział wszelkiej historii na okresy organiczne i krytyczne wydawał mu się jakby objawieniem nowej prawdy; dopiero później dowiedział się, że to był wspólny dorobek kontynentalnej filozofji dziejów. Myśl St.—Simonistyczna, którą sobie przyswoił, była następująca: W czasie okresów organicznych ludzkość przyjmuje z mocnym przekonaniem jakiegokolwiek pozytywne wyznanie wiary, sprawujące sądownictwo nad wszystkimi postępkami i zawierające w sobie mniej lub więcej prawdy, przystosowując się to ściślej, to luźniej do potrzeb ludzi. Pod takim wpływem ludzkość dokonywa całego tego postępu, jaki daje się pogodzić z wyznaniem wiary, ale nareszcie wyrasta ponad to

wyznanie i wstępuje w okres krytyki i negacji, w którym zarzuca dawne przekonania, nie zdobywając nowych o charakterze ogólnym albo koniecznym, oprócz jednego: że dawne przekonania były błędne. Tak n. p. politeizm grecki i rzymski, dopóki weń wierzyli wykształceni Grecy i Rzymianie, wytworzył okres organiczny, panowanie zaś filozofji greckiej rozpoczęło okres krytyczny. W podobny sposób wieki średnie były okresem organicznym, to jest, dopóki panowało chrześcijaństwo; reformacja zaś rozpoczęła jego upadek i utorowała drogę krytyce i przeczeniu, lecz zarazem i wszystkim nowszym próbom wynalezienia treści do nowego pozytywnego poglądu na życie. Oprócz tej filozofji dziejów, Mill przejął od St.—Simonistów krytykę dawnej Smith—Ricardowskiej nauki gospodarstwa narodowego; odtąd więc nie uważał już własności prywatnej i dziedzictwa za fakty niezmiennie i w wolności produkcji i handlu nie upatrywał już ostatniego słowa postępu społecznego. St.—Simonistyczny plan społeczeństwa przyszłości, wedle którego wszelka praca i cały kapitał społeczeństwa miały w interesie ogółu być zużytkowane i zarządzane, a indywidualom miały być stosownie do ich uzdolnienia wskazane zawody pracy i wedle rezultatów tej pracy wydzielana zapłata,—wydawał się wprawdzie Millowi skutecznym środkiem ku przyzwyczajeniu społeczeństwa do skierowywania myśli i woli poza swój stan obecny: ale w skuteczność

takiej „maszynerji społecznej“ w celu wytworzenia tak uporządkowanego państwa przyszłości Mill, jak twierdzi, nigdy nie wierzył (Autob. str. 136). Jednak St.—Simoniści tr w a l e zapłodnili myśl społeczno-polityczną Milla, bo ich poglądy tworzą wyłącznie temat sławnych jego rozpraw o Benthamie i Coleridgeu. Również znalazł pewną podniętę w ich śmiałym i wolnym od uprzedzeń traktowaniu sprawy kobiecej.

Wspomniałem już o tym, że praca około Logiki w tym całym dziesiątku lat silnie absorbowowała naszego filozofa: w r. 1838. skończył naukę o indukcji (ks. 3), a w r. 1840 logikę nauk duchowych (ks. 6). Lecz z prac, ogłoszonych w tych latach, są obok prac natury publicystycznej i feljetonistycznej (Polityka wewnętrzna i zewnętrzna, Myśli o poezji, O aforyzmach, Armand Carrel, Alfred de Vigny, Krytyka Carlylea Historji rewolucji francuskiej) najważniejsze rozprawy o cywilizacji (1836), o Benthamie (1838) o Coleridgeu (1840), o Tocquevillea „Demokracji w Ameryce“. Te prace mają wielkie znaczenie nie tylko dla osobistego rozwoju Milla, lecz także pod względem społeczno-politycznym: nowych myśli i punktów widzenia nie zawierają ani rozprawa o wolności (1859), ani uwagi o rządzie reprezentacyjnym (1861), ani też System ekonomji politycznej (1848) i pośmiertny fragment o socjalizmie (1879).

Choroba jego, w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu, w jesieni r. 1828, kiedy Mill zaczął czytać Wordswortha, wkiótce, jak się zdaje, przekroczyła swój punkt kulminacyjny. Wraz z zamięłowaniem poezji i muzyki—dręczyła go tu, co jest rzeczą ciekawą, jeszcze tylko myśl, że kombinacje tonów oktawy mogą się kiedyś wyczerpać—zjawilo się też napowrót zainteresowanie się książkami i ludźmi, w mniejszej mierze sprawami publicznymi. Po r. 1829, w całości jeszcze zajęty sobą i myśląc o samodzielnym, zastosowanym do jego osobistych potrzeb, poglądzie na życie, wystąpił z towarzystwa debatującego; ale wobec publiczności pozostał jeszcze dla powodów taktycznych wiernym radykalizmowi politycznemu i filozoficznemu. Lecz w czasie tego przekształcania się jego poglądów, kilkakrotnie zapadał znów na zdrowiu, jako to w r. 1836, kiedy przedsięwziął dla wypoczynku trzymiesięczną podróż po Francji, Szwajcarji i Włoszech, oraz w r. 1839, kiedy półroczny urlop przepędził we Włoszech. Atak z r. 1832. pozostawił mu prawie nieustanne drganie nerwowe nad jednym okiem. Później zdarzały się również często stany rozstroju cielesnego i moralnego, tak n. p. w r. 1882; w tym roku były one, co prawda, częściowo wywołane przez straty na kursie, dotyczące jego własnego i powierzonego mu przez rodzinę majątku ojcowskiego (List do Comtea z dnia 15. listop. Bain 2,77). Chociaż nie był pozbawiony poczucia hu-

moru i przy sposobności umiał się serdecznie śmiać, jednak jego głęboko poważny nastrój wczesnie zbliżał się do melancholji. Według wyrażenia Milla nie dano człowiekowi zażywać szczęścia (rozkoszy), lecz tylko dane cierpienie odpierać; wydaje się, jak gdyby fizjologiczne źródła rozkoszy życiowej były w Millu podkopane: stąd pochodzi zabarwiona negatywnie definicja szczęścia w „Utylitaryzmie“: happiness no life of rapture... Znamienna dla tego poglądu na życie jest uwaga Milla, zapisana przez pannę Karolinę Foxównę w jej dzienniku: „Nikt nie powinien próbować zrobić coś na pożytek swego czasu, bez silnego postanowienia wzięcia na siebie swego krzyża i dźwigania go. Wszystkie jego plany muszą się skończyć rozczarowaniem, jeśli nie zostaną od obliczenia ich kosztów; wtedy albo ulegnie jak Chatterton, albo podda się przeciwnemu prądowi jak Erazm, albo żyć będzie życiem zawiedzionym i udręczonym jak Luter“ (Court. 73). Aluzja do jego ówczesnego stanu jest w tych słowach, napisanych wiosną r. 1840, widoczna.

4. Wpływ Comtea na Milla.

1841—44

1. Wśród wszystkich akt osobistych, wyjaśniających stosunki między Comtem a Millem, pierwsze teraz miejsce zajmuje korespondencja, wydana przez Lévego-Bruhla w r. 1899 u F. Alcana w Paryżu.

Z 89 listów tego zbioru 44 przypada na J. St. Milla, a 45 na Comtea. Wartość nowości mają tylko listy Milla, gdyż listy Comtea wydrukowano już w r. 1877. (Laroux). Znaczenie tej korespondencji dla poznania obydwu korespondujących osobistości daje się zaledwie ocenić. Co do Milla, niema z pewnością drugiego „dokumentu ludzkiego“, pozwalającego tak głęboko wniknąć w jądro jego natury, a w każdym razie drugiego, rzucającego więcej światła na jego cele filozoficzne w najważniejszym okresie jego rozwoju naukowego. Kiedy po raz pierwszy zbliżył się do Comtea (8, XI, 1840), ani jego Logika, ani jego Ekonomia polityczna nie były napisane; ale myśli jego kształtowały się, jego twórczość filozoficzna parła go ku przedsięwzięciom w wielkim stylu. Nosi się z planem „etologii“, jako niezbędnej dla założenia podstaw socjologii—nauki o zewnętrznych (społecznych) warunkach wytwarzania się charakteru ludzkiego, t. j. o przyczynach moralnych, gospodarczych i politycznych jego zmienności; zdaje mu się, że tak dalece pokonał benthamizm, że tak dalece się posunął w „krytyce krytyki“, jak się wyraził z naganą Carlyle, iż mógł już pomyśleć o budowie organicznej filozofji społecznej. Wpływy niemieckie za pośrednictwem Coleridgea skierowały go w tym kierunku i przekonały Milla o konieczności filozofji dziejów, czyli „dynamiki“ nauki o społeczeństwie według terminologii Comtea;

również i jego zetknięcie się z Saint-Simonistami (o czym obecnie daje wyjaśnienie jego korespondencja z G. d'Eichthalem, Alcan, Paryż 1898) posłużyło jako przygotowanie do „Politique positive“, którą Mill najpierw poznał ze szkicu z r. 1822 (Plan des travaux scientifiques pour réorganiser la société). O tym szkicu wyraża się w liście do d'Eichthala (1829) z uznaniem; a kiedy w r. 1837 poznał dwa pierwsze tomy Comteowskiego „Cours“, miał, jak się zdaje, sam tę świadomość, że dożył nowej epoki w swym myśleniu. Jego własne późniejsze opowiadania w Autobiografji i w „Pozytywizmie“ zaciemniają poniekąd ten stan rzeczy; wrażenie, jakie na nim wywarł myśliciel francuski, wydaje się tu znacznie osłabionym; listy zaś odzwierciedlają je w pierwotnej jego świeżości; stąd pochodzi ich wielka wartość. Z wątpliwości krytycznych co do praktycznych projektów reorganizacyjnych Comtea, które, sądząc z listu do Eichthala, po przeczytaniu Comteowskiego szkicu z r. 1822 musiały być bardzo silne, tutaj nie nie znać: Mill przemawia tu raczej, jakby do swego starszego brata w filozofji, jeśli nawet nie jak uczeń do mistrza swego. Wprawdzie różnice zdań o szczegółach jeszcze istnieją; dotyczą one najczęściej „statyki“ Comtea; ale Mill myli się co do ich doniosłości i spuszcza z oka jednostronność ciasnego systematyka, zauważoną w r. 1829. To też ze skromnością prawie pokorną, znaną nam

z listów Milla do Carlylea, ofiaruje Comteowi swoje współpracownictwo w jego wielkim „pozytywnym“ dziele reorganizacyjnym, zupełnie przekonany o skuteczności „metody pozytywnej“, chociaż, co prawda, wskazuje z góry na oporność ludzi, którzy wyrosli w metafizyce negatywnej albo w teologicznym sposobie myślenia. Ten stosunek przetrwał jeszcze po ogłoszeniu Logiki (początek r. 1843). Słowa, z którymi to znakomite swe dzieło przesłał Comteowi, równają się niemal przeproszeniu, że śmiał je napisać. Było, jak powiada, już w dwóch trzecich gotowe, kiedy poznał filozofję Comtea, a i ostatnia trzecia część (logika nauki duchowej) była w głównych zarysach już naszkicowana. Obiecuje więc, że nie podejmie tymczasem żadnego planu większych dzieł filozoficznych, ponieważ prawdopodobnie zawiązą się między niemi dyskusje filozoficzne wielkiego znaczenia dla jego przyszłych prac. Najbliższe czasy mają być poświęcone jego dalszemu wychowaniu filozoficznemu. „Zresztą mam nadzieję, że z Pańskich łaskawych rad odniosę korzyść dla kierunku moich prac umysłowych, zwłaszcza, kiedy Pan (po przeczytaniu mojej książki) zdoła lepiej poznać i ocenić rodzaj moich szczególnych uzdolnień“. List, w którym to czytamy (13, III, 1843), oznacza punkt kulminacyjny pozytywistycznych uprzedzeń Milla, które trwają aż do końca r. 1844. Powoli na pierwszy plan dyskusji występują kwestje „drugorzędne“

(zwłaszcza sprawa kobieca), czar pryska, wymiana listów trwa wprawdzie jeszcze do 17, V, 1847, ale radość z wymiany myśli znika. Ostatnie listy tej korespondencji mają więc jedynie znaczenie osobiste. Zupełne zerwanie nastąpiłoby przy twardym, nieugiętym, kłótliwym charakterze Comtea zapewne i tak prędzej czy później z powodów rzeczowych; ale z wielką przykrością trzeba powiedzieć, iż zewnętrznym powodem do niego była pretensja Comtea do pobierania udzielonej mu jednorazowo przez Grotea, Moleswortha i Curriea za staraniem Milla zapomogi w sumie 6000 franków dopóty, dopóki Comte pozostawał bez posady rządowej. Odpowiedź Milla jest wzorem taktownego odparcia natrętnego i aroganckiego bakalarstwa. W ogóle te listy są pełne rysów, świadczących o szlachetnym, ofiarnym, skromnym, bezstronnym, zawsze skierowanym ku temu, co wielkie i ogólne, usposobieniu Milla.

2. Aleksander Bain (Mill, 2, 70 i nast.) uzupełnia to sprawozdanie ważnemi szczegółami. Pozostawał on od r. 1830, a więc już na dwa lata przed rozpoczęciem korespondencji z Comtem, w osobistych stosunkach z naszym filozofem; dzięki swojemu niezwykłemu uzdolnieniu naukowemu, jak nikt inny, był obeznany ze sposobem myślenia i czucia swego starszego przyjaciela, i dlatego to, co on pisze, może uchodzić za świadectwo klasyczne. Wielkie dzieło Comtea on sam zna od r. 1843; w czasie

czytania rozbierał szczegółowo każdy rozdział, a stąd można wnioskować, że już z góry uznanie i przyswojenie sobie rzeczy cennych równoważyło odrzucenie błędnych szczegółów, naciąganych konstrukcji historycznych i spaczonych ocen. Lecz z tej jednej okoliczności, że Bain wiedział o korespondencji obydwu mężów, ale jej samej, oprócz listów, wymienionych w sprawie kobiecej, w czasie jej pisania wcale nie widział, można wnioskować, czym w tym okresie (od 1841 do 1844) był dla Milla Comte, jako myśliciel i jako człowiek. Pewność i zwartość myśli Comtea, a zapewne i samowolność jego charakteru, dochodząca do uporu, zapewne ujarzmiły bardziej odbiorczego, po kobiecemu delikatnie czującego i wrażliwego Milla. Był jakby ołsniony, a wrodzona otwartość Francuza rozwiązała język wstydliwemu i dyskretnemu człowiekowi. Był niezwykle otwarty i bezkrytycznie wdzięczny. Doznawał uczucia, jak gdyby tylko odbierał, a nic nie dawał. Nie wyrzekając się własnych dobrze uzasadnionych mniemań i przekonań, wyrobionych z zastanowieniem naukowym, chwilowo je usuwał na dalszy plan, jak gdyby nie miały wielkiego znaczenia, i puszczał płazem ryzykowne twierdzenia Comtea, nie wytykając ich błędności. Nad jego potępieniem protestantyzmu, na który, jak wiadomo, czciciel Lojoli składa odpowiedzialność za nowożytną anarchję myśli i który później szkałuje na wyścigi z de

Maistrem, Mill wprawdzie głęboko ubolewał; ale nawet jego błędne ocenianie polityki angielskiej, jego lekceważenie ekonomji politycznej, polegające na powierzchownej znajomości, a nawet surowość ocen Comtea, nierzadko granicząca z arogancją i zarozumiałością, nie zdołały z początku obniżyć w nim podziwu dla męża, który nadawał mocne punkty oparcia, jakby o jakieś centrum, jego myślom, gubiącym się bardziej w badaniach szczegółowych, filozoficznych i politycznych.

Podług Baina Mill przejął z Comtea do swej logiki nauk duchowych: rozróżnienie statyki a dynamiki społecznej, oraz konstrukcję przebiegu historycznego wedle trzech stopni poznania, nacechowanych przewagą ducha teologicznego, metafizycznego i pozytywnego. Bain uważa to za znaczną korzyść ze stosunków obydwu myślicieli. Rozróżnianie statyki od dynamiki zdaniem jego z abstrakcyjnej mechaniki, określającej na podstawie przypuszczenia pewnych punktów siły stosunki i zmiany ich położenia, przeszło do biologji, gdzie doprowadziło do odróżniania struktury (anatomja) i funkcji (fizjologja); w socjologii zaś występuje jako przeciwieństwo między pierwiastkami porządku a pierwiastkami postępu. Mill przeniósł je znów do ekonomji politycznej, gdzie stosunki wytwórczości, jako dane naturalne, przedstawiają pierwiastek statyczny, a stosunki podziału (wymiany, posiadania), wywoływane czynnikami bardziej osobistymi (albo histo-

rycznemi i sztucznie społecznemi)—pierwiastek dynamiczny. Jednak w podręczniku ekonomji to odróżnienie pozostaje tylko na powierzchni; produkcja nie jest czysto naturalna, jej technika jest raczej zależna w znacznej mierze od osiągniętego każdorazowo stopnia gospodarstwa i poznania, a więc od pierwiastków nie-statycznych. A przebieg wytwarzania nie jest znów koniecznie związany ze stosunkami podziału i posiadania, oraz z wsuwającą się pomiędzy te stosunki techniką wymiany i handlu. Bez pojęcia stopnia gospodarczego dynamika w ekonomji politycznej w ogóle nie może być przeprowadzona, a do tego pojęcia Mill niebardzo się zbliżył. Płodniejszym staje się to odróżnienie w „Rządzie reprezentacyjnym“ (R. G.). Gdyby Mill był rzeczywiście napisał socjologję, do czego zachęcał go Comte, wtedy w podziale materiału uwidoczniłyby się te podstawowe odróżnienia.

3. Wracam teraz do Milla samego. W r. 1837. czyta dwa pierwsze tomy „Philosophie positive“, wprowadzone do Anglii przez Wheatstona; w r. 1840. kończy szóstą księgę Logiki, logikę nauk duchowych, a w pierwszym wydaniu gotowego dzieła w r. 1843. wysławia Comtea, jako „największą żyjącą powagę w sprawie metod naukowych“; jego znajomość tych metod, jego sąd o ich związkach uważa za rozstrzygające. W późniejszych wydaniach te pochlebne przymiotniki opuszczono albo znacznie osłabiono, ale główna

podstawa jego wysokiego o nim mniemania, uznanie zasługi Comtea, polegającej na zakreśleniu planu i metod nauk społecznych, pozostaje nietkniętą; jemu, jak powiada, należy się trwała zasługa, że uzasadnił filozoficznie metody historyczne, przez co studjum zjawisk społecznych staje się dopiero naukowym (porówn. Logika 6, 10 § 8). Ale kiedy pierwsze upajające wrażenie osobowości filozoficznej Comtea się zatarło, niema już żadnego powodu do zakrywania istniejących między nimi różnic zdania. W Logice samej zastrzega się przeciwko drugiemu okresowi Comtea i energicznie odiera projekty reorganizacyjne Polityki pozytywnej wraz z ich hegiemonją filozofów i uczonych w państwie przyszłości. Podział hierarchiczny, jarzmo wiary pozytywistycznej i pęta, narzucone przez nią sumieniu i osobistości, krępowanej w swym swobodnym rozwoju, były dla wybitnie indywidualnego uczucia Milla wstrętne. W tej samej księdze ostro występuje przeciwko dogmatowi Comtea o niezmienności różnic umysłu i charakteru wśród ludzi, przeciwko ich pojmowaniu jako faktu ostatecznego, i dogmat ten nazywa zboczeniem od prawdziwej naukowości. Mill mniema, że te różnice zależą prawie zupełnie od wychowania i wpływów środowiska, i w tym jest niepoprawnym synem 18. stulecia. To ostre wystąpienie naturalnie ukrywa w sobie zarzut przeciwko stanowisku Comtea w kwestji kobiecej, której jednak w Logice

nie dotyka. Dla Francuza kobieta jest powołana na kapłankę domowego ogniska, a dążenia emancypacyjne kobiet, które w Millu znalazły swego pierwszego wielkiego bojownika, Comte w swej korespondencji otwarcie kładzie na karb jego niedostatecznych wiadomości biologicznych. Powiązane z tą sprawą potępienie przez Comtea nauki Condorceta o nieograniczonej zdolności rodzaju ludzkiego do udoskonalenia Mill, jak tyle innych rzeczy, przeczytał cierpliwie i pominął milczeniem, gdy tymczasem Comte, któremu pochlebiała pochwała, udzielona mu w *Logice Milla*, i który był wzruszony wystąpieniem Milla w jego obronie przeciwko poniżaniu jego zasług naukowych przez astronoma Hershla, pominął milczeniem cytate, umieszczoną na czele szóstej księgi *Logiki*, ze szkicu Condorceta o postępach umysłu ludzkiego. Zresztą Mill w ciągu swego obrachunku z osiemnastym stuleciem (w rozprawie o Benthamie, 1838; WW. X 179) nigdy nie odmawiał swego szacunku takim mężom, jak Helvetius; chwali jego bystry komentarz na temat panowania klas i moralności klasowej w dziejach.

4. Takie były wzajemne stosunki obydwu myślicieli, gdy się ukazały rozprawy Milla o „Augustie Comcie i pozytywizmie“ (*Westm. Review* 1864, w następnym roku w formie książkowej). W nich czyni odróżnienie między „zdrowym“ pojmowaniem w „*Cours de philosophie positive*“,

a zboczeniami w „Politique positive“, w której „podmiotowy“ Comte, założyciel religji i twórca nowego kalendarza świętych, z nienawiści do demokracji z fanatycznym rozmachem staje w obronie metod obrożowych i instytucji przymusowych średniowiecza, nie rozumiejąc głębszych ruchów gospodarczych, które politycznym dążeniom emancypacyjnym nadały ich moc nieprzepartą. W korespondencji Mill prawie w tym samym pogardliwym znaczeniu, jakie ten wyraz miał w ustach Comtea, mówił o „negatywnej“ szkole w polityce i filozofji; ale w r. 1864. znajduje przyjemność w dowodzeniu, iż negacje szkoły metafizycznej są tylko ideologicznym wyrazem obecnego stadium przejściowego do zorganizowanej demokracji (bo choć Mill nie używa tej nazwy, była ona politycznym ideałem Milla), oraz w napiętnowaniu politycznego stanowiska Comtea, wraz z jego szorstkim odrzuceniem emancypacji kobiet, jako atawizmu społecznego. Ważniejsze jest to, có Mill powiada o zdrowych częściach doktryny Comtea. Na czym polega to zdrowie? Najpierw na wyznawaniu „pozytywizmu“, na wymaganiu, żeby naukę i badanie ograniczyć do ustalenia prawidłowości w świecie zjawisk. Oprócz nazwy, Mill w tym pojmowaniu nie znajduje nic oryginalnego; zdaniem jego wytworzyli je Galileusz, Newton, Kepler sposobem swego wyjaśniania przyrody, uzasadnili je filozoficznie myśliciele tacy, jak Bacon, Hume, Bentham, James

Mill i umysły pokrewne. Nową jest przeciwnie przeprowadzona z wielką bystrością i ogromnym odczytaniem, próba wykazania w dziejach powstawania ducha pozytywnego i następowania po sobie trzech stopni poznania, według rozszerzonej terminologii Milla: stopnia teologicznego czyli animistycznego (fetysyzm, politeizm, monoteizm), stopnia ontologiczno-metafizycznego (idee o przyczynie bytu: okres dogmatyczny, sceptyczny i krytyczny), i stopnia fenomenologicznego (w terminologii Comtea: pozytywistycznego). Wiara w niezmienność praw ma oznaczać nastanie okresu pozytywnego. Jeśli jednak każda nauka musi przechodzić przez wszystkie trzy fazy, to z tego nie wynika, jak Mill na uczynione zarzuty wyraźnie odpowiada, żeby wszystkie nauki jednocześnie miały wstępować z jednego stadjum do drugiego, ani też, żeby nie mogło istnieć obok siebie traktowanie nauk, odpowiadające to jednemu, to drugiemu stopniowi rozwoju. Takiemu mniemaniu zaprzeczałaby zarówno historia, jak teraźniejszość; ale nie znajdujemy go ani u Comtea, ani u Milla. Obydwaj myśliciele dobrze wiedzą, że społeczeństwo pod względem społeczno-politycznym i produkcyjno-technicznym, jak i pod względem swych form myślenia i wierzenia, a więc pod względem ideologicznym, nigdy nie ma form wszędzie jednorodnych; nie przypuszczają więc, jakoby n. p. gospodarstwo pieniężne jednocześnie i wszędzie zastąpiło gospodarstwo naturalne,

jakoby manufaktura jednym zamachem wyparła przemysł domowy, a przemysł fabryczny manufakturę, wielki handel drobny handel i t. p. Wiedzą, że społeczeństwo raczej ma mnóstwo zaległości we wszelkiej dziedzinie materialnej i ideologicznej, że jest przepelnione formami atawistycznymi, nawet w czystej nauce. Ale twierdzą stanowczo, że w dziedzinie poznania (które Comte uwzględnia w ogóle, Mill zaś wyłącznie w tym punkcie) umysł ma tendencję do przebieżenia tych trzech stopni rozwoju. Ze zrozumienia tego prawa rozwoju Comte czyni prawo, a nawet rozkaznik.

Rozumie się samo przez się, że Comte nie mógł przeoczyć, iż społeczeństwo ludzkie i kultura w swym istnieniu i wzrastaniu są powiązane z warunkami materialnymi; ale on w swym wyjaśnianiu procesów historycznych o wiele większy niż Mill kładzie nacisk na stronę ideologiczną, ponieważ środowisko biologiczne (*milieu biologique*: rasę, klimat, glebę) uważa za coś stałego, a działalność gospodarczą człowieka tylko za proces duchowy. Barth (*Filozofja historii*, I, 350) zaznacza, że technika produkcji i technologia, nie mówiąc już o formach stosunków towarzyskich i formach państwowych, opierają się na uprzednim istnieniu systematów myśli. Jeśli Sigwart (*II*², § 39, 607) za właściwe jądro historii uważa wewnętrzne procesy duchowe w człowieku, a z tego, co wkracza do zewnątrz-

nej przyrody, tylko to zalicza do historii, co wynikło z ludzkiego życia duchowego i znów na nie oddziaływa, to w tych słowach daje najtrafniejszy wyraz pojmowaniu Comtea. Przy roztrząsaniu pojęcia postępu i Mill ku niemu się skłania. Jego określenie pojęcia faktu historycznego z nim się zgadza; a więc i dla niego procesy ekonomiczne leżą z tej strony świadomości. Ale pozostaje rzeczą nierozstrzygniętą, jakie znaczenie on przykłada do interesów ekonomicznych wewnątrz całości ruchu historycznego, t. j. jakie jest jego stanowisko względem ekonomicznego pojmowania dziejów. W tym miejscu (Pos. 70 i nast.) zgadza się bez zastrzeżeń z Comtem i przyznaje, że wyrobienie umysłowe jest najsilniejszą dźwignią w rozwoju ludzi. Zauważmy dobrze: ludzi, a nie: człowieka. Namiętności są w jednostce ludzkiej silniejszą potęgą, niż proste poznanie albo przekonanie, ale namiętności mają własność dzielenia ludzi, a nie jednoczenia ich; tylko wspólna wiara może ich doprowadzić do tego, żeby działali zjednoczeni, może z nich uczynić siłę zbiorową, zamiast żeby się rozprysli na siły jednostkowe i nawzajem się obezwładniali. Nasza inteligencja kieruje się najpierw bodźcem naszych potrzeb zwierzęcych i naszych silniejszych i grubszych żądź, czyli mówiąc z Schopenhauerem: inteligencja jest rzeczą wtórną względem woli zwierzęcej (to jest życia popędowego) i pozostaje

staje długo jej sługą. Wola zwierzęca przez długi czas prawie wyłącznie określa kierunek, w którym pracuje nasza inteligencja; ale skoro ta się raz obudzi do wyższej działalności, wtedy coraz to bardziej obejmuje przewodnictwo w czynnościach, do których silniejsze popędy dają podniecie, i zmusza je do ulegania jej przewodnictwu, nie własną swą siłą, lecz dlatego, że w grze sił ścierających się droga, po której ona prowadzi, jest drogą najmniejszego oporu. Interesy i uczucia osobiste mogą w stanie społecznienia osiągnąć maximum swego zadowolenia tylko drogą współdziałania, a koniecznym warunkiem współdziałania jest wspólna wiara. Wszelkie zrzeszenie ludzkie opiera się zatem na systemie mniemań podstawowych, którego dostarczyć może tylko zdolność spekulacyjna, i który, skoro istnieje, innym naszym popędem wskazuje drogę, na której mają szukać swego zaspokojenia. Dlatego historia mniemań i zdolności spekulacyjnej była zawsze pierwiastkiem kierowniczym w dziejach rodzaju ludzkiego (str. 71, 72). Ten schemat konstrukcji historycznej w głównych swych punktach zgadza się z poglądami, które się rozwinęły w Millu w czasie przejściowym pomiędzy r. 1830. a 1840. pod wpływem myślicieli kontynentalnych. Tych poglądów już nigdy nie zarzucił.

Wielką wagę Mill przywiązuje następnie do Comteowskiego głównego podziału nauk na ab-

strakcyjne i konkretne, podziału, który zdaje się być identycznym z powstałym niedawno (tak n. p. w rozprawie Windelbanda „Geschichte und Naturwissenschaft,“ 1894; dalsze rozwinięcie w H. Rickerta „Grenzen der naturwissenschaftlichen Begriffsbildung“, 1896) rozróżnianiem nauk nomotetycznych (prawodawczych) i ideograficznych (opisowych). Nauki abstrakcyjne zajmują się prawami, które rządzą elementarnymi faktami przyrody, zajmują się, jak Comte powiada, procesami (powtarzającymi się niezmiennie i w tej samej formie); nauki konkretne zaś zajmują się istotami czyli przedmiotami. Procesy pojmują się jako typowe: są one bezczasowe; przedmioty zaś, n. p. w mineralogji, opisuje się dokładnie, wraz z wszelką przypadkowością, do nich przyczepioną, jako istoty jednostkowe, jakkolwiek naturalnie każda złożona istota jednostkowa w swych częściach jest zależna od praw mechanicznych, fizykalnych, chemicznych. Na tym rozróżnieniu gruntuje się Comteowska hierachja nauk, bo u Comtea nauki tworzą szereg, zaczynający się od nauk abstrakcyjnych a kończący się na konkretnych, obejmujących coraz to bardziej złożone przedmioty. Porządek następstwa nauk jest następujący: matematyka (arytmetyka, geometria, mechanika); astronomja; fizyka; chemja; biologja; socjologja czyli nauka o społeczeństwie, której zjawiska zależą od głównych prawd wszy stkich innych nauk i bez nich nie mogą być zro-

zumiane. Nauki ideograficzne, przedewszystkim historia i socjologia, nie występują tu więc bynajmniej w zasadniczym przeciwieństwie do nomotetycznych; że są ideograficzne czyli tymczasem jeszcze konkretne, jest to ich braki, który się wyjaśnia ze złożoności ich przedmiotów. Nie ich różnice należy uwzględniać—na które wedle Milla Buckle właśnie zwrócił swą uwagę, w przeciwieństwie do Comte'a—lecz ich wspólności, ich prawa; na to, co w nich jest „ideą“, co stanowi udział faktu pojedynczego w czymś typowym, w pojęciu gatunkowym. Z odosobnionego faktu niczego się nauczyć nie można, a właśnie przy uogólniającym rozważaniu faktów społecznych w przeszłości i dziejach chcielibyśmy się czegoś nauczyć. Bardziej niż dla nauki przyrody jest „fakt“ dla historii i nauki społecznej pojęciem teleologicznym. (Porówn. Windelband, w dziele przyt. str. 20, oraz energiczne wystąpienie przeciw niemu historyka Lamprechta: „Die kulturgeschichtliche Methode“, Berl. 1900, str. 24). Czysto ideograficznymi jednak nauki historyczne nigdy nie były; właśnie one po wszystkie czasy posiadały wielką liczbę uogólnień empirycznych, które służyły na codzienny użytek każdego człowieka politycznego. A zatem dążymy dziś do tego, żeby nauki konkretne podnieść do stanowiska abstrakcyjnych, żeby dotychczasowe uogólnienia empiryczne zastąpić prawami (porówn. Milla „Comte“, str. 25). Nadzieja sprowadzenia dla

socjologii, zapomocą rozważań metodologicznych, przejścia od nauki empirycznej do nomotetycznej była z młodych lat marzeniem Comtea, a i John Stuart Mill pieścił się nią, z natchnienia Comtea, w ciągu całego życia. W tym celu przedsięwziął Comte napisanie Logiki nauk poszczególnych, a więc przedstawienie procesów umysłowych, dzięki którym stały się „pozytywnymi“. Mill powiada: z wspaniałym wynikiem dla nauk podstawowych. Ale właśnie przedstawienie logiki socjologii zdaniem Milla zupełnie się nie udało; przeciwnie wedle niego Comte ani jej nie podjął, ani wogóle nie rozumiał zagadnienia, o które tu chodziło (miejsce przyt: 39 i nast.; inaczej w Logice 6, 9, § 1.; a nawet w Pozytywizmie, 60 i nast.). Ten brak wiąże Mill ze szczerbami, które oddawna spostrzegł w systemacie Milla: nie było w nim filozoficznej teorii poznania. Logika, jako nauka o nauce, pozostała dla niego myślą obcą; wszak główne zagadnienie logiki indukcyjnej, zagadnienie o argumentach naszych sądów doświadczalnych, o ich wartości poznawczej, Comte nazwał mżonką; jego obchodziła jedynie logika odkryć, wynajdowania, uwzględniał jedynie faktyczne sposoby postępowania w badaniu. Również i drugą fatalną bolączkę pozytywizmu wytyka Mill, zwykle pozornie zgadzający się bezwarunkowo na wszystko zwolennik, mianowicie: jego lekce-

ważenie psychologii, jego przekonanie, że do faktów duchowych można dotrzeć z dołu, z fizjologii, jego zabobon frenologiczny. Rzecz godna uwagi, do jakich niekonsekwencji skusiły myśliciela francuskiego braki w podstawie filozoficznej jego „systemu“: w roważaniu ogólnym nie uznawał umysłu, jako samodzielnego czynnika decydującego, w szczególnym zaś ruchu historycznym nie uznawał czynników gospodarczych. Mill zaś czynnikiem gospodarczym przyznawał wprawdzie w roważaniu socjologicznym szeroki zakres działania, ale metodologicznie zawsze rozpoczynał od świadomości. Dlatego Mill sądził, że dla zadania szóstej księgi Logiki, to jest opracowania metodologicznych założeń socjologii, nie mógł u francuskiego myśliciela znaleźć żadnego poparcia; przeciwnie, stawia mu naodwrot zarzut (waga do str. 41 w dziele przyt.), iż on nie skorzystał z jego przyczynków do konstrukcji metody pozytywnej.

Faktycznie obydwaj myśliciele w tak ważnym zagadnieniu metodyki nauki o społeczeństwie bardzo się różnią. Comte uważa tak zw. przez Milla metodę odwrotnie dedukcyjną czyli historyczną w tej dziedzinie za jedynie użyteczną; Mill stawia obok niej, jako równouprawnioną, metodę fizykalną czyli konkretnie-dedukcyjną. O tym pomówię obszernie w innym miejscu (zob. poniżej w rozdz IV). Tutaj tylko zaznaczę: To, co w szóstej księdze Logiki, skończonej już w r.

1840., poprzedza i następuje po rozbiórce tych dwóch metod: rozdziały o wolności i konieczności, o prawach umysłu (4), o etologii (5), o zagadnieniu, czy w dziejach czynnikiem rozstrzygającym jest wielka jednostka czy masa, — to wszystko wyraźnie wskazuje, że Mill faktycznie traktował założenia logiczne nauk duchowych systematyczniej i wszechstronniej od Comtea; że starał się niezależnie od Comtea wyjaśnić sobie to, co ma uchodzić za fakt historyczny; że usiłował wyraźnie i ściśle ująć pojęcie przyczynowości historycznej i że jedynie w celu powiązania tej samodzielnie zakreślonej grupy zagadnień, zwrócił się ku myślom przewodnim pozytywizmu Comteowskiego, przez co oczywiście i materia jego własnych wywodów uległa pewnym zmianom w tym kierunku, bardziej, niż był tego świadom.

5. Lata zniw. (1843—1873).

John Stuart Mill aż do końca życia uczył się i uczył się na nowo. Temi samymi pozostały właściwie jedynie jego odwaga w poszukiwaniu prawdy i jego sposób pracowania, którego jądro stanowiły stosowanie metod, podlegających kontroli naukowej, i silna wola nieuważania żadnego badania za skończone, dopóki całe, w jakikolwiek dostępne doświadczenie nie było wciąż

gnięte w jego zakres. Lecz nieustanna świadomość, iż nigdy nie wyczerpie tego doświadczenia, nigdy nie opuszczała naszego myśliciela i wycisnęła na jego sędzie piętno niepewności w takich razach, w których czytający i uczący się żąda stanowczej odpowiedzi. Ale to zdarza się prawie wyłącznie w zagadnieniach teoretycznych. W sprawach praktycznych Mill miał i wyznawał stanowcze przekonania.

Kierunek tych przekonań był już wcześniej widoczny, a w ich ujęciu i sformułowaniu nie zaszły godniejsze wspomnienia zmiany zasadnicze i wtedy, gdy A. Comte dokonał swego dzieła wpływania na Milla.

Był wewnątrznie zupełnie dojrzały i w zgodzie z sobą, gdy wyszły Logika (1843) i Zasady ekonomji politycznej (1848). Odtąd uchodził za przewodnika, za niezaprzeczoną głowę pozytywizmu angielskiego. Co prawda, gdy posłuchamy Milla samego, wszystkie dawniejsze wpływy pod względem umysłowym i uczuciowym cofają się w cień wobec największej przyjaźni jego życia, którą zawarł w r. 1831. z panią Taylor. Po śmierci męża żyła z Millem w szczęśliwym małżeństwie aż do swego zgonu (1851—8). Jej, „apostołowi postępu“, jego „nieomyłnej prawie doradczyni“, zawdzięczalibyśmy wedle jego wyznania to, co w jego najlepszych dziełach społeczno-ekonomicznych i socjologicznych jest najlepszego, i na nią, której wysokiemu umysłowi Mill, gdzie

tylko może, składa hołd w słowach pełnych zachwytu i wdzięcznej uległości, spływa przeto sława, iż myślom tego wybitnego filozofa nadała wykończenie i ostatnią ogładę.

Nie podlega naturalnie wątpliwości, że wysokie mniemanie o niej Milla obiektywnie było bardzo przesadzone. Kobieta mądra i wykształcona, interesująca się żywo sprawami publicznymi oraz zmierzającymi ku nim poważnymi spekulacjami, odznaczająca się prawdopodobnie artystycznie żywym temperamentem, była jakby stworzona na uzupełnienie filozofa, który wzrósł w twardej szkole niezmordowanej pracy myślowej.

Z tego, co Mill sam przyznaje, że strona abstrakcyjna i naukowa jest jego własnością, a nuta ogólnoludzka od niej dostała się do jego dzieła (Ekon. polit. na pocz.), można bardzo dobrze wywieść wskazany powyżej charakter tej kobiety i wyjaśnić, w jakim sensie Mill to rozumie, gdy „pod względem zastosowania filozofji do potrzeb społeczeństwa ludzkiego i postępu“ nazywa się jej uczniem. Że zresztą i skłonność płciowa wpływała na cały ten stosunek, niezwykły, dopóki żył pan Taylor, wynika choćby z uporczywości, z jakim Mill wbrew całemu światu, a także wbrew perswazjom ojca, pozostawał mu wiernym. Gdy ona umarła, Mill jakby zagasł. Odtąd uważał się tylko za „przewodnik idei“.

Rzecz godna uwagi: im ściślej stawały się jego stosunki z panią Taylor, tym wyłącziej oddawał się Mill studjom socjologicznym i społeczno-politycznym. Oprócz licznych rozprawek (Obrona rewolucji francuskiej w r. 1848. przeciwko Broughamowi; o filozofji moralnej Wewella, 1852 i in.) i oprócz Zasad ekonomji politycznej, powstały przed jej oczyma, choć dopiero po jej śmierci były ogłoszone: książka o wolności (59), „Myśli o reformie parlamentu“ (59). „Poddaństwo kobiety“, napisane w r. 1861, ale wydane dopiero w r. 1869., autor sam podaje za wspólną pracę, za wynik niezliczonych pogadanek ze zmarłą swą żoną. Z Reformą parlamentarną wiąże się „Rząd reprezentacyjny“ (61). Również i „Aug. Comte i pozytywizm“ należy do zakresu myśli, omawianego w tych dziełach. Mill bierze żywy udział w bieżącej polityce, uważa za swój obowiązek przeszkodzić, żeby się stała areną popisu dla różnych partyzantów dziennikarzy. Łatwo więc pojąć, że powziął życzenie, żeby mógł osobiście bronić swych poglądów w parlamencie. Ale to ulubione życzenie mogło się spełnić wtedy dopiero, gdy wskutek upaństwowienia Towarzystwa wschodnio-indyjskiego pozbył się brzemienia swego urzędu (58). W pięć lat później wszedł do parlamentu, jako poseł westminsterski; przystąpił do lewego skrzydła stronnictwa liberalnego, pozostającego pod przewodem Gladstonea. Ale dla radykalnej sa-

modzielności jego przekonań nie było miejsca w stronnictwie radykalnym: r. 1868. stracił swój mandat. Wielkiego mówcy przez to parlament nie stracił. Mill przemawiał jasno i rzeczowo, a przytym z przekonywającym ciepłem; ale porywać słuchaczy—tego „Święty racjonalizmu“ nie umiał.

Przed jego wejściem do parlamentu wyszły dwa ważne dzieła filozoficzne „Utylitaryzm“ (1861) i „Rozbiór filozofji Sir W. Hamiltona“ (65). Drugie z tych dzieł jest jego głównym dziełem filozoficznym, wyjaśniającym wszechstronnie, mimo swej cechy polemicznej, stanowisko Milla w świecie myśli. W czasie swej działalności parlamentarnej napisał, biorąc asumpt z dzieła Grotea, doskonałą rozprawę o Platonie (DD 3, 275 i nast., 1866), oraz uskutečnił nowe wydanie swej Logiki, które dzięki wielkiej popularności jego imienia, uzyskanej przez jego wystąpienie publiczne, wraz z innemi głównemi jego dziełami rozeszło się w ogromnej ilości egzemplarzy. W r. 1867. jako rektor honorowy uniwersytetu Św. Andrzeja, miał godną uwagi przemowę do studentów (WW 1., 205 i nast.), w której rozwodził się nad stosunkową wartością kształcącą języków klasycznych, które wysoko cenił, a nauk. Ostatnie lata życia nasz filozof prawie wyłącznie, tylko od czasu do czasu przyjeżdżając do ojczyzny, przepędził w swej willi pod Awinjonem, święcąc pamięć swej żo-

ny, tam umarłej i pochowanej, zajmując się gorliwie życiem publicznym i naukowym swego czasu, zajęty skrętną pracą literacką, której owoce wyszły w jego dziełach pośmiertnych: w Autobiografji (1873), w trzech Próbach o religji (1874), we Fragmentach o socjalizmie (Chapters on socialism, 1879). Wydaniem tych dzieł zajęła się panna Helena Taylor, jego pasierbica, która po śmierci matki prowadziła mu gospodarstwo.

Ostatnie lata życia Milla upłynęły spokojnie. Także i zdrowie jego, które zawsze szwankowało i któremu kilkakrotnie, n. p. r. 48., a zwłaszcza w r. 54. zagrażał zupełny upadek, pozornie wzmocniło się znacznie, tak że mógł się oddawać swemu namiętnemu zamiłowaniu przyrody, a zwłaszcza zbieraniu roślin, na długich przechadzkach. Objęła go kontemplacja prawdziwie filozoficzna, a w sielance jego ustronia wiejskiego nie przeszkadzało mu nawet natręctwo ciekawych, przyciąganych jego sławą. Umarł 8. maja r. 1873. Gdy mu potwierdzono, że stan jego jest beznadziejny, wypowiedział te słowa: „Dzieło moje skończone“.

6. Wpływ Johna Stuarta Milla na współczesnych i na potomność.

W swoim studjum o pozytywizmie angielskim (1864) H. Taine powiada o Johnie Stuar-

cie Millu: od czasów Hegla świat nie podobnego nie widział (Préface VII). W czasie wypowiedzenia tych słów wpływ filozoficzny Milla faktycznie dosięgł swego szczytu. Najważniejsze z wydanych dotychczas jego prac: Logika (1843), Zasady ekonomji politycznej (1848), Rozprawa o utylitaryzmie (1861), Filozofja państwa (Considerations on representative government, 1860), nareszcie sławne rozprawy o wolności (1859) i o poddaństwie kobiet (1861) nie przedstawiały wprawdzie systematu w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, dołączając nawet do nich krytyczny rozbiór filozofji Hamiltona (1865); ale zadawałały potrzebę praktyczną ziomek jego, wykształconych naukowo, poszukujących żywotnego poglądu na świat. Bo wnikając swym sposobem myślenia i wykładu od obwodu zjawisk wstecz do ich istoty, zbliżały się do postępowania zwykłego zdrowego rozsądku i zyskiwały swą zrozumiałością i poczytnością to, co traciły przez brak ścisłej spoistości myśli i jednolitego wykonania. Niesłychane rozpowszechnienie dzieł Milla przemawia wyraźnie na korzyść wartości takiego postępowania. Faktycznie o wiele więcej światła i jasnego zrozumienia rzeczy wniosły do głów czytelników, niż to się dziś wydaje rzeczą możliwą. Ta sama okoliczność pozwala nam również wnioskować, że styl Milla nie był tak dalece suchy, oraz, że poezja nieuprzedzonego, szczerze zagłębiającego się w swój przedmiot myśli-

ciela i poza szczupłym kołem myślicieli zawodowych mogła być czytana z prawdziwą przyjemnością.

Filozoficzny wpływ Milla zaczął się ujawniać zaraz po śmierci Benthama (1832) i jego ojca, Jamesa Milla (1836). W połowie stulecia był niezaprzeczenie głową filozofów radykalnych. Młodzież uniwersytecka również zwróciła się ku niemu i według świadectwa W. Stanleya Jevonsa¹⁾ pozostała mu wierną aż do końca ósmego dziesiątka lat z. stul. Nareszcie i publicyści i politycy sumienniejsi, zważający więcej na logikę i prawdę, niż na piękność i kwiecistość stylu, chętnie się od niego uczyli.²⁾ Równocześnie i za granicą darzono go nadzwyczajnym uznaniem. Do Francji wprowadzili go najwybitniejsi krytycy, Taine i Ribot.³⁾ To udało im się tym bardziej, że właśnie tam filozofja A. Comtea, oparta na podobnych założeniach, przygotowała grunt dla Millę, oraz że Mill sam przez szczegółową ocenę, jakiej ją poddał w swym dziele o A. Comcie i pozytywizmie (1865), zapewnił

¹⁾ John Stuart Mills Philosophy tested. By professor W. Stanley Jevons. Contemporary Review, grudz. 77, stycz. 78, kwiec. 78, listop. 79,

²⁾ John Morley: Critical Miscellanies, Lond. 1886, III, 38 i nast.: I. 256 i nast., gdzie Milla, jako wychowawcę ku ideałowi, przeciwstawia Macaulayowi, jako nauczycielowi sztuk styłowych.

³⁾ H. Taine: Le positivisme anglais, Paris 1864; T. Ribot: La psychologie anglaise contemporaine, Paris, 1870, p. 87 i nast.

sobie życzliwe zainteresowanie się myślicieli francuskich. W Niemczech zaś filozofja Milla przez długi czas była wysoce ceniona, chociaż dzisiaj zwykle tylko o nim wspominają, aby oświetlić jego niezdolność do zrozumienia Kanta.¹⁾ Fr. A. Lange powołuje się na znaną i uznaną powagę naukową Milla w celu zwalczania optymizmu gospodarczego, a w swej Historji materializmu zalicza go do najpierwszych z pośród tych myślicieli stulecia, którzy uprawiają filozofję naukową.²⁾ Przyrodnicy, historycy, publicyści liczą się z poglądami Milla,³⁾ a kiedy dzisiaj nie wydaje się rzeczą zbyt ryzykowną uważać Milla wraz z Jevonsem za głowę wybitnie nielogiczną,⁴⁾ przed r. 1870. dość często twierdzono, że umysł tak wyłącznie logiczny, jak Mill, nie potrafi stosować z powodzeniem stanowiska historyczno-psychologicznego, gdy chodzi o to, żeby zrozumieć wartość i znaczenie

¹⁾ N. p. w dziełach A. Riehla, O. Liebmana, E. Cohe-
na i in.

²⁾ Fr. Albert Lange: J. Stuart Mills Ansichten über die
soziale Frage itd. Duisburg, 1866, str. 1. Geschichte des Ma-
terialismus, Wohlfeile Ausg. 1887, str. 417.

³⁾ N. p. Liebig, v. Treitschke i in. Liebig pisze w swo-
jej Chemji zwierzęcej, Braunschweig, 1846, przedmowa XVI:
Autor nie może tu pominąć milczeniem, jak wielki był poży-
tek, który dla tego celu odniósł z J. St. Milla „A System
of Logic“, a nawet mniema, że sam ma tylko tę zasługę, iż
niektóre zasady przyrodoznawstwa, postawione przez tego wy-
bitnego filozofa, dalej rozwinął i zastosował do niektórych
poszczególnych procesów.

⁴⁾ Contemporary Review, grudz. 77., vol. 31: In one way
or another Mills intellect was wrecked; tamże: Mills mind

form życia historycznego.¹⁾ Powaga naukowa Milla pozostała nienaruszona aż do jego śmierci; w poczuciu ludu angielskiego żył nawet jeszcze dłużej jako „święty racjonalizmu“, jak go ochrzcił Gladstone. Ale wkrótce dla dorobku naukowego pracy jego życiowej stała się fatalną ta okoliczność, że jego myśli filozoficznej brak było wyrazu skoncentrowanego, oraz że nowe, po części potężne prądy czasu nie znalazły w nim uwzględnienia, odpowiedniego wielkości poruszonych przez nie zagadnień. Te prądy czasu podejmowały już dzieło przeistoczenia świata, gdy Mill mógł jeszcze rościć sobie prawo do uważania się za najbardziej powołanego następcę Schellinga i Hegla.²⁾ Było to mniej więcej w tym

was essentially illogical. Przeciwnie n. p. Aleksander Bain: John Stuart Mill, Lond., 1882, p. 144: He is generally admitted to combine originality and clearness as only very few men have done. The attempts to undervalue his reputation on either head have met with little countenance.—W *Fornightly Review*, vol. 21, p. 652, pisze H. Sidgwick: „If space allowed, it would be interesting to trace the changes that Bentham's system underwent in the teaching of his most distinguished successor (sc. J. St. Mill), under the combined influences of Comtian sociology, Associational psychology, and Neo-Baconian Logic. But such an undertaking would carry us far beyond the limits of the present historical sketch, and right into the midmost, heats of contemporary controversy.“
To zadanie dotychczas jest nierozwiązane.

¹⁾ Carlyle'a „młyny logiczne“ i „młynarze przyczyn“ bez wątpienia mierzą w Milla; Carlyle uważał go za wcielenie czystej logiki. W tym samym świetle Mill ukazywał się dawniej i w Niemczech, jak między innymi wyraźnie wykazuje bezimienna książka „Gneist und Stuart Mill, eine politische Parallele. Berlin 1869.“

²⁾ Kiedy przeczytał sąd, jaki Liebig o nim wydał (zob.

czasie, kiedy w Niemczech i poza Niemcami nauka Schopenhauera zaczynała obejmować panowanie nad umysłami. Mikrokosmosu Lotzego ukazał się w r. 1864. ostatni tom, a już w cztery lata potem okazała się potrzeba nowego wydania. Filozofja pozytywna Comtea wraz z swą podstawą socjologiczną i swemi poglądami społecznymi właśnie w szóstym i w siódmym dziesięcioleciu z. stul. zapuściła korzenie w świecie robotniczym angielskim,¹⁾ nad które, o podźwignieniem moralnym, jak wiadomo, i Mill pracował, poświęcając mu najlepsze swe siły. Tymczasem i darwinizm zaczynał stawać się doktryną, zarówno ważną dla teorii i praktyki, i ustalać się w ujęciu filozoficznym, które mu nadał Herbert Spencer. A nareszcie w tym samym czasie i socjalizm, jako żywotna potęga, staje obok pesymizmu i ewolucjonizmu. A John Stuart Mill nie jest ani pesymistą, ani ewolucjonistą, ani socjalistą, przynajmniej nie w tym ścisłym sensie, jaki tym trzem poglądom nadawali ci, którzy im nadali znaczenie naukowe i praktyczne (Schopenhauer, Darwin, Marx).

Nareszcie musiał także jako pisarz około r. 1860 oddać berło Tomaszowi Carlyleowi i Johnowi Ruskinowi, którzy swoją mądrość życiową

dopisek 3 na str. 93), Mill powiedział: „The true may be known by its fruits Schelling and Hegel have done nothing of its kind“ (Bain, p. 88).

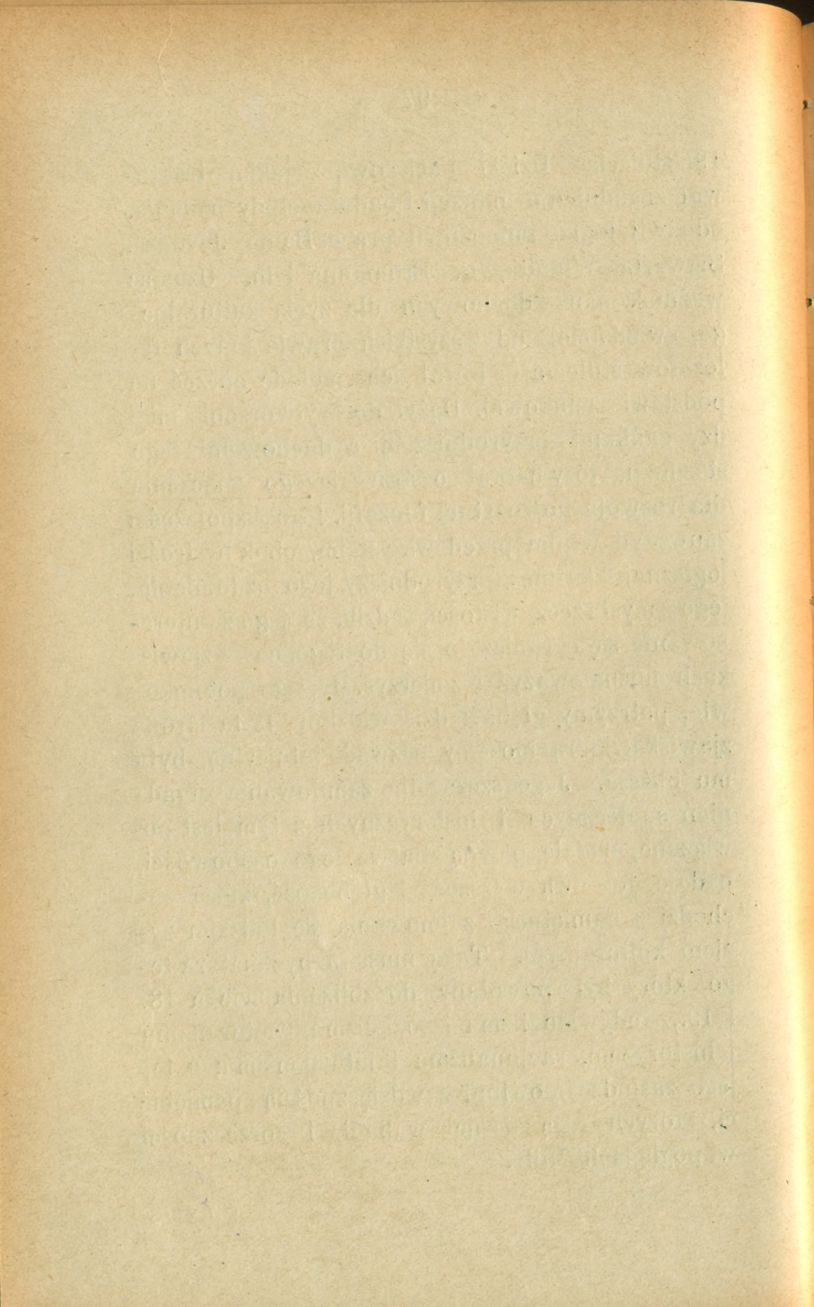
¹⁾ Porówn: Zum sozialen Frieden. Von Dr. G. von Schulze—Gaevernitz. Leipzig 1890, II, 5 i nast.

wykładali z silnemi akcentami osobistemi i potęgą swego wysłowienia wywierali szeroki i głęboki wpływ, jeszcze dzisiaj nie zakończony. Mill, którego wpływ tysiącami kanałów wnikał w życie filozoficzne, naukowe i polityczne jego narodu i jego czasu, został usunięty na dalszy plan: odtąd żył tylko w księgach.

Jego życie książkowe trwa dotąd. Jeszcze się z nim spotykamy na każdym kroku w literaturze gnozeologicznej, logicznej, psychologicznej, etycznej, społeczno-politycznej; jeszcze odzywa się potrzeba zwalczania go albo bronięcia. Niektórzy z najnowszych filozofów (Paulsen, Laas i inni) w ważnych punktach stoją na stanowisku poglądów Millowskich. Nie byłoby tego, gdyby albo filozofja, której on jest przedstawicielem, już zamarła, albo forma, jaką on jej nadał, była prześcignięta. Ani jedno, ani drugie nie zaszło; mniemam, że dlatego, ponieważ Mill starał się z żelazną kosekwencją mniej o zdobycie stanowiska, jak o wyrobienie sobie metody. To, co mu zwykle wytykają jako słabość: natura pośrednicza, dążność do znajdowania pierwiastków wspólnych we wrogich sobie poglądach— jest faktycznie przyczyną, dla której Mill jeszcze żyje w literaturze. Przez tę swoją słabość stał się jednym z wielkich wzorów nowożytnych dla naukowego traktowania filozofji.

Z tą zasługą są powiązane wszystkie inne, które określają stanowisko Milla wśród myślicieli

19. stulecia. Dzięki naciskowi, z jakim traktował zagadnienie indukcji i badał metody badania, odnowił logikę i umożliwił prace Baina, Jevonsa, Sigwarta, Wundta, B. Erdmanna i in. Uznając ważność nauk duchowych dla życia kulturalnego, świadomie od wszystkich prawie innych filozofów stulecia usiłował ich metodę oprzeć na podstawie naukowej. Dążył do wytworzenia między naukami przyrodniczymi a duchowymi tego stosunku, który nabrał rozstrzygającego znaczenia dla rozwoju nowożytnej filozofji. Jego współcześni zauważyli w nim przedewszystkim, obok bystrości logicznej, kierunek przyrodniczy jego uzdolnienia, jego zmysł rzeczywistości; sądzili, że jego zainteresowanie się ograniczało się do tego, co w zjawiskach można zważyć i zmierzyć. My, jego potomkowie, patrzymy głębiej; dziś widzimy, iż ta strona zjawiska, którą możemy nazwać intuicyjną, była mu bliższa. Jego szczególne zamiłowanie zagadnień społecznych i historycznych z tym jest powiązane, nadaje pewną barwę jego osobowości, nadaje jej ową wyższość i głębokość, która pochodzi z namiętnego zajmowania się ludzkim życiem kulturalnym. Taką musiała być natura tego, który był powołany do zbliżenia wieku 18. i 19., indywidualizmu i socjalizmu, naturalizmu i historyzmu, racjonalizmu i intuicjonizmu; o tej jego zasłudze powinni z wdzięcznością pamiętać ci, których rażą liczne wahania i sprzeczności w poglądach Milla.



ROZDZIAŁ TRZECI.

Milla system logiki dedukcyjnej i indukcyjnej.

Ogólny charakter logiki Millowskiej.

Doświadczenie, jako fakt, istnieje; nauka, jako fakt, istnieje; sądzenie czyli uznawanie za -prawdziwe albo fałszywe (ocena logiczna) prawie wszystkich wypowiedzanych zdań (z wyjątkiem rozkazujących, życzących i pytających), jako fakt, istnieje. A dalej: niema nic częstszego, jak samorzutne uogólnienia i naiwne wnioski ze spostrzeganych zdarzeń, a stawianie i odpieranie twierdzeń zdaje się być tak potrzebnym dla życia społecznego, jak dla życia indywidualnego chleb powszedni. Powstają one najpierw wedle praw psychologicznych, rządzących z koniecznością procesami tworzenia się pojęć i sądów, naszego doświadczenia i wiedzy. Lecz jakkolwiek orzeczenia „prawdziwy“ i „fałszywy“ należą do gotowego wypowiedzenia, dla którego oceny logicznej więc sposób jego powstawania psychologicznego zdaje się być obojętnym, to jednak cel myślenia, t. j. myślenie zgodne z prawdą, tak czę



sto bywa chybiany, że dla logiki staje się rzeczą niezbędną, żeby wedle wskazówek naturalnych praw myślenia podawać prawidła i normy, służące prawidłowemu przebiegowi tworzenia się sądów i pomagające mu w praktyce myślenia. Logika, jako nauka o normach myślenia, nie może przeto obejść się bez zwracania uwagi na otoczenie psychologiczne prawidłowego myślenia; muszę znać sposób, jakim faktycznie ludzie myślą, abym mógł dawać przepisy, jak myśleć powinni. Innemi słowy: ponieważ nasze umyślne myślenie, nasz zamiar myślenia prawidłowego prowadzi do wydawania sądów, roszcujących sobie prawo do powszechnej ważności. więc logika musi uwzględniać psychologiczne założenia i warunki tej najważniejszej funkcji myślenia. Jak Mill powiada (Wstęp XXIV): rozmiary logiki, jako nauki, są określone jej wymaganiami, jako sztuki.

Tej zaś części analityczno-psychologicznej wprowadzie w Logice Milla nie brak: często jej się domaga, chce n. p. zanalizować procesy myślowe, podległe procesowi wnoszenia i wnioskowania, ażeby wyjaśnić różnicę pomiędzy prawdziwym a fałszywym wykonaniem tego procesu (Wstęp XXIII). Prawdziwe zrozumienie procesu umysłowego (t. j. wnioskowania), mówi w innym miejscu (Wstęp § 2), jego stadjów i warunków, tworzy jedynie możliwą podstawę dla systemu prawideł, zdolnych do kierowania nim; przy-

tym należy zwrócić na to uwagę, że wnoszenie wnioskowanie, uzasadnianie, wywodzenie jednych sądów z drugih, słowem: d ó w o d z e n i e (jak ważne sądy powstają) zajmuje środek nauki logicznej. Ale okolicznościowo zjawiające się rozbiory psychologiczne sądu i pojęcia nie mogą nas, zadowolić dla braku porządku systematycznego. Co się dzieje pod względem psychologicznym, gdy wydajemy sąd? o to wyraźnie nie pyta; jak się różni myślenie logiczne od psychologicznego, tego ściśle nie odróżnia. Zato Mill zmysłowemu wyrazowi myślenia, t. j. mowie, a zwłaszcza procesowi nadawania nazw, poświęca wielką uwagę; bo wszak myślenie dopiero w mowie otrzymuje przedmiotowe istnienie i dlatego często mija się z swoim celem, gdyż jego znaki, t. j. nazwy i wyrazy, nie są używane je-jednoznacznie. To też pierwsza księga traktuje głównie o „nazwach i zdaniach“, głównie, ale nie wyłącznie. Rozdział 7. i 8. pierwszej księgi (O naturze podziału na klasy i pięciu orzeczników; O definicji) wychodzą poza ramy przedwstępного badania psychologicznego i wraz z rozdz. 4. (O zasadach definicji), 7. i 8. czwartej księgi („O podziale na klasy...“) należą do nauki o klasyfikacji i definicji. Z drugiej strony rozdział drugi księgi czwartej: „O abstrahowaniu i tworzeniu pojęć“ należy do tego badania przedwstępного, które powinnyby wyświełcić stopniowe następstwo: spostrzeżenia, wyobrażenia, ogólnego wyobrażenia, jednoznacznie określonego

wyobrażenia, pojęcia, zanim przejdzie do sądu, jako podstawowej formy żywego aktu myślowego. Trzecia księga, jedna z głównych części Logiki Milla, zajmuje się indukcją, jak zobaczymy: nauką o tworzeniu się sądów syntetycznych a-posteriori, a więc o tym, jak należy zdobywać nowe poznanie z istniejącego. Księga czwarta ma tytuł dodatkowy: „O działaniach pomocniczych indukcji“; rzecz jasna, że w podziale systematycznym treść księgi czwartej powinna być poprzedzona treścią trzeciej księgi.

A dalej: Wypowiadamy zdania, którym przyznajemy wartość przedmiotową, dla których wymagamy konieczności w formie powszechnej obowiązkowości—to jest drugi fakt. Jakiemi środkami uskutecznia się to przejście? Są to zagadnienia gnozeologiczne. Mill wprowadził te zagadnienia, jakoteż inne podobnego rodzaju roztrząsał gruntownie w wielu miejscach swojego dzieła, ale w rozproszeniu i również nie systematycznie. O przechodnim znaczeniu zdania, a więc o właściwej funkcji obleczonego w słowa sądu, traktuje 5. rozdział pierwszej księgi; o „rzeczach“ i ich stosunkach, na które przechodzą zdania i o których coś się wypowiada, traktuje rozdział 3. tejże księgi, w którym przy pomocy rozróżnień zasadniczych (stany świadomości, zawierające podmiotowe a przedmiotowe pierwiastki postrzegania) podejmuje próbę ułożenia nowej tabeli kategorii na miejsce arystotelesowskiej. Wielu podstawowemi pojęciami poznania, jakoto: pewnością

(oczywistością logiczną), prawdopodobieństwem, analogją, przypadkiem, prawem, hipotezą, zajmuje się, w związku z nauką o indukcji, w 3. księdze, natomiast innymi, jakoto pojęciami prawdy koniecznej i pewnika, już w 2. księdze (rozdz. 5. do 8; prawdziwością twierdzeń matematycznych także w ks. 3. rozdz. 24), przez co utrudnia się szczególnie zrozumienie gnozeologicznego kierunku autora. Potrzeba systematycznego wykładu nauki nigdzie nie znajduje zaspokojenia.

Jednak charakter gnozeologiczny Logiki Milla z góry jest stwierdzony. Ze wszystkich stron pada światło na podstawowe zagadnienie logiki: jak dochodzi do skutku sądzenie, posiadające powszechną ważność? (porówn. B. Erdman, Logik I, p. 2 § 3 i przedmowa). Logika Milla wypełnia wymagania, które Wundt (I § 1) stawia logice naukowej: zawiera dla swego uzasadnienia teorię poznania, a dla swego wykończenia naukę o metodzie. Jej charakter gnozeologiczny szczególnie wyraźnie uwydatnia się w 5. rozdz. księgi pierwszej i w rozdziałach 2. i 3. księgi, gdzie jest mowa o wartości logicznej sylogizmu, o podstawie indukcji (ks. 3 rozdz. 3), o prawie powszechnej przyczynowości (tamże rozdz. 5) i jego dowodzie (tamże rozdz. 21). O metodach badania przyrodniczego traktuje rozdz. 8 księgi trzeciej, o metodach nauk duchowych księga szósta.

2 Zdanie jako sąd, sąd jako akt wiary.

Wszelka prawda i wszelki błąd tkwi w zdaniach; wszelkie przyznanie albo nieprzyznanie zwraca się najpierw przeciwko zdaniom. Więc wszystko, co może być przedmiotem twierdzenia albo przeczenia, musi, obleczone w słowa, przyjąć postać zdań. Twierdzenie albo zaprzeczenie jakiego zdania znaczy: wierzyć mu albo nie wierzyć; przez to, iż jest przedmiotem wierzenia albo niewierzenia, zdanie staje się właśnie sądem (porówn, I, 1 § 2 str. 2 i nast.). Właściwą funkcję sądzenia nazywa przeto Mill trafnie *akt em sądzenia* czyli *wiary* (I, 5, § 1, str. 791).

3. Co się twierdzi albo zaprzecza w zdaniu (w sądzie).

Zdanie Mill określa jako wypowiedzenie, w którym coś o czymś się twierdzi albo zaprzecza (I, 1 § 2). Ale najpierw chodzi w zdaniu o nazwy czyli wyrazy; jego trzy podstawowe części składowe: podmiot, orzeczenie i łącznik czyli znak, wskazujący, że coś się twierdzi albo przeczy, są przedewszystkim wyrazami; wyrazy, omawiające podmiot i orzeczenie, są nazwami — ale czego? Nazwami przedmiotów czyli obiektów myślenia (treści wyobraźniowej) — Mill chce uważać nazwy

zawsze za nazwy rzeczy samych, a nie za nazwy naszych wyobrażeń o nich (ks. 1 rozdz. 2 § 1). To wysłowienie mogłoby poniekąd wprowadzić w błąd, ale myśl sama jest jasna. Mill zgodnie z swym poglądem fenomenalistycznym przez „rzeczy“ nie rozumie ani Kantowskiego noumenu, ani bezkrytycznej rzeczy naiwnego realizmu, ale owe wyobrażenia, które zjawiają się w świadomości wskutek podrażnienia narządu zmysłowego i bez przyczynienia się naszej woli, a które odnosimy do „rzeczywistości“, t. j. które za pomocą złożonego procesu myślowego o b j e k t y w u j e m y (u p r z e d m i o t a w i a m y).

W tym znaczeniu Mill powiada, że nazwy muszą przecież być nazwami czegoś; że w „zdanii“ (sądzie) chodzi o r z e c z y, które można nazwać, które zestawiamy z sobą „szczególnym sposobem“ (I, 1 § 2, str. 3) i do których naturalnie (porówn. I, 3 § 3) należą i c z y s t e wyobrażenia czyli obrazy pamięciowe rzeczy spostrzeganych, jakoteż obrazy fantazyjne (chochliki, krasnoludki). Wiara (albo niewiara), tkwiąca we wszelkiej ocenie logicznej zdania, dotyka przeto „rzeczy samej“, a nie jej „idei (wyobrażenia)“; „Gdy powiadam: słońce jest przyczyną światła dziennego“, wtedy nie twierdzę, jakoby moja idea słońca wywoływała czyli wzbudzała we mnie ideę światła dziennego, innemi słowy: jakoby myśl o słońcu wywoływała we mnie myśl o świetle dziennym. Lecz twierdzę, że pewien fakt fizyczny, który nazywa

się obecnością słońca (a który w ostatniej analizie rozkłada się na czucia zmysłowe, nie na wyobrażenia), wywołuje inny fakt fizyczny, zwany światłem dziennym“ (I, 2 § 1 str. 7). Innymi słowy: zdania są według Milla sądami, o ile mają znaczenie przecnodnie (trans-objektywne), gdyż tylko wtedy roszczą sobie prawo do przedmiotowej wartości (czyli wiary w terminologii Milla). Z tego też wynika, że Mill zmierza w swej Logice poza bezsprzeczność pojęć, połączonych w sądy, do metody, którą ujmujemy tak zwaną rzeczywistość, t. j. do systematu powszechnie ważnego poznania. Słowem, uważa nazwy za nic przewodnią, prowadzącą do rzeczy (I, rozdz. 1., 1, str. 6).

Lecz dzieło Milla faktycznie daje więcej, niżby według tego programu dać powinno. Uwzględnia w obszernych rozdziałach definicje, które uważa za zdania, wyjaśniające pewne wyrazy, a więc zajmujące się tylko nazwami, nie rzeczami. Roztrząsa także warunki języka filozoficznego, aby go, jako sztuczną pamięć niezmiernie skuteczną (2, 2 § 2, str. 182) zbliżyć do jego przeznaczenia; ale i to, ściśle biorąc, znów prowadzi od rzeczy do „norm“. Nareszcie zajmuje się także podziałem na klasy, ale i ten podział jest sztuczny, dowolny. Każde zdanie, rzeczywiście o czymś pouczające, wypowiedzi jakiś fakt, polegający na prawach przyrody, a nie na sztucznej klasyfikacji (2, 2 § 2 str. 183).

4. Dalsze szczegóły o znaczeniu sądów.

Zwłaszcza 5. rozdz. I księgi jest pełen potwierdzeń wszystkich dotychczas przytoczonych szczegółów, które mają służyć do ogólnego scharakteryzowania Logiki Milla. Ale właśnie ten rozdział jest też pełen niejasności i sprzeczności, które mogą czytelnika wprowadzić w błąd. Mill mówił o akcie wiary zdania (I, 1 § 2 str. 3.), a więc jako logik, nie jako gramatyk; przeto ma prawo nadawania temu, co nazywa zdaniem, logicznego terminu sądu; w przytoczonym miejscu jednak zarzuca Kartezjuszowi, Leibnizowi, Lockeowi i wogóle prawie wszystkim logikom ostatnich dwóch stuleci, że z teorii zdań z samego początku uczynili teorię sądów. Ale w tej samej chwili mówi sam o akcie wiary czyli sądu, który według jego własnych poprzednich wywodów dochodzi do skutku, gdy wypowiadamy zdanie. Istotny sens polemiki jest jedynie ten, jakoby owi filozofowie wychodzili z hipotezy idealistycznej, jakoby mówili o ideach, zamiast o „rzeczach“ (w powyższym znaczeniu fenomenalistycznym; I, 5 § 1, str. 81), jakoby więc sądenie ich zdaniem znaczyło: zestawianie dwóch idei, albo podprowadzanie jednej idei pod drugą, albo porównywanie dwóch idei między sobą, albo spostrzeganie zgodności lub niezgodności

dwuch idei (I, 5, § 1, str. 80). Natomiast wykład jego nie zmierza ku psychologii sądu czyli aktu wiary, lecz ku badaniu sądów. Tak rzecz się ma z początkiem rozdziału.

Dalszy ciąg zajmuje się głównie pytaniem: co jest bezpośrednim przedmiotem wiary w zdaniu? a więc tym, co powyżej nazwano „przedmiotową ważnością.“ Mill zwraca się do Hobbesa. Ten na powyższe pytanie tak odpowiedział: treść każdego zdania stanowi wiara osoby mówiącej, że orzeczenie jest nazwą tej samej rzeczy, której inną nazwą jest podmiot; a jeśli to w rzeczywistości tak się ma, wtedy zdanie jest prawdziwe. Wedle tego więc zdanie byłoby wtedy prawdziwe, gdy utożsamia nazwy „tej samej rzeczy“, jako orzeczenie i podmiot. Jakgdyby wszystkie nazwy były imionami własnymi czyli znakami, przyczepianymi do osobników, i jak gdyby między imionami własnymi a pospolitemi nie zachodziła inna różnica, jak ta, że imiona własne oznaczają tylko jednego osobnika, a imiona pospolite większą ich liczbę. „Sokrates jest mądry“ jest zdaniem prawdziwym, ponieważ „Sokrates“ i „mądry“ są nazwami, które można stosować do tej samej osoby; nie bowiem innego nie oznacza zwrot Hobbesa: gdyż są nazwami tej samej osoby. Mill przeciwnie zadaje sobie pytanie: skąd to pochodzi, że są nazwami tej samej osoby? Znaczenie, jakie Hobbes nadaje zdaniu prawdziwemu, dotyczy zgod-

ności pojęć podmiotu i orzeczenia, tego mianowicie: że „znaki“ dają się połączyć bez naruszenia zwyczaju językowego, uchodzącego w tym poglądzie za normę przedmiotową; słowem, dotyczy ważności nominalnej.

A teoria Hobbesa w istotnych swych punktach zgadza się z szeroko rozpowszechnionym poglądem, wedle którego sądzić czyli orzekać coś znaczy tyleż, co zaliczać coś do pewnej klasy, osobnika do jakiej klasy, a klasę do innej klasy. Tak n. p. zdanie: „Człowiek [nie] jest śmiertelny“ wedle tego pojmowania orzeka: klasa „człowiek“ jest włączona [wyłączona] do klasy [z klasy] „śmiertelny“. Klasa zaś znaczy: nieokreślona liczba osobników, oznaczanych wspólną nazwą. Przeciw tej logice zakresu, uważającej wszelkie działania skierowanego ku poznaniu prawdy, umysłu ludzkiego za procesy prostej klasyfikacji i mianowania, Mill występuje (w m. przyt. str. 88 i nast.) już choćby dlatego, że doprowadziła do błędnej teorii wniosku. Polega ona na założeniu, jakoby klasy były stałemi rodzajami, gdy tymczasem zakres pojęć wciąż się chwieje (str. 89); dopuszcza się tego, co nazywają hysteron proteron: zaliczamy indywiduum dlatego do pewnej klasy, ponieważ zdanie jest prawdziwe, ale zdanie nie jest dlatego prawdziwe, że przedmiot należy do tej klasy; nazwy ogólne to nie znaki, przyczepiane do określonych przedmiotów; nie tworzymy klas, zakreślając linię naokoło pe-

wnej liczby osobników, którebyśmy mogli wykazać.

W tym punkcie Mill odstępuje od nominalistycznego pojmowania logiki. Nominaliści zwracają jedynie uwagę na zakres nazw i stosują nazwy nie do mniej lub bardziej określonych wyobrażeń ogólnych (str. 84), lecz do pojęć o stałym zakresie. Mill powiada: szukają całego znaczenia nazw w tym, co one oznaczają, t. j. w liczbie indywiduów, niemi objętych, zamiast w tym, co one oprócz tego oznaczają (współznaczają): w treści przynależnych im wyobrażeń ogólnych, w ich cechach. Z tego stanowiska logiki treści sąd wedle Milla nie jest już podporządkowaniem zakresu podmiotu pod zakres orzeczenia, lecz włączeniem treści orzeczenia do treści podmiotu (śmiertelność, jako orzeczenie, przysądza się grupie cech, oznaczającej Sokratesa, jako podmiotowi).

Coraz to bardziej odsłania się istota właściwego sądenia, twierdenia i przeczenia, przyznawania i odrzucania. Dotyka ono zdaniem Milla (oprócz wypadku sądów o nazwie, oraz o ile w każdym zdaniu zarazem wymaga się nominalnej ważności; porówn. Sigwart, I² 99, uw.) powodów klasyfikacji i mianowania, czyli ściślej: rodzaju tego stosunku, w jakim w zdaniu każdorazowo się stawia wyobrażenie podmiotu z wyobrażeniem orzeczenia. Jeśli o podmiocie coś orzekamy i „podporządkowujemy“ go wyobraże-

niu ogólnemu, jako orzeczeniu, wtedy dzieje się to zapomocą albo wskutek jakiejś cechy („atrybutu“, str. 91), która wraz z innemi, w pojęciu podmiotu zawartemi, albo równocześnie istnieje, albo z nim pozostaje w jakimkolwiek innym stosunku (92 i nast.). Takie stosunki są: istnienie, współistnienie, następstwo, przyczynowość, podobieństwo (od równości aż do różności); jeden lub drugi z tych stosunków wypowiada albo zaprzecza się w każdym zdaniu, które nie jest jedynie objaśnieniem wyrazów. Ważność przedmiotowa wypowiedzenia, zdania, sądu według Milla tkwi w uprawnieniu do przyznawania albo nieprzyznawania jednego lub kilku z tych stosunków; i naodwrot, takie „pojęcie umysłowe“ (kategorja) musi być dodane do dwóch, wpieryw odosobnionych wyobrażeń, ażeby logicznie z nich uczynić wypowiedzenie.

5. Streszczająca charakterystyka Logiki Milla.

Mill logiki, jako dyscypliny pomocniczej, nie zbagacił tak dalece, jakby można się było spodziewać po jego wyrobieniu formalno-logicznym, ponieważ jej nie przedstawił zosobna, jako takiej. Roztrząsania o definicji (I, 8), jego wywoody o wymogach języka filozoficznego i zasady definicji (ks. 4) nie są trwałym dorobkiem; dlatego, i ponieważ nie traktuje zosobna o pojęciu,

jako ideale logicznym, brak opracowaniu tak ważnych i przezeń tak bystro krytykowanych zasad, jak zasady zgodności (tożsamości), zasady sprzeczności i zasady wyłączenia czegoś trzeciego, ostatecznej i stanowczej formy (ks. 2, rozdz. 7). Z tego powodu również i wylczenie i formalne traktowanie sądów wykazuje pewne szczyrby i braki. Najbardziej jednak może wprowadzić w błąd ta okoliczność, że w pierwszej księdze, poświęconej rozbirowi języka, na pierwszy plan wysuwają się to punkty widzenia konwencjonalno-językowe, to logiczno-gnozeologiczne, to metodologiczne. Tak rozdział 2. zajmuje się nazwami, rozdział 3. rzeczami, oznaczanymi przez nazwy; celem tego badania jest: żeby w związku z krytyką kategorii arystotelesowskich (ks. 3) dotrzeć do najwyższych gatunków rzeczy wyobrażanych. Ten cel zaciemnia się przez podany w 2 księdze podział n a z w, który przecież w oświetleniu właściwego zadania jego Logiki tym mniej jest potrzebny, że nie zależy na nazwie, lecz wszystko na pojęciu i sposobie tworzenia się go za pomocą badania; niepotrzebny i dlatego, że ma na oku nie ilość, jakość i sposób sądów, lecz ich stosunek (względność). Już na samym progu badania powiada: Zadaniem logiki jest wysłedzenie, jak „dochodzimy do tej części naszego poznania, która nie jest natury intuicyjnej“ (I, 1, § 2. str: 2): do sądów syntetycznych a—posteriori; wysłedzenie, jak nabywamy doświadczenie nau-

kowe. Ze względu na to, „a nie na nazwy, jako nazwy, podejmujemy twierdzenie albo zaprzeczenie“ (I, 1, § 2, str. 5). Dlatego rozdziały 1—3 księgi pierwszej powinny mieć tytuł: „O wyrazie językowym aktu sądenia“, zamiast: „O nazwach i o rzeczach, oznaczanych przez nazwy“; a rozdz. 4 księgi pierwszej: „O podziale sądów“, zamiast: „O zdaniach“; następujący zaś rozdział: „O znaczeniu sądów“, zamiast: „O znaczeniu zdań“.

6. O wnoszeniu i wnioskowaniu. Uwagi ogólne.

Widzieliśmy, że wykład Mill'a szwankuje pod tym względem, iż nie dość ściśle odróżnia logikę, jako naukę *normującą*, od logiki, jako nauki „o formalnych założeniach sądów prawdziwych o przedmiotach spostrzeżenia zmysłowego i świadomości“ (Erdmann), która bez wątpienia była celem jego usiłowań. Ten brak występuje między innymi i w polemice przeciwko jednostronnie formalnemu pojmowaniu natury orzekania (1, 5). Zawsze brak ten prowadzi do niejasności w pojmowaniu istoty norm a praw przyrody, które nie są wyraźnie odróżniane. Prawda, że z całego wątku jego nauki można Millowi przypisać pogląd następujący: zasady teleologiczne czyli normy są to prawa przyrody w zastosowaniu do tworów społecznych, opierających się na przypuszczeniu pracy wspólnej, jakoto: do języka, obyczaju, prawa. Tym sposobem zasada toż-

samości ($A=A$), prawo naturalne myślenia, staje się zasadą zgodności pomiędzy pojęciami. Ale na nieszczęście Mill tego nie wypowiedział. Lecz polemika natychmiast staje się świadomszą celu i odslania z nadzwyczajną wyrazistością stanowisko logiczne Milla, skoro zaczyna dowodzić, że funkcja *n o r m*, zapewniających bezsprzeczność naszego wypowiedzenia (zasad zgodności, sprzeczności, wyłączenia czegoś trzeciego, powodu, dotyczących sądów tautologicznych, czyli analitycznych, czyli tak zwanych „prawd koniecznych“) wypacza się, gdy z niej czynimy organ rozszerzania i przekształcania pojęć zapomocą nowej obserwacji albo systematycznego badania naukowego. Zaczepka ta zwraca się przeciwko pogładowi, jakoby 1) pojęcia miały stałą treść, t. j. stałą liczbę jednoznacznie określonych cech, oraz jakoby 2) istniały o przedmiotach doświadczenia sądy analityczne same przez się, a więc nie było wcale różnic podmiotowych w wyobrażaniu sobie znaczenia wyrazów, jakoteż pojęć. Dlatego już w pierwszej księdze nie uznaje uprawnienia do wyjaśniania istoty orzekania za pomocą zdania czysto identycznego, jak np. *dictum de omni et nullo* (wszystko, co dotyczy całej klasy, dotyczy też każdego, co w tej klasie jest zawarte, 2, 3, § 8, uw. str. 217 i nast.) i dlatego też odrzuca, jako błędne, sprowadzanie sylogizmu do wniosku: co można powiedzieć o całej klasie, jest prawdziwe dla wszyst-

kich rzeczy, należących do tej klasy (I, 5, § 3 str. 87). A więc pozytywna zdobycz pierwszej księgi polega na krytyce nadużywania logiki formalnej czyli logiki bezsprzeczności poza zakresem, jej przynależnym. To samo można powiedzieć jeszcze o sławnej księdze drugiej, która wprawdzie nie stanowi charakterystycznej własności logicznego stanowiska Milla, jak B. Erdmann (Philos. Aufsätze, Zeller gewidmet, str. 205) powiada, lecz ją odsłania. Swoje znaczenie historyczne ta księga zawdzięcza nie tylko krytyce sylogistyki, lecz głównie obszernemu w s p ó l n e m u roztrząsaniu sylogizmu i indukcji, jako typowemu postępowaniu przy zestawianiu, jakimkolwiek „zbliżaniu“ sądów, które już same zawierają wypowiedzenia albo o wiedzy bezpośredniej (intuicyjnej, aksjomatycznej) albo o wiedzy pośredniej; o takim zestawieniu mówiliśmy już ze względu na treść wyobrażeniową, oddzieloną od siebie w podmiocie i orzeczeniu sądu.

6. a) Historyczna ocena logiki szkolnej.

Mill wciąga do swojej nauki o wnoszeniu i wnioskowaniu wszystko, co w logice tradycyjnej jest prawdziwe i p o z y t e c z n e, tak np. przebieg niewłaściwie tak zwanego wnoszenia przy odwróceniu i równoważności zdań (str. 166, 2, 1 § 2), a dalej i sylogizm, jako wniosek z ogółu o szczególe (według 4 tak zw. figur wnioskowania).

wania: $MP-SM=SP$; $PM-SM=SP$; $MP-MS=SP$, $PM-MS=SP$). „Jak daleko on sięga“ (str. 170; 2, 2 § 2), to znaczy: jak daleko sięgają jego założenia, wykład scholastyczny istoty sylogizmu jest prawdziwy i wyczerpujący. „Gdyby zdanie niższe“, powiada Mill, nic więcej nie wypowiedało, tylko, że coś należy do jakiej klasy, i gdyby zdanie wyższe o tej klasie nic więcej nie wypowiedało, tylko, że jest zawarta w innej jakiej klasie, wtedy wniosek zmierzałby tylko ku temu, że to, co było zawarte w niższej klasie, jest również zawarte w wyższej klasie, a wynikiem byłoby tylko to, że klasyfikacja zgadza się z sobą samą“ (2, 2, § 2 str. 183). W tym już tkwi krytyka, ale ta krytyka nie dotyka, jak sam to przyznaje (tamże), przedmiotu, dopóki chodzi o zestawienie zdań, wyjaśniających wyrazy, w czterech sposoby (modi) sylogizmu, a więc podstawienie (substytucję) równego zamiast równego. Logika jest w tym ograniczeniu tak prawdziwa i tak ważna, jak matematyka elementarna (porów. 2, 1, § 2, str. 167). Z tą oceną rzeczową łączy się historyczna, dowodząca, że według scholastycznego poglądu na świat sylogizm miał nie tylko znaczenie nominalne, lecz również realne. „Dopóki t. zw. powszechniki (universalialia, najwyższe pojęcia gatunkowe) uważano za osobny rodzaj substancji, posiadających istnienie przedmiotowe, w przeciwieństwie do przedmiotów powszechnych, które im podlegają, dopóty dictum de omni mia-

ło ważne znaczenie, gdyż wyrażało wspólność przyrody, którą według owej teorii należało koniecznie przypuszczać pomiędzy owemi ogólnemi a szczegółowemi substancjami. Że wszystko, co można było powiedzieć o powszechnikach, stosuje się też do różnych indywiduów, w nich zawartych, to wówczas nie było zdaniem identycznym, lecz wyrazem tego, co uważano za podstawowe prawo porządku świata“ (2, 2 § 2, str. 180). Tej obiektywności Baconowi, którego przecież w logice trzeba uważać za poprzednika Milla, brakowało zupełnie w jego napaściach na sylogistykę arystotelesowską, jak również brakowało jej Jevonsowi (porówn. *The Principles of science*, 3, str. 22).

6. b) Uwagi wstępne o stosunku sylogizmu do indukcji.

Wnioskowanie czyli wnoszenie według powszechnego przypuszczenia odbywa się tylko dwojakim sposobem: 1) ze szczegółów na ogół, 2) z ogółu na szczegół. Pierwszy sposób nazywa się indukcją, drugi wnioskowaniem sylogistycznym czyli sylogizmem. Dodają jeszcze trzeci sposób wnioskowania, nie podpadający pod żadną z obydwu klas, lecz stanowiący ich podstawę. O nim później będzie mowa. Indukcję Mill określa najpierw jako wyprowadzenie jednego zdania ze zdań, które są mniej ogólne od zdania wywiedzionego (konkluzji, wniosku); sylogizm zaś

jako wyprowadzenie zdania ze zdań, które są zarówno ogólne albo ogólniejsze, niż zdanie wywiedzione czyli wywnioskowane. Co należy rozumieć przez większą albo mniejszą ogólność zdań, tego Mill tutaj, na samym progu badania, gdzie podaje te definicje (2, 1, § 3, str. 168), jeszcze nie powiada; ale musimy przypuścić, że ta ogólność dotyczy zakresu pojęcia podmiotu w trzech (albo więcej) zdaniach, powiązanych w wniosek. Z tych uwag wstępnych zdawałoby się, jakoby wnioskowanie dotyczyło jedynie stosunków z zakresu pojęć, jedynie sądów subsumpcyjnych, podstawiających (zob. powyż. str. 108; str. 110). Ale znów zaraz z góry czyni różnicę w ocenie obydwu sposobów wnioskowania, uwzględnionych przez tradycję, mówiąc o indukcji: że jest conajmniej bez wątpienia procesem rzeczywistego wnioskowania (tamże str. 169). „Wniosek w indukcji zawiera więcej, niż było zawarte w przesłankach. Zasada lub prawo, wywiedzione ze szczegółowych wypadków, zdanie ogólne, w którym zamykamy wynik naszego doświadczenia, zajmuje o wiele większy zakres, niż doświadczenia szczegółowe, stanowiące jego podstawę. Zasada, zdobyta przez doświadczenie, jest czymś więcej, niż prostą sumą tego, cośmy dostrzegli w szczegółowych wypadkach, przez nas badanych; jest uogólnieniem, opartym na owych wypadkach i wyrażającym naszą wiarę, że to, cośmy w nich poznali jako prawdziwe, jest pra-

wdziwe i w nieokreślonej ilości wypadków, których nie zbadaliśmy i może nigdy nie możemy zbadać". Indukcja jest zatem rzeczywistym procesem wnioskowania; na niej polega postęp od wiadomego do nieznanego; jest ona właściwym narzędziem nauki. Co ją do tego uzdalnia i skąd owa wiara, wychodząca poza spostrzeganie i doświadczenie, czerpie rację swego bytu, to będzie tematem 2. i 3. księgi. Ale przedtym trzeba odpowiedzieć na pytanie: czy po sylogizmie możemy się tego samego spodziewać?

7. O sylogizmie.

„Dictum de omni et nullo“ już niejednokrotnie uznawano za podstawę sylogizmu w zdaniach, wyjaśniających jedynie wyrazy. Myślenie jest podług „ultranominalistów“ Hobbesa i Condillaca (str. 181) rachunkiem ze stałymi wielkościami, wyrazy są liczmanami, a język sumą znaków konwencjonalnych; sądy podług nich wyrażają tylko stosunki pomiędzy stałymi wielkościami. Naprzeciw temu do wolnemu ograniczeniu zadania logicznego staje tłumaczenie sylogizmu według Millowskiej teorii cech (zob. powyż. str. 110). Tradycyjny przykład brzmi:

Wszyscy ludzie są śmiertelni.
Sokrates jest człowiekiem.

Więc Sokrates jest śmiertelny.

Rozważanie faktycznie ma taki przebieg:

Cechy człowieka są w zgodzie z cechami cechy śmiertelności.

Sokrates ma cechy człowieka.

Więc Sokrates ma cechę śmiertelności.

Oszczędzimy sobie przemiany tego przykładu wedle zmiany ilości i jakości obydwu przesłanek (2, 2, § 4). Zasada sylogizmu byłaby więc następująca: wszystko, co ma cechę A, posiada także wszystkie cechy, których cechą jest A (2, 2, § 4, str. 188). B. Erdmann powiada zgodnie z Kantem: cecha cechy jest to cecha podmiotu (dz przyt. str. 198). Nie podporządkowanie zakresu podmiotu przesłanki niższej pod zakres orzeczenia przesłanki wyższej stanowi sens sylogizmu, lecz włączenie nowej cechy P do grupy cech, stanowiącej podmiot S wniosku. Co mię uprawnia do podjęcia tego włączenia, to jeszcze nie jest rozstrzygnięte; Mill tymczasowo tylko twierdzi, że to, co się faktycznie dzieje przy naturalnym wnioskowaniu sylogistycznym (z wyjątkiem zdań analitycznych, dla których zasada tożsamości stanowi zasadę połączenia w sylogizm), nie zmierza do wytworzenia stosunków zakresu pojęć konkretnych, lecz do rozszerzenia treści (zawartości) wyobrażeń indywidualnych albo ogólnych.

7. a) O wartości sylogizmu.

Ale przejdźmy teraz do uprawnienia tego włączania, tego rozszerzania treści. Czy to rozszerzanie wogóle zachodzi, i czy wogóle istnieje coś w tym rodzaju, jak wnioskowanie z ogółu o szczególe, z wiadomego o nieznanym? Czy takie wnioskowanie wogóle odgrywa jaką rolę przy odkrywaniu i dowodzeniu naszego poznania? (str. 189).

Przeciwnicy sylogizmu zarzucają mu: że zawiera *petitio principii*; że ogólna przesłanka: wszyscy ludzie są śmiertelni, aby być dowiedzioną, opierać się musi na przyjęciu wniosku: Sokrates jest śmiertelny; i naodwrot ten wniosek, aby mógł zawierać coś nowego i występować jako coś wywnioskowanego, opierać się musi na przesłance ogólnej. obrońcy, którzy wprowadzić mogą się powoływać na to, że dla faktycznego myślenia sylogizm jest faktycznym procesem, muszą jednak znów przyznać, że wszelki wniosek jest błędny, który zawiera w sobie więcej, niż było już wypowiedziane w przesłankach. A więc cóż przynosi nowego? Jaka jest jego właściwa funkcja w myśleniu? Według Milla rozwiązanie tych trudności polega na tym, że pomija się różnicę między dwiema częściami procesu myślenia, między częścią wnioskującą a rejestrującą, i drugiej przypisuje się funkcje pierwszej (2, 3, § 3, str. 192). „Błąd

jest ten sam, jak gdyby kto komu wskazał na jego notatki, jako na początek jego wiadomości. Jeśli kogo o co zapytamy, a on chwilowo nie potrafi odpowiedzieć, wtedy może swej pamięci dopomóc przez to, że zajrzy do swojego notatnika, który nosi przy sobie. Ale gdyby go kto zapytał, jak ten fakt doszedł do jego wiadomości, nie odpowiedziałby zapewne: ponieważ jest zapisany w jego notatniku; chyba ten notatnik, jak Koran, był zapisany piórem ze skrzydła archanioła Gabriela“ (tamże) „Dajmy na to, że zdanie: Księżę Wellington jest śmiertelny, jest bezpośrednim wnioskiem ze zdania: wszyscy ludzie są śmiertelni: skąd wtedy pochodzi nasza wiadomość owej prawdy ogólnej? Chyba z obserwacji. Człowiek zaś nie może obserwować nic innego, jak wypadki szczegółowe. Z nich wszystkie prawdy ogólne muszą być wywodzone i na nie znów muszą dać się rozkładać; bo prawda ogólna jest tylko zbiorem prawd szczegółowych, jest rozległym wyrazem, którym nieokreślona ilość faktów szczegółowych odrazu się potwierdza albo zaprzecza. Ale zdanie ogólne nie jest jedynie formą skróconą do obejmowania i zatrzymywania w pamięci pewnej liczby faktów szczegółowych, które wszystkie były zaobserwowane. Uogólnianie nie jest tylko procesem mianowania (przeciwko Hobbesowi!), lecz także wnioskowania. Z wypadków, któreśmy zaobserwowali, jesteśmy

również uprawnieni do wniosku, że to, co w owych wypadkach poznaliśmy jako prawdziwe, ma znaczenie i dla wszystkich podobnych wypadków, przeszłych, obecnych i przyszłych, jakkolwiek byłyby liczne. Obejmujemy wtedy jednym zwięzłym wyrazem, dzięki owej szczęśliwej sztuczce języka, pozwalającej nam mówić o wielu rzeczach tak, jak gdyby były jedną rzeczą, wszystko to, cośmy obserwowali, wraz z wszystkim tym, co wnioskujemy ze swoich obserwacji, i mamy tym sposobem tylko jedno zdanie, zamiast nieskończonej ilości, do zachowania w pamięci i do udzielania go innym. Wyniki licznych obserwacji i wniosków, oraz wskazówki do wyprowadzenia licznych innych wniosków w wypadkach nieprzewidzianych, streszczamy w jednym zwięzłym zdaniu“ (2, 3, § 3, str. 193).

Według tej teorii sylogizm jest wnioskowaniem ze szczegółu o szczególe. Ogólność przesłanki wyższej (wszystkie M są P) polega na tak zwanej indukcji niezupełnej, która najpierw się przedstawia jako zsumowanie czyli zbiór wszystkich dotychczasowych doświadczeń szczegółowych: „wszyscy“ ludzie w powyższym przykładzie—to znaczy: wszyscy ludzie, którzy dotychczas umarli, a wniosek nie schodzi ze „wszystkich“ ludzi n.p. na księcia Wellingtona, lecz ze wszystkich, dotychczas zaobserwowanych szczegółów na każdy podobny

nowy wypadek—podobny aż do cechy, którą mamy wywieść. Wyrażenie w przesłance wyższej (wszystkie M są P) faktycznie nie bierze się wcale ilościowo, lecz uprzedza tylko to, co dopiero ma być jeszcze dowiedzione i czego każdy nowy wypadek pomaga dowieść; słowem, ma znaczenie hypotetyczne. Wniosek polega na substytucji (podstawieniu) czegoś podobnego. O tyle wnioskowanie jest skończone, gdyśmy wypowiedzieli, że wszyscy ludzie są śmiertelni. „Co nam pozostaje jeszcze do zrobienia, jest odcyfrowaniem naszych własnych notatek“ (2, 3, § 3, str. 194). Możnaby, nie zmieniając Milla pod względem treści, powiedzieć: sylogizm jest wzwaniem do dalszego prowadzenia wyniku dotychczasowej, ale niezupełnej indukcji, złożonego w przesłance wyższej. Ale uprawnienie indukcji nie jest przez to jeszcze dowiedzione.

Musimy się więc zapytać: czy możemy wnioskować ze szczegółu o szczególe, nie wstawiając między nie zdania ogólnego? Nie tylko możemy, ale wciąż to czynimy. Wszystkie nasze najwcześniejsze wnioski są tego rodzaju; używaliśmy ich długo przedtem, zanim nauczyliśmy się używać wyrazów ogólnych (człowiek, trójkąt i t. p.). Dziecko, które sparzyło się w palec i teraz się wystrzeża znów go wsadzić w ogień, wnosilo czyli wnioskowało, t. j. oczekuje, że rzeczy podobne będą się zachowywały podobnie, nie po-

myślawszy nigdy o zdaniu ogólnym: „ogień parzy“. I zwierzęta tak wnioskuje. Nawet dorosły zwykle o wiele częściej wnioskuje z doświadczeń szczegółowych, niż za pośrednictwem zdań ogólnych, które mu są przekazane przez książki albo tradycję, n.p. we wszelkim wnioskowaniu ze siebie o innych, we wszelkich oczekiwaniach tego, jak kto inny będzie się zachowywał. To znaczy: ilość poprzedzających doświadczeń wpływa nie na logiczną, lecz na psychologiczną różnicę oczekiwania, wnioskowania, wniosku; oczekiwanie zjawia się raczej w każdym nowym wypadku, wywołującym w pamięci dawniejszy podobny wypadek. Taki jest bez wątpienia sens wywodów na stron. 115 i nast. (2, 3, § 3). Jestto ważny wynik, że proces wnioskowania w indukcji nie wywodzi swego uprawnienia z liczby obserwowanych dotychczas wypadków; powód substytucji czegoś podobnego za podobne nie może więc także polegać na liczbie wypadków, wchodzących do formuły zdania ogólnego. Jeśli Mill, streszczając się, powiada (str. 201): wniosek nie jest wywiedziony z tej formuły, lecz zgodnie z tą formułą, to wyrażenie jego jest o tyle słuszne, że oznacza sylogizm przedewszystkim jako sposób wnioskowania, opierający swe uprawnienie logiczne na niezupełnej indukcji, uzasadniającej zdanie ogólne. Jeśli jednak uprawnienie logiczne indukcji samej opiera na „wypadkach szczegółowych“, z których zdaje

sprawę i które rejestruje zdanie ogólne, wtedy znów się cofa poza osiągnięte już poznanie. Boć już przedtym powiedział, że wnioskujemy ze szczegółu o szczególe (str. 195 i nast.), i domyślnie to uznał, choć nie wypowiedział wyraźnie, że wniosek występuje przy każdym nowym wypadku, który przypomina dawniejszy podobny wypadek. Zobaczmy teraz, czy Mill przypadkiem mimoto nie uczynił jeszcze ostatniego kroku: czy nie opiera wszelkiego wnioskowania logicznie na prawie tożsamości; czy odnosi oczekiwanie psychologicznie do tego, że prawdopodobieństwo jego wystąpienia jest powiązane z rozmiarami dotychczasowego jednostajnego doświadczenia, z którym razem się wzmacnia i się obniża; czy uznaje, że oczekiwanie, co do swego stopnia powiązane z liczbą wypadków szczegółowych, logicznie nie ma nic wspólnego z procesem wnioskowania, lecz powołuje się na jednostajność biegu przyrody, jako swe ostateczne założenie empiryczne. To wszystko wymaga bliższego wyjaśnienia, zanim zdamy sprawę z tego, jak Mill określa rolę tak wyjaśnionego sylogizmu, jako narzędzia doświadczenia naukowego, a więc jak ją określa pod względem metodologicznym.

8. O indukcji.

1. Pozostańmy przy Millowskim przykładzie sylogizmu. W nim przesłanka wyższa (wszystkie M są P) była wyrazem pierwszej, t.j. tak zwanej

niezupelnej indukcji. Mill tylko taką uważa za indukcję, a nie uważa za indukcję owych zdań, w których wyraz „wszystkie“ wyczerpuje liczbę wypadków pewnej klasy, a więc nie wywodzi ani nie uogólnia, a które nie są niczym innym, jak skróconym wyrazem pewnej liczby zdań szczegółowych (to i owo A jest B, a więc każde A jest B). To samo można powiedzieć o opisie szeregu zjawisk, bezpośrednio obserwowanych, n.p. o postępowaniu, jakiego Kepler użył, aby wynaleźć swoje pierwsze prawa o drogach planet; on zapisał sobie bezpośrednio zaobserwowane pozorne punkty przebywania planety Marsa; i to nie było indukcją (3, 2, § 3, str. 315). Błędnie tak zwana indukcja (*inductio per enumerationem simplicem*) ma wartość jedynie, jako skrócenie; dla logiki nie jest wcale zagadnieniem (3, 2, str. 109 i nast.). Ważnym zagadnieniem są przeciwnie t. zw. indukcje matematyczne. O nich, na których szczególnie można wykazać charakter empiryzmu Millowskiego, później będzie mowa. Mill w z a s a d z i e zalicza je do sądów, które, aby się utworzyły, opierać się muszą na spostrzeżeniu zewnętrznym i wewnętrznym: do sądów doświadczalnych. Jako ich cechy szczególne wymieniamy: 1. że ich treść (materia czucia według terminologii Kanta) pochodzi z doświadczenia, jest więc a-posteriori; 2. że zawierają s y n t e z ę, powiązanie rzeczy wiadomych z niewiadomymi, w pojęciu podmiotu. Dlatego powyżej nazwano te zdania syntetycznymi a-posteriori,

gdy tymczasem w Kantowskich syntetycznych zdaniach a-priori synteza ma polegać na postępie a-priori od pojęcia podmiotu do pojęcia orzeczenia. „Zdanie ogólne“, powiada Mill (3, 2, str. 310), „jestto takie zdanie, w którym orzeczenie potwierdza się albo zaprzecza o nieograniczonej liczbie indywiduów, mianowicie o wszystkich, czy to licznych czy nielicznych, rzeczywiście istniejących czy tylko możliwych, posiadających własności, które współoznacza podmiot zdania“. Jako „współoznaczające“ uchodzą w terminologii Milla wszystkie konkretne nazwy ogólne (o tym zob. 1, 2, § 5), wyrazy takie, jak: biały, cnotliwy, śmiertelny; abstrakcyjne są przynależne do nich rzeczowniki: białość, cnota, śmiertelność. Według teorii włączania powiedzielibyśmy: nieograniczonej liczbie indywiduów, które we wszystkich punktach, oprócz cechy, wypowiedzianej o nich w podmiocie, są podobne, t. j. podobnie się zachowują, przyznaje się tę cechę. Takie zdania zaś są identyczne z naszymi zdaniami syntetycznymi a-posteriori. Przedstawiają rezultat indukcji, w skróceniu zawierają ten wniosek:

S_1 jest P	S jest P_1
S_2 jest P	S jest P_2
S_3 jest P	S jest P_3
.
.

Wszystkie S są P. Wszystkie S są P.

We wniosku kategorycznym kładzie się czas terażniejszy zamiast czasu przyszłego. Wszystkie wypowiedzenia, wszystkie prawa o zachowywaniu się przyrody mają tę formę. Są to uogólnienia doświadczenia. Z niektórych wypadków szczególnych, w których widziało się występowanie pewnego zjawiska, wyciąga się wniosek, iż to zjawisko występuje we wszystkich wypadkach pewnej klasy, mianowicie we wszystkich, które do dawniejszych są w tym podobne, co się uważa za okoliczności istotne (3, 3, § 1, str. 331). Wnioskami takiego rodzaju są właśnie indukcje. Jak dochodzimy do nich, i co znaczy zastępowanie czasu terażniejszego przez przyszły?

Mill jako logiczną podstawę indukcji, podaje tak zwany przez niego błędnie pewnik o jednostajności biegu przyrody, oddala się więc w rozstrzygających rozdziałach (3 i nast.) trzeciej księgi znów od osiągniętego już prawie na początku poznania: że liczbą wypadków logicznie nie ma znaczenia dla wniosku; ale w gruncie rzeczy tylko w wykładzie swoim. Przebieg był już nazwany substytucją czegoś równego zamiast równego; ona jest prawidłem, podług którego wszelkie wnioskowanie się odbywa; podstawą jest pierwsze prawo wszelkiego myślenia, zasada tożsamości: musimy równe (ale nie identyczne! Porówn. o tym rozprawienie się z H. Spencere, 2, 2, § 3. uw.) rzeczy w różnych czasach wyobrażać sobie równym sposo-

bem (A. Riehl, *Der philos. Kriticismus*, 2, 1, 230; Erdmann, *Phil. Aufs.* 203, 231). Dopóki chodzi o stronę logiczną indukcji, nie zawiera ona naturalnie żadnego wypowiedzenia o czymś faktycznym, lecz tylko orzeka, że w przebiegu ruchu myślowego zatrzymujemy równanie $A=A$, dotyczące zarówno jakości, jak ilości (porówn. Riehl, 2, 1, 128). W zastosowaniu do czegoś faktycznego, to zdanie 1. staje się hipotezą: jeśli $A=B$, wtedy o B można powiedzieć to, co o A; 2. staje się rozkaznikiem, skierowanym do doświadczenia (w zwykłym znaczeniu tego wyrazu): wobec doświadczenia czynimy z formalnej zasady myślenia zasadę postępu w poznaniu; zawiera ona faktycznie (NB) w procesie dowiadywania się, jak Riehl (miejsce przyt. 2, 1, § 4, str. 231 i nast.) zauważył, funkcję syntetyczną. Staje się prawomocną wobec każdego nowego zjawiska, wywołującego w pamięci inne zjawisko, w jakikolwiek sposób podobne, i wzywa nas do określenia stopnia tego podobieństwa, ażeby ustanowić nowe stosunki cech pomiędzy pojęciami. Ponieważ wszystko doświadczalne (doświadczenie) jest określone przestrzennie i czasowo, a logiczne prawo podstawowe wykracza poza różnice treści myślowej, zależne od przestrzeni i czasu, a więc traktuje je jako nieskończoności logiczne (Dühring, Riehl), jako pojęcia: przeto to podstawienie podobnych, ale różnych przez swe określenia przestrzenne i czasowe zjawisk i zdarzeń

zawiera w każdym poszczególnym wypadku charakter hipotezy. Dlatego Sigwart proces indukcyjny nazywa hypotetycznym postępowaniem próbnym, dochodzącym ze zgodności konsekwencji przypuszczalnego twierdzenia z danymi i wciąż postępującymi spostrzeżeniami, czy to twierdzenie może być przyjęte za prawidło, któremu podlegają wiadome zjawiska szczegółowe, a zarzucającym z konieczności natychmiast przypuszczane twierdzenia, skoro ich konsekwencje nie zgadzają się z obserwowanymi faktami. Jako opis procesu indukcyjnego, Mill to przedstawienie Sigwarta (3², 5, § 93, str. 429 i nast.) podpisałby bez wahania. Ale rzecz jasna, że doświadczenie otrzymuje dopiero ten charakter hypotetyczny, gdy jest mierzone koniecznością myślenia, omówioną prawem tożsamości, a więc to prawo jest częścią składową procesu indukcyjnego; na co Erdmann (m. przyt. 221) kładzie nacisk, co Sigwart przeciwnie zdaje się odrzucać (tamże 422 i nast.). Ponieważ Mill ma bardzo wyraźną świadomość o różnicy między ogólnością racjonalną (porówn. definicję zdań ogólnych, powyżej str. 128) a ogólnością empiryczną wyczerpującej liczby (Riehl, m. przyt. 1, 325; do tego Mill 3, 3, § 3, 239), możemy pominąć niepewności jego wykładu w szczegółach i znajdować w nim przyznanie tego składnika logicznego. To przyznanie jest tylko zaciemnione wskutek nacisku, jaki kładzie na inną część składową pro-

cesu indukcyjnego: na empiryczne założenie jednostajności przyrody.

2. Na tym założeniu opiera się wszelki wniosek, powzięty z doświadczenia. Mill charakteryzuje tę jednostajność przyrody tak: jest ona faktem złożonym i składa się ze wszystkich jednostajności poszczególnych, mających znaczenie dla pojedynczych zjawisk. Zamiast o jednostajności, należałoby zatem mówić o jednostajnościach. Pewien fakt następuje niezmiennie, skoro istnieją pewne okoliczności, a nie następuje, gdy te okoliczności nie istnieją; to samo dotyczy drugiego faktu, i tak dalej do nieskończoności. Z tych oddzielnych nici związku między częściami wielkiej całości, którą nazywamy przyrodą, z tych różnych jednostajności składa się więc koniecznie ogólny wątek, spajający całość. Te jednostajności nazywamy, gdy są ustalone przez wystarczającą indukcję, prawami przyrody (3, 4, § 1).

Ale „jednostajności“ nie potrzebują być jednostajnościami następstwa; istnieją również jednostajności współczesności, t. j. takie, które istnieją jako stosunki między współczesnymi zjawiskami, jakoto: prawa liczby, rozciągłości i kształtu. Nie zgadza się zatem z własnymi założeniami Milla, że przyczynowość, jako „jednostajność“, rządzącą następstwem zjawisk w czasie, stawia ponad wszelkimi innymi jednostajnościami, co zaraz potem czyni. To mogło się stać tylko

wskutek tego, że niekrytycznie postawił obok siebie „jednostajności“ o treści m a t e r j a l n e j, zawierające faktycznie rodzajowe wypowiedzenia o przebiegu przyrody i znajdowane drogą indukcyjną, t. j. prawa przyrody, oraz jednostajności czysto f o r m a l n e, rządzące procesem indukcji i przyjmujące w t w o r z e n i u sądów syntetycznych a-posteriori na siebie funkcję uskutecznienia syntezy: są to t. zw. przez Kanta sądy syntetyczne a-priori, które tylko omawiają tę funkcję. Do tej zasadniczej różnicy jeszcze powrócimy. Pomieszanie jest zaś bardzo widocznym, ponieważ, jakśmy rzekli, raz stawia obok siebie wszystkie jednostajności, a innym znów razem występuje na pierwszy plan to zasada jednostajności przyrody, to błędnie przez Milla z nią utożsamione prawo przyczynowości, jako „korzeń indukcji“ (3, 5, § 1, 13). Porzucimy na chwilę ocenę drugiego składnika indukcji, aby się zastanowić nad skutkami wytkniętego przez nas pomieszania.

Z tego, co powiedziano na początku rozdziału 5., wynika, że Mill chwilowo (księga 3) ma na uwadze owe zdania ogólne, które stoją na czele sylogizmów i pod które prawdy szczegółowe mają podpadać. Jeśli się uda podać przegląd tak zwanych „naturalnych jednostajności“, zupełnie pewnych i powszechnych dla wszystkich celów ludzkich: wtedy „zapomocą tych jednostajności potrafilibyśmy mnóstwo

innych indukcji“ podnieść do tego samego stopnia pewności. Zgodnie z tym Mill poszukuje zdań, służących, że się tak wyrażę, za stałe punkty wyjścia dla procesu poznania i pod względem swej wartości poznawczej dzielających charakter Kantowskich zdań syntetycznych a-priori; zdań o ścisłej niezłomności (3, 5, § 1, 13), z którymi połączone, wszystkie doświadczenia i spostrzeżenia szczegółowe stałyby się przedmiotowemi, t. j. otrzymałyby najwyższy, logicznie dostępny, stopień pewności. Wszystkie spostrzeżenia szczegółowe możnaby wtedy uważać za skutki praw, omówionych w przesłankach wyższych sylogizmów. Skoro te najwyższe jednostajności będą zdobyte, wtedy wszystkie przedmioty i fakty, dostarczone nam przez doświadczenie indywidualne, możnaby uważać za wypadki, w których się wyraża prawo (właśnie owo prawo jednostajności).

Możnaby tu pomyśleć o poglądzie, który Riehl (2, 1, 230) i Sigwart (III, 5, § 33, 428) dzielają z Jevonsem, na indukcję, jako na odwrotne działanie dedukcji. „All reasoming may be said to be either directly or inversely deductive“ (Pr. sc. 152), powiada Jevons, i w rzeczy samej według Milla (3, 5 na początku) „postęp logiczny“ poznania polega na tym, żeby doświadczenie rozpatrywać najpierw jako mętną kupę szczególnych wpływów (Jevons: maze of particular results), które, powiązane sylogistycz-

nie z prawami (jednostajnościami Milla), są pojmowane naukowo i stają się koniecznymi. To z największą pewnością było także racjonalistycznym ideałem Milla. Ale do tego ideału daleka droga, która może być przebyta tylko w tym razie, jeśli są dane t. zw. indukcje Milla o ściślejszej niezłomności. Pogląd Jevonsa opiera się na założeniu, że one jakimkolwiek sposobem są dane. Ale nawet w tym razie indukcja nie jest poprostu odwróconą dedukcją. Mill mógłby powiedzieć: jest nią w tym, co dla niej, jako indukcji, nie jest rzeczą istotną, mianowicie w tymczasowym podporządkowaniu nowych wypadków szczegółowych pod przynależne do nich prawa według analogji dawniejszych prób klasyfikacyjnych. Mógłby powiedzieć: dla tego jej postępowania, jako indukcji, nie jest rzeczą istotną dedukcyjne wywodzenie wypadku szczegółowego z przynależnego prawa (jako przesłanki wyższej sylogizmu), lecz kontrola i sprawdzenie prawa przez każdy nowy wypadek, do czego prawidła sylogizmu nie wystarczają; mógłby powiedzieć, że forma sylogizmu kryje w sobie tylko zagadnienie: czy mieliśmy prawo do przypuszczania powtórzenia równoległych wypadków o określonej jakości, n.p. jednostajności przyrody, wyrażonej przez jakie prawo (n.p. załamывania się światła przy przechodzeniu promienia przez różne medja)? Pożytek sylogizmu (zob. powyż. str. 121) polega właśnie na tym, że wska-

zuje drogę do kontroli i sprawdzania; jest on postępowaniem kontrolującym ku zabezpieczeniu wiedzy; służy za „rękojmię“ dobrego wnioskowania, i dlatego obstajemy przy tym, że wnioskowanie ze szczegółu o szczególe odbywa swą drogę poprzez zdanie ogólne (2, 3, § 8, 216). Używamy go, ażeby się zapewnić o słuszności dotychczasowej indukcji, ale w żadnym razie postępowanie, stosowane ku przekonaniu się o słuszności naszego działania, nie należy do tego działania samego (2, 3, 215). Typem tego „działania“ jest raz na zawsze następujące postępowanie wnioskujące: Pewne wypadki szczegółowe posiadają pewną cechę; nowy wypadek jest podobny do dawniejszych w pewnych innych cechach; a więc są one do niego podobne i pod względem danej cechy (str. 213). W zadawanym d o w o d z e n i u, uskutecznianym przy pomocy szczególnych prawideł metodologicznych, nie można odkryć żadnego działania dedukcyjnego, można tylko zadanie p r z e d s t a w i ć sylogicznie.

Wedle ks. 3. rozdz. 5. Mill ma na myśli i d e a ł wiedzy, o którym już powyżej była mowa: posiadanie zdań ogólności racjonalnej, z którychby można zrozumieć każdy rzeczywisty albo możliwy wypadek szczegółowy. Ale nawet przy takim nieuniknieniu racjonalistycznym ideale poznawczym dedukcja nie byłaby dla uzasadnienia klasyfikacji wypadków szczegółowych prawdziwym schematem logicznym, a podporządkowanie wypadku szczegółowego pod p r z y p u s z a l-

nie ustalone zdanie o racjonalnej ogólności zależałoby od poznania przynależności wypadku szczegółowego do prawidła, czego nie mogłoby skutecznie zwracać się od wypadku szczegółowego, pojmowanego jako wniosek, do przesłanek, a więc dedukcja odwrócona, lecz tylko porównanie ich z jakimkolwiek wypadkiem szczegółowym, którego przynależność do prawidła ogólnego byłaby skąd inąd pewna. Mill w swojej polemice przeciwko Dr. Whewelowi powiada (3, 2, § 5, 329): indukcja jest dowodem. Tym oznacza szczególne zadanie teorii indukcji, indukcji w znaczeniu ściślejszym. Sylogizm występuje w późniejszym stadium procesu poznawczego, mianowicie jako pewnego rodzaju konstrukcja pomocnicza, skoro już mamy prawa (porówn. Erdmann, m. przyt. 235). A skąd te prawa otrzymujemy? Przecież nie zapomocą dedukcji. „Indukujemy“ raczej, jak Mill się wyraża, te najwyższe indukcje. To sprowadza nas napowrót do analizy ogólnego charakteru indukcji, której składniki usiłujemy po kolei odtworzyć.

3. Zbliżyliśmy się o krok do rozwiązania zagadnienia indukcyjnego 1. dzięki poznaniu, że indukcja nie jest odwróceniem dedukcji; 2. że często można ją przedstawić jako sylogizm z hipotezą (z przypuszczanym prawem) w przesłance wyższej. Ale to ma znaczenie tylko dla przesłanek wyższych o treści materialnej.

Mill znów, przeocząc ową zasadniczą różnicę pomiędzy najwyższymi indukcjami o treści

materjalnej a zdaniem ogólnem o treści formalnej, omawiającemi stałą funkcję umysłową, (czyli zdaniem syntetycznem a-priori), powiada (zob. powyż. str 133): że każdy wniosek indukcyjny można sobie pomyśleć jako sylogizm, którego stałą ostateczną przesłanką wyższą jest pewnik(!) o jednostajności biegu przyrody, mniej więcej w takiej formie:

Co ma znaczenie w niektórych wypadkach,
to ma znaczenie we wszystkich wypadkach.

S . . . P ma znaczenie w niektórych wypadkach.

S . . . P ma znaczenie we wszystkich wypadkach.

B. Erdmann słusznie zauważył, że stała przesłanka tego dziwnego sylogizmu nie jest wcale przesłanką, lecz zasadą (zob. poniżej), wedle której odbywa się wszelkie wnioskowanie. Zgadzając się na to, unikniemy zarzutu, jaki można było uczynić wywodom Milla w ich znaczeniu dosłownym (Wundt I, 606 i nast.; II, 1, 22 i nast.): że opiera na indukcji zupełnej, polegającej ze swej strony na prostym wyliczeniu, uprawienie logiczne indukcji właściwej, t. j. niezupełnej. Owa t. zw. stała przesłanka wszystkich wniosków indukcyjnych, jako przesłanka dla wniosku niczego nie dowodzi, nie nie dodaje do jego treści materjalnej (Erdmann, 219 i nast.). Że jednak ta stała przesłanka, „ostateczna przesłanka we wszystkich indukcjach“, ma w postępowaniu

niu indukcyjnym szczególną funkcję do spełnienia, to Mill czuł bardzo dobrze, nazywając, mimo początkowego utożsamienia z innymi jednostajnościami (o treści materialnej), zdanie o jednostajności biegu przyrody głównym pewnikiem indukcji, t. j. przyznając mu domyślnie szczególne znaczenie dla procesu indukcyjnego, jako takiego. Obok logicznego składnika indukcji, prawa tożsamości, jako zasady wnioskovania, staje zatem, jako druga część składowa, ów t. zw. główny pewnik indukcji. Ponieważ ten „pewnik“ zdaniem samego Milla polega na indukcji, nie może przeto chyba być pewnikiem w właściwym znaczeniu tego wyrazu, t. j. opisem konieczności pogładowej albo myślowej, stałej i nieuniknionej funkcji umysłu naszego przy myśleniu i poglądaniu (porown. Sigwart 1, 2, § 48, str. 411). Według opisu Milla (3, 3, § 1, 332) to najobszerniejsze uogólnienie jest jednym z ostatnich albo przynajmniej jednym z tych, które najpóźniej otrzymały cechę ścisłości naukowej(?). Poprzedzało je doświadczenie szczegółowych istniejących już jednostajności, a na podstawie tego spostrzegania poszczególnych, niewyczerpane powtarzających się wypadków równoległych (woda gasiła zawsze pragnienie, pokarm zawsze nasycał) wytworzyło się przekonanie, że przyroda w swym bycie i działaniu pozostaje zawsze jednakową (bo taki jest sens tego zdania), przekonanie, które następnie jest znów zawarte

w każdej poszczególnej indukcji, jako jej założenie (porówn. 3, 3, § 1, 331). Wraz z B. Erdmanem (dz. przyt. 217) możnaby to empiryczne założenie Milla nazwać ogólną hipotezą, której używamy, gdy usiłujemy coś wiedzieć na przód, a możnaby dodać, że uprawnia się tylko swoim powodzeniem. Ale to uprawnienie przez powodzenie nie przedstawia, jak Mill sam na to kładzie nacisk (m. przyt. 332), [logicznego] w wyjaśnienia postępowania indukcyjnego, lecz tylko pobudkę psychologiczną.

4. Jaki jest stosunek składnika logicznego indukcji do pobudki psychologicznej? Widzieliśmy, że wniosek w postępowaniu indukcyjnym osiąga się zapomocą prawa tożsamości (zob. powyż. str. 129), oraz, że to prawo funkcjonalne umysłu wobec (tak zwanego zwykłego) doświadczenia wykonywa funkcję syntetyczną (zob. powyż. str. 137 § 3): opierając się na ujawnionym podobieństwie w wyglądzie i zachowaniu różnych wypadków, stawiamy je na równi, pomijając ich zróżnicowanie w przestrzeni i czasie, oraz w odcieniach jakościowych. Wskazaliśmy na to, że u Milla istnieje domyślne przyznanie tego składnika logicznego: więcej to czuł, niż jasno rozumiał, że uprawnienie wniosku indukcyjnego do ogólności racjonalnej właśnie stąd pochodzi. Z drugiej zaś strony widział bardzo jasno, że spostrzeżenia szczegółowe, punkt wyjścia wszelkiego doświadczenia naukowego,

w swym rzeczywistym zachowaniu się nie są określane zewnątrz, ale faktycznie tak się zawsze zachowują, jak gdyby były tak określone, faktycznie odpowiadają potrzebie racjonalnie uporządkowanego poznania (por. Riehl, dz. przyt. 2, 1, 236). Z tego wynika pobudka psychologiczna w postępowaniu indukcyjnym.

Mill nareszcie, wbrew swoim pierwszym odróżnieniom (zob. powyż. str. 132), utożsamia empiryczne założenie indukcji i prawo przyczynowości, a również i W u n d t (m. przyt.) mniema, że owa „zasada“ nie jest niczym innym, jak prawem przyczynowości. Erdmann słusznie je odróżnia (m. przyt. 214 i nast.). Że rzeczywistość pozostaje jednaką w swym bycie i działaniu, to nie bardzo zdaje się różnić od twierdzenia: „te same przyczyny wywołują te same skutki“; ale znaczenie pierwszego zdania faktycznie sięga o wiele dalej, niż znaczenie drugiego; wedle niego przypuszczamy bowiem, że i równoczesne stosunki pozostają jednostajnymi. Ponieważ Mill i matematykę uważa za pewien rodzaj nauki doświadczalnej, powinien był uznać prawo przyczynowości za osobną część składową indukcji dla zjawisk, odbywających się w czasie.

9. Prawo przyczynowości.

1. Dla nas są najcenniejsze te wiadomości, które dotyczą porządku następstwa; nawet

prawa przestrzeni i liczby otrzymują swe znaczenie praktyczne przez to, że dają się zastosować do ruchów ciał, n.p. do określenia dróg planetarnych, oraz do działania sił (aby jedne drugimi wymierzać; równania wielkości), słowem, do zjawisk następstwa. Jeśli więc istnieje jakie prawo, dotyczące porządku zjawisk w czasie, to ma ono podstawowe znaczenie dla teorii indukcji, dla nauki o środkach logicznych, jakimi otrzymujemy swoje poznanie. Dlatego Mill nazywa prawo przyczynowości k o r z e n i e m całej nauki o indukcji (3, 5, § 2).

2. Mill omawia to prawo następującym sposobem: Pomiedzy zjawiskami, danymi w jakiegokolwiek chwili, a zjawiskami, zachodzącymi w najbliższej po niej chwili, panuje niezmienny porządek następstwa. Po pewnych faktach następują zawsze pewne inne fakty i zawsze, jak mniemamy, po nich następować będą. Niezmienny poprzednik nazywa się przyczyną, a niezmienny następnik — skutkiem. A bezwyjątkowość prawa przyczynowego polega na tym, że każdy następnik jest powiązany z określonym poprzednikiem albo z grupą poprzedników. Weźmy jakiegokolwiek fakt: skoro ten fakt zaczął istnieć, musiał go poprzedzać inny fakt, albo kilka faktów, z którymi jest niezmiennie powiązany. Wobec każdego faktu albo każdego zdarzenia mamy pewność niewątpliwą, nie tylko iż należy do szeregu wypadków równoległych, bo wszak

na tym, jak się okazało przez porównanie z wypadkami podobnymi, już znanymi, polega dopiero możliwość ścisłego określenia w każdym wypadku szczegółowym, co należy do siebie, jako przyczyna i skutek; lecz mamy także pewność, że każde zjawisko w swym istnieniu i w swej jakości jest określone przez pewne prawa (tamże). Na bezwyjątkowej prawdziwości tego założenia, którym się posługujemy w poznawaniu, polega możliwość sprowadzenia postępowania poznawczego do pewnych prawideł.

Ale mówić o jednym poprzedniku, jako o przyczynie pewnego następnika—byłoby nieściśłością; bo faktycznie zawsze chodzi o zespół poprzedników, o mnóstwo warunków następnika. Wszelki fakt albo zjawisko, posiadające swój początek w czasie, powstaje niechybnie, skoro istnieje pewna kombinacja faktów pozytywnych, przypuściwszy zarazem, że pewne inne fakty pozytywne nie istnieją (3, 5, § 3, str. 19), któreby przeszkadzały wystąpieniu skutku. A dalej: do naukowego pojęcia przyczynowości nie należy dopuszczać odróżnienia, tkwiącego w wyobrażeniu potocznym, pomiędzy pierwiastkiem czynnym a biernym. To odróżnienie jest jedynie natury językowej; chcemy przez nie uniknąć pozornego nonsensu, jakoby jaki przedmiot wywoływał siebie sam. Kiedy kamień spada na ziemię, to według teorii ciężenia jest on zarówno czynny, jak ziemia, która nie tylko przyciąga

kamień, lecz jest również przezeń przyciągana. Gdy mówimy o zmysłowych własnościach rzeczy, o ich barwie, o ich twardości, o ich smaku, wtedy „substancja“, t. j. to, co sprawia, że bodźce zmysłowe czasowo i przestrzennie należą do siebie („perdurability of attributes“) jest oczywiście przyczyną sprawczą, nasze narządy zaś podlegają „afekcji“; faktycznie jednak czucie zmysłowe, jako tak zwany skutek afekcji, przechodzącej zzewnątrz, w swym istnieniu i w swej jakości zależy 1. od jakości zmysłowych narządów obwodowych, 2. od jakości poznającej świadomości i 3. od jakości „praw“ przedmiotu zewnętrznego. W widzeniu wchodzi w rachubę, jako przyczyna, nietylko samo światło, lecz obok niego własności oka, mózgu i widzianego przedmiotu (porówn. 3, 5, § 4, str. 25). Istotnym założeniem Millowskiego pojęcia przyczynowości jest zatem: przypuszczać zawsze związki zjawisk następujących po sobie bez szczerby c z a s o w e j; wyraz „przyczyna“ oznacza połączenie zjawisk, (3, 5, § 6, str. 33), „przy których wystąpieniu jakiegokolwiek inne zjawisko niezmiennie następuje czyli bierze początek“. Czy skutek z ostatnim ze swoich warunków występuje równocześnie, czy też bezpośrednio po nim następuje, to Mill wprawdzie uważa za rzecz błahą; ale ponieważ skutek w żadnym razie nie ma go poprzedzać (tamże), więc czas jednak odgrywa pewną rolę wobec potrzeby naukowej dzielenia zjawisk na działające i wywołane.

3. Zatem więc, mówiąc słowami Kanta, byłoby „następstwo czasowe jedynym sprawdzianem empirycznym skutku“. Ażeby odróżnić dowolność podmiotowego przebiegu wyobrażenia od poszukiwanego przedmiotowego związku przyczynowego zjawisk przyrody, na to nie mamy posiadać innego sprawdziana! Rozkładamy cały przebieg na części, następujące po sobie czasowo, nie wiemy, co działa, ale ponieważ nie możemy odwrócić następstwa czasowego zdarzeń, więc to następstwo zaliczamy również do warunków, które muszą istnieć, aby powstało coś innego, czyli właśnie skutek. Mill, podobnie jak Hume, do pojęcia następstwa dodaje dalszą cechę nieodmienności. Podstawa do pojmowania następstwa B po A, jako jedności przyczynowej, polega na spostrzeżeniu, że to następstwo prawidłowo się powtarza. Obserwowano liczne wypadki prawidłowego następstwa; okazało się właśnie, że w niewyczerpanej różnorodności zmian w biegu przyrody napotykają się niezliczone wypadki równoległe, które można uporządkować w pewne grupy jednostajności, (tak zwane empiryczne prawa przyrody), a na podstawie tego spostrzeżenia, polegającego na doświadczeniu potocznym, wytwarza się oczekiwanie, że każda zmiana jest „spowodowana“, t. j. że warunkiem jej istnienia są inne zmiany, prawidłowo ją poprzedzające. Z tego oczekiwania czyni się podstawową zasadę badania, a doświadczenie potoczne podnosi się,

dzięki bezustannej obserwacji rzeczywistego biegu przyrody, do wysokości naukowego pojęcia doświadczenia. Czynimy, powiada Mill (3, 4, § 2), z doświadczenia jego własny probierz. Nie ma bowiem innego probierza; porównywanie, dostrzeganie podobieństw i różnic, rozważanie o nich,— oto środki umysłu badawczego do uporządkowania różnorodności rzeczy spostrzeganych. Zupełnie zgodnie z Millem powiada Meinong (dz. przyt. II § 6, str. 698): przyczynowość jestto połączenie pewnych wypadków porównania i zgodności. Bodźcowi zmysłowemu, jako danej pierwotnej (zjawiskowej), przeciwstawia się według Locke'a, Hume'a, Milla refleksja, ale nie jako zasada *t w ó r c z a*, lecz jako zdolność porządkowania skojarzeń, gromadzących się w pamięci wskutek pobudzenia uwagi, według pewnych punktów widzenia (podobieństwo, prawidłowe następstwo i t. d.), dostrzeżonych w samych zjawiskach. Później takie ugrupowania i uogólnienia, takie oczekiwania, podniesione do godności „praw“, dotyczące biegu przyrody (jak n.p. prawo przyczynowości), słowem, takie pojęciowe podstawy apercpepcji, przeciwstawiają się wszelkiej nowo przyjmowanej treści świadomości, jako samorzutne działania umysłowe, jak sądy syntetyczne „a-priori“; podobnie jako sądy i oceny naszych przodków najpierw w nas działają jako *p r z e s ą d y*. W podobnym sensie i Spencer w sporze o aprioryczność utrzymuje, że nasze zasady kon-

strukcyjne doświadczenia są dla osobnika a-priori, dla rasy zaś pochodzą z doświadczenia (są a-posteriori). Ale dla oceny wartości poznania to wyjaśnienie psychogenetyczne nie stanowi różnicy: w porządku doświadczenia, jaki poszczególne pokolenia wytwarzają na wysokości swej każdorazowej świadomości naukowej, odzwierciedla się zawsze pierwotny charakter świata zjawisk. Do jego danych nic się nie dodaje, lecz raczej te dane rejestrują się tylko coraz uważniej, a dawniejsze rejestratyry uzupełniają i poprawiają się przez późniejsze. Według Milla samorzutność umysłu wyczerpuje się w takiej pracy rejestrującej.

4. Tak Mill wyjaśnia wogóle powstawanie i funkcję wszystkich pojęć stosunku, jakoteż elementów poglądu: wynurzają się, jako stałe czynniki, wraz ze zmienną treścią świadomości. Dostrzegam ich podobieństwo, różność, zgodność, jednakowy zawsze sposób ich przestrzennego oglądania i ich czasowego porządkowania. Podstawa przechadzania się między zjawiskami i ustanawiania pomiędzy nimi stosunków nie tkwi w jakimś dowolnym akcie „samorzutnego“ umysłu, nie w jakimś twórczym dodatku do danych nam kompleksów wrażeń, lecz w nich samych; podobieństwa, różności i jednostajności nie „wychodzą“ z umysłu, podstawa ich dostrzegania tkwi w przymusie, wywieranym przez umysł, i dlatego nie może być dalej wyjaśniona. A po-

nieważ te czynniki w każdej świadomości indywidualnej okazują się faktycznie stałymi, przeto 1. uprzedmiotowienie doświadczenia indywidualnego jest faktycznie możliwe, właśnie przez jego odniesienie do tych tak zwanych form intuicji i myślenia; i 2. można je było dotychczas określić a-priori. Lecz ta aprioryczna określoność jest apriorycznością ex eventu (por. Wundt, Philos. Studien VII, 1, 19 i nast.), chłoma niejako z tyłu i bynajmniej nie ogarnia „surowego materiału“ czucia, nie może uzasadnić logicznej konieczności i racjonalnej powszechnej ważności faktów; stałość jej występowania wraz ze zjawiskami jest bowiem również tylko—faktem, opierającym się na niezaprzeczonem dotychczas doświadczeniu.

5. Ta określoność aprioryczna zupełnie się zgadza z wyrazem magicznym Kanta „transcendentalny“: umożliwia „najpierw“ doświadczenie, porządkowanie rozmaitej treści wrażeń w przestrzeni i czasie i według pojęć stosunków umysłu naszego. Przez zastanowienie (refleksję) o nich znajduję treść tak zwanego „rozumu normalnego“ (Windelband) czyli świadomości wogóle, puście zupełnie schematy podatności rzeczy do ich oglądania i pomyślenia; gdyby one nie były stałe, nie byłoby faktycznie wcale doświadczenia. Dla naszego myślenia, powiada Paulsen (Kant, str. 191) w myśl Humea, jestto rzeczywiście „szczęśliwy traf“, że doświadczenie jest możliwe.

Ale oczywistość, przysługująca pewnikom „czystej“ intuicji i zasadom „czystego“ umysłu, jako omówieniom naszego stałego sposobu poglądania i wyobrażania sobie, jest dlatego tylko co do stopnia różna od oczywistości, przysługującej materji orzekania. Jeśli „materję czucia“ w treści naszej świadomości, „surowy materiał wrażeń zmysłowych“ (Kant) sztucznie oddzielimy od elementów formalnych (zob. powyż.), danych jednocześnie wraz z niemi we wszelkim doświadczeniu, które można zanalizować, jeśli tę abstrakcję przyjmiemy jako realną i potym zadamy sobie pytanie, jakim sposobem te elementy formalne dostają się do „przedmiotu“, to możemy, opuszczając grunt fenomenalizmu, przeciwstawić samorzutność umysłu odbiorczości zmysłowości i przyznawać prawom intuicji i umysłu twórczą funkcję, polegającą na tym, że pozwalają nam pojmować przypadkową płatacinę wrażeń, t. j. czynią z niej to, co nazywamy przyrodą; słowem, możemy z praw działalności umysłowej uczynić prawa przyrody, możemy pozwolić umysłowi „wywoływać“ przyrodę (porówn. H. Cohen², Kants Theorie d. Erf.², str. 308 i nast.). Ale faktycznie cała dedukcja transcendentalna, usiłująca na apriorycznej określoności tak zwanych elementów formalnych naszego poznania oprzeć „prawdziwą ogólność i ścisłą konieczność“ sądów, w których jej funkcje są opisane, obraca się w błędnym kole.

Bo w jej apriorycznej określoności, jako ostatecznej danej, niema już nic racjonalnego; jest ona raczej stałym przypadkiem, polegającym według Milla na ułamkowym doświadczeniu, na indukcji per enumerationem simplicem, na skojarzeniu, które właśnie dlatego jest nierozwiązalne, ponieważ przypadek wciąż się okazuje stałym. Takie jest stanowisko empiryzmu Milla. Roztrząsanie prawd matematycznych znów nas na nie naprowadzi.

6. Okazało się, że Millowska charakterystyka prawa przyczynowości, jako skojarzenia uogólniającego (Wind. Pr. 222), w gruncie rzeczy ściśle się zgadza z Kantowskim tak zwanym jej dowodem transcendentalem. Jeśli doświadczenie, zwyczajne czy naukowe, ma być możliwe, to trzeba, żeby zjawiska i nadal dały się wiązać wedle jednostajności następstwa w czasie, tak jak dotychczas porządkowały się podług niej. Opiera się ono na podstawie teleologicznej, a nie na logiczno-racjonalnej. Bezwzględnej konieczności, którą chciał stwierdzić Kant, niema nigdzie w dziedzinie poznania, nawet w najwyższych jego zasadach. Jeśli Mill powiada, że na „bezwzględności“ znaczenia zasady przyczynowości polega możliwość sprowadzenia postępowania indukcyjnego do pewnych prawideł (3, 5, § 2, 15), to wedle związku jego teorii może to tylko znaczyć: bezwzględna konieczność przysługuje jej tylko wstecz, w stosunku do minionego

doświadczenia, a w stosunku do przyszłości czyli naprzód—jestto tylko wiara, postulat, stawiany doświadczeniu.

7. Tu nasuwa się zarzut przeciwko Millowskiej teorii przyczynowości, dotyczący pojęcia nieodmiennego następstwa. Czyż dzień nie następuje po nocy? a któżby do tego pytania chciał stosować pojęcie nieodmienności? Czyż raczej w tym pojęciu przyczynowości nie zdaje się tkwić pojęcie konieczności, które definicja Milla zupełnie zarzuca? Na ten zarzut Mill szczegółowo odpowiada (3, 5, § 5). Nie tylko nieodmiennym, ale i bezwarunkowym musi być następstwo. Tylko wtedy mówimy o związkach przyczynowych, gdyśmy wykazali zmianę, jako następstwo przyczyn ostatecznych, w odróżnieniu od praw pochodnych; wtedy dopiero pojęliśmy je. Sprowadzenie do „przyczyn pierwotnych i ich kolokacji“ jest więc podług Milla (Logika 3, 5, § 7) ideałem wyjaśnienia przyczynowego; ideałem, do którego się przystosowuje atomistyczna hipoteza podstawowa nowożytnej nauki o przyrodzie. Wiemy z doświadczenia, że zjawiska od siebie niezależne i przez siebie nawzajem nie wywołane zależą od tego samego czynnika. Ziemia wywołuje spadek ciężkich ciał a zarazem, jako ciężki magnes, zjawiska igły magnesowej. Kryształ galeny „powoduje“ czucia zmysłowe twardości i ciężkości, kształtu sześciennego, szarej barwy i wiele innych, mię-

dzy którymi nie możemy wykazać wzajemnego związku. Mill jest świadom tego, że takie wyliczenia „substancji“, własności, atrybutów i sił przedewszystkim nie nie wyjaśniają. Ale że są możliwe, to doprowadza do pojęcia trwałych przyczyn czyli czynników dla powtarzających się zmian, jako wieczystej podstawy wszelkich jednostajności niższego stopnia. Dlaczego te określone czynniki naturalne, a nie inne, z samego początku istnieją, dlaczego są nam dane w tym, a nie innym, podziale pierwotnym (Urausteilung, Fechner) — to są pytania ostatnie, na które niema odpowiedzi (w m. przyt.). Mill w tym miejscu kładzie nareszcie nacisk na to, że źródło wszelkich prawidłowości samo nie da się sprowadzić do żadnego prawa.

Ale czy wywód z trwałych przyczyn w wypadku poszczególnym się udał czy nie udał, o tym rozstrzyga nie postawiony przed chwilą ideał wyjaśnienia przyczynowego, lecz postęp rzeczywistego badania, doświadczenie, coraz to ściślej zapytywane. Ono nas poucza, że dzień i noc nie we wszelkich możliwych okolicznościach, dopóki obecny porządek świata istnieje, będą po sobie nieodmiennie następować, lecz tylko w tym przypuszczeniu, że słońce wszędzie nad widnokregiem. „Jeśli słońce będzie nad widnokregiem, jego światło nie zagaśnie i jakie ciało nieprzezroczyste nie stanie między nim a nami, wtedy, jak wierzymy napewno, dopóki nie

zajdzie jaka zmiana w własnościach materji, po tym połączeniu poprzedników następować będzie następnik—dzień; gdyby to połączenie poprzedników można przedłużyć na czas nieokreślony, byłby ciągle dzień, zupełnie niezależnie od nocy, jako uprzedniego warunku“. Ci, którzy wyobrażenie konieczności przywiązują do pojęcia przyczynowości, nie mają także nic innego na myśli, jak b e z w a r u n k o w e następstwo, wywód z przyczyn ostatecznych. Czy Mill przez to ostatecznie nie uznaje jednak w pojęciu przyczynowości pierwiastku wiary, nie pochodzącego z doświadczenia? Odpowiadając na to pytanie, Mill popełnia małą niekonsekwencję. Używając wyrazu „przyczyna“, powiada, musimy wierzyć, nie tylko, że po poprzedniku zawsze następował następnik, lecz również, że zawsze po nim następować będzie (tamże). Wszak wiara zawsze wykracza poza dane doświadczenie, więc przydana do jakiego pojęcia, zawsze zawiera w sobie coś nieracjonalnego przez się; tylko że w naszym wypadku ma swą podstawę w całym dotychczasowym doświadczeniu, a postępowanie według niej jest logicznie określone przez warunek, pod którym jedynie ona może się urzeczywistnić, a na który Mill wciąż kładzie nacisk: żeby obecny porządek świata trwał nadal (tamże, str. 27). Dlatego pierwiastek wiary uczynił z prawa przyczynowości transcendentálny warunek doświadczenia (zob. powyż. str. 150 i nast.).

8. Co się tyczy powstania wyobrażenia przyczynowości, tworzymy pierwsze swoje pojęcie wszelkich działalności (agencj) w wszechświecie według analogji naszych chęć. Co nas z najwcześniejszego dzieciństwa najbardziej interesowało, to ma związek ze skutkami naszych ruchów dobrowolnych; naszych własnych i innych istot. W tych pierwszych spostrzeżeniach jest nam dane widowisko bezwzględnego początku: czegoś poruszającego, co samo nie jest w ruchu, czegoś, co w innych rzeczach wywołuje pewne zmiany, nie zmieniając się samo widocznie (SWH, 377). Z tego Mill wyprowadza podwójny wniosek; popierwsze: że w stanie duszy, który nazywamy chceniem, niema wcale uprzedzenia proroczego, że po chceniu nastąpi jakiś skutek. I w tej formie przyczynowości nie tkwi nic innego nad to, o czym nas poucza doświadczenie, nie nad spostrzeżenie nieodmiennego i bezwarunkowego następstwa (tamże). Powtóre: że „*nisus*“ Humea, powiązany z nienaukowym pojęciem siły, pochodzi z doświadczenia wysiłku (*effort*), wsuwającego się w objawach naszej woli pomiędzy chcenie a działanie i towarzyszącego, jako uczucie oporu, działalności mięśni, oraz afekcjom mózgu i nerwów. Pojęcie siły jest zatem czysto podmiotowego pochodzenia (tamże 377—8). Obok doświadczenia, nasuwającego nam fakty powiązanych z sobą szeregów zmian, oraz kojarzenia uogólniającego, wywołującego wyobrażenie

przyczynowości (porówn. SWH, 371), niema w nim nic przedmiotowego. Racjonalnej konieczności nie można naturalnie uzasadnić doświadczeniem i kojarzeniem; ale poczucie konieczności, „konieczność myśli“ (tamże 371) można łatwo pojąć, jako wytwór bezkrytycznej metafizyki woli.

9. Riehl (dz. przyt. 2, 1, 247 i nast.) zarzuca Millowi, że wprowadzie słusznie zarzuca wnioskowanie z *post hoc* o *propter hoc* w wypadkach szczegółowych, ale w swej teorii prawa przyczynowości nie ma jednak dla dowiedzenia tego prawa innego argumentu, jak nieodmienne następstwo. Stosunek przyczynowy (zdaniem Riehla) tak Mill, jak Hume ogranicza do prostego stosunku czasowego; dla obydwu filozofów nie istnieje wcale pojęcie sprawczości, i wszelkie wnioskowanie przyczynowe rozkłada się przedmiotowo w doświadczenie prawidłowego następstwa, a podmiotowo w nawykowe odczuwanie oczekiwania.

Temu niejednokrotnie powtarzanemu wyjaśnieniu i krytyce Millowskiej teorii przyczynowości możnaby niejedno zarzucić. Najpierw to, że, jak to powyżej usiłowałem wykazać, dla Milla proces wnioskowania, przynajmniej domyślnie, nie jest wyjaśniony i logicznie określony jedynie przez prawo przyczynowości. Wnioskowanie indukcyjne polega logicznie na tym, że spostrzeżenie jakiego następstwa zestawiam

(kojarzę) ze wspomnieniem podobnego następstwa, nie tylko na podstawie spostrzeżonego podobieństwa samego: to byłoby daną psychologiczną, a nie postępowaniem logicznym; lecz według zasady tożsamości, według której niepodobna mi pomyśleć, żeby to samo w różnych chwilach czasu zachowywało się różnie. Dla Milla (SWH, 366) przebieg przyczynowy jest zawsze zdarzeniem (event), którego oddzielne momenty, jako przyczyna i skutek, nieodmiennie należą do siebie. Gdzie w zdarzeniu szczegółowym należy postawić średniówkę między przyczyną a skutkiem, o tym ani jakiegokolwiek tak zwane pojęcie formalne „a-priori“ myślenia, ani też skojarzenie uogólniające z doświadczenia, choćby mu dorównywało w rozległości, nas nie pouczy, lecz tylko samo doświadczenie, wielokrotnie zapytywane, i to w tym przypuszczeniu, na które już nieraz kładło się nacisk, że doświadczenie wykazuje wypadki równoległe. W zakresie pojedynczego zdarzenia nie może zatem pomiędzy jego oddzielnymi ogniwami zachodzić stosunek logiczny, a przeciwnie zachodzi formalne w n i o s k o w a n i e według zasady tożsamości przy zestawieniu dwóch albo kilku podobnych wypadków, przeprowadzonym dzięki k o j a r z e n i u. Powiadam sobie, że formalnie mam prawo zestawić zdarzenie A ze zdarzeniami B, C, D . . . , z następstwa momentów szeregu A w n i o s k o w a ć o następstwie (podzielonym wedle przyczyny i skutku)

momentów szeregów zdarzeń B, C, D . . . , jeśli szereg A (pojmowany przedewszystkim jako jeden związek przyczynowy) jest we wszystkich cechach istotnych równy szeregom zdarzeń B, C, D . . . Żadno powtórzenie wypadków podobnych nie wytwarza tego uprawnienia, lecz z tym formalnym roszczeniem występujemy tylko wobec wypadków równoległych. To roszczenie określa a-priori, co należy rozumieć przez wypadki równoległe, zarówno, czy takie wypadki istnieją czy nie istnieją. Mill często miał na uwadze tę konstrukcję pojęcia wypadków równoległych, zwłaszcza, kiedy mówi o zdaniach ogólnych, opierających się na pojedynczej instancji, (Logika 3, 3, § 3, 339), ale nie umiał ściśle wyjaśnić, że pojęcie racjonalnej ogólności wytworzyło się jedynie na zasadzie pojęcia wypadków równoległych; że jest wywiedzione z zastosowania zasady tożsamości do jakiegokolwiek powtórnie występującej treści świadomości, że jest przeto pojęciem idealnym, które jako norma, jako maksyma zachowania się, dotyczy chęci poznania u podmiotu, a nie dotyczy przedmiotu materialnego, do którego się zwraca; że innemi słowy, pojęcie racjonalnej ogólności dotyczy postępowania przy wnioskowaniu, a nie przedmiotu wniosku. Pod względem logicznym podaje ono ogólnie warunek, pod którym mógłbym mieć prawo przyjmować jednostajności czyli wypadki równoległe w przyrodzie. Ale z tym poprzestaję na formal-

nym roszczeniu myślenia i nie mam tymczasowo prawa stosować go do doświadczenia, do faktycznego przebiegu wyobrażeń, rozpatrywanych ze względu na swą materję.

Dalej zaś, jak już na to zwróciliśmy uwagę, u Milla pojęcie stosunku przyczynowego ogranicza się do następujących po sobie czasowo ogniów zdarzenia. Ale ich następstwo, aby mogło uchodzić za przyczynowe, ma być nie tylko nieodmienne, lecz także bezwarunkowe, t. j. Mill następstwo w czasie uważa za skutek dopiero wtedy, gdy zmiany uznano za zmiany ostatecznych własności i trwałych sił przyrody, o których istnieniu pouczył nas fakt niezliczonych wypadków równoległych, oraz spostrzeżenie, iż pozór znikania sił mechanicznych jest zwodniczy. Siła ma być zasadą zmiany: Mill nazywa ją (SWH, 368, uw.) istotną częścią składową przyczynowości (the leading ingredient in causation). Doświadczenie wypadków równoległych, fakt, że przyroda okazuje się siecią różnych jednostajności, zmusza nas do przypuszczenia, że suma wszystkich zmian równa się sumie wszystkich sił przyrody, a tym sposobem z postępem poznania zasada przyczynowości otrzymuje ostatecznie swą stanowczą formę naukową w prawie zachowania siły. Mill nie poszedł dalej w tym kierunku, ale wyraźnie przyznaje Bainowi (Logika II, 3, 4) słuszność, że rzecz tak się ma istotnie. Lecz ta zasada nie otrzymuje przez to innej podstawy,

jak empiryczną. Nie szukano wcale równości wielkości i wagi pomiędzy przyczyną a skutkiem, lecz ją znaleziono; odkryto najpierw, że między pewnemi zjawiskami, regularnie po sobie następującymi, zachodzą stosunki ilościowe, a dopiero potem uznano dowód istnienia takich stosunków ilościowych za warunek do przypuszczenia stosunku przyczynowego. Zresztą, jak mniemam, Mill nie byłby się zgodził na zarzut, uczyniony Humeowi, a więc i jemu: że w dziedzinie mechanicznej, tak obszernej i rozległej, jak wogóle doświadczenie zewnętrzne, przyczyna i skutek są sobie równe co do istoty i wielkości pod wszelkim innym względem, skoro pominiemy różnice jakościowe, oraz różnice czasu i miejsca. Różnice jakościowe należą tak dalece do istoty zmiany, że n.p. poznane doświadczalnie stosunki wielkości w chemicznych procesach rozkładu [jak n. p. gdy placek ogrzewa się miałkim węglem, przyczym przemieszczenie pierwiastków wyraża się równaniem: $\text{Na}_2 \text{SO}_4 + \text{C}_4 = \text{Na}_2 \text{S} + 4\text{CO}$] ani w przybliżeniu nie zadawalają potrzeby przyczynowości. Ta potrzeba miała najpierw na oku różnice jakościowe: poszukiwano różnicy sprawczej (*causa efficiens*) i poprzestano ostatecznie na odkryciu stosunków ilościowych, równań przemieszczenia. Dlatego przyczyna i skutek, lewa i prawa strona równania, na wieki pozostaną zupełnie różne, jak Hume i Mill słusznie zwracają uwagę; dostrzeżenie ich stosunku ilo-

ściowego, jako szczególnego wyrazu uogólnionej niezniszczalności materji i numerycznej tożsamości siły, nie jest niczym innym, jak tylko podstawą poznania, iż obie strony tworzą szereg zdarzeń, czyli, jak się mówi, „koniecznie należą do siebie“. Wskazówki co do realnej podstawy tej przynależności nie daje żadno równanie liczbowe, conajwyżej tę, że ponieważ podobne szeregi zdarzeń, podobne następstwa zmian i podobne stosunki ilościowe między nimi się powtarzają, w stosunkach realnych tkwi podstawa i wciąż jednakie źródło ich istnienia i jakości. A jeśli z dziedziny chemicznej przejdziemy do fizykalnej, wtedy, jak mi niemam, użytemu przez Riehla wyrażeniu „stosunek identyczny“ (dz. przyt. 2, 1, 253) przysługiwać będzie tylko bardzo ograniczona „pojętość“ (rozumiałość); identyczne jest w równaniach ruchu (równia pochyła, dźwignia) po obydwu stronach „pojęcie“ ruchu, które zupełnie nie objaśnia przyczynowości procesu. Równoważność wielkości liczbowych po obydwu stronach równania jest wprawdzie symbolem (podstawą poznawczą) właściwego przebiegu przyczynowego, ale czyni go jeszcze bardziej zagadkowym. A jeśli, ażeby skończyć z temi wątpliwościami, doświadczenie poucza, że w zjawiskach przenoszenia, odbicia, załamania się, rozproszenia, interferencji i polaryzacji zachodzi całkowita zgodność między promieniami świetlnymi a cieplikowemi, i jeśli stąd

wnioskujemy o tożsamości światła i ciepła promieniującego: to fizyka teoretyczna posługuje się językiem, który tylko utrudnia zrozumiałość zjawisk przyrody; gdyż staje się rzeczą coraz to bardziej zagadkową, jak te same drgania eteru mogą mieć różne skutki, gdy tymczasem potrzeba przyczynowości zdaje się wymagać, żeby różne skutki fizjologiczne miały różne przyczyny mechaniczne.

10. Ostatnia i najpoważniejsza wątpliwość nasuwa się przeciwko Millowskiej charakterystyce prawa przyczynowości. Ma ono być samo wynikiem indukcji i ma zarazem uzasadniać wszelką indukcję szczegółową. Czy to podobna? Czy podstawa wszelkiej indukcji może być sama indukcją? Mansel, Lange, Wundt, Riehl (w m. przyt.), Cohen (dz. przyt. 217 i nast.) zaprzeczają temu i uważają to pojmowanie za wniosek błędny. Gdy Mill, jak to usiłowałem wykazać, wbrew duchowi swej teorii, uczynił z zasady przyczynowości przesłankę wyższą wszelkich „sylogizmów indukcyjnych“, sam stał się winnym tego zarzutu. W rozdziale, poświęconym jego odparciu (3, 21), Mill wiele ma kłopotu z rozwiązaniem takiego pojmowania, jakoby zasada, iż każda zmiana opiera się na założeniu innej zmiany, po której następuje nieodmiennie i bezwarunkowo, czyli jak Kant się wyraża, według pewnego prawidła—jakoby ta zasada, powiązana sylogistycznie ze spostrzeżeniem szczegółowego następ-

stwa, to następstwo materialnie „uzasadniała“. W rzeczywistości występuje ona jako uogólnienie niezliczonych „częściowych jednostajności następstwa“ (3, 21, § 2, 293), bez których nigdy byśmy nie byli zdobyli zasady przyczynowości; a teraz z tego następstwa doświadczenia czynimy jego zasadę, t. j. założenie, rządzące naszym postępowaniem, gdy chcemy czegoś doświadczyć. Tkwi więc w tym tylko pozorna sprzeczność, że we wszelkich indukcjach szczegółowych proste wyliczenie, jako niczego nie dowodzące, ma być wyłączone, zasada zaś, uchodząca za podstawę indukcji wogóle, ma na nim polegać; bo wszak do wnioskowania ze szczegółu o ogóle, jak niejednokrotnie na to położono nacisk, zasada przyczynowości nie wchodzi wcale jako składnik logiczny, lecz tylko jako założenie, na którym wniosek (wywiedziony z zasady tożsamości) może się urzeczywistnić. Zresztą, jak Mill zauważył (dz. przyt. § 3), proste wyliczenie zawodzi tylko przy bardzo ograniczonym polu obserwacji; gdy to pole się rozszerza, takie wyliczenie nabiera pewności; a jeśli się okaże, iż ono ma swoje znaczenie, pokąd sięgają nasze granice czasowe i przestrzenne, jeśli więc ma wspólną rozległość z całym naszym dotychczasowym doświadczeniem, to otrzymuje przez to najwyższy stopień prawdopodobieństwa, jaki może osiągnąć. Tak faktycznie rzecz się ma z prawem przyczynowości. Innego dowodu według Milla nie dopuszcza-

ją i prawdy matematyczne (w m. przyt.). W przeważającej liczbie wszystkich zjawisk mamy obecnie bezpośredni dowód jego znaczenia, nie posiadamy zaś co do żadnego zjawiska dowodu przeciwnego, gdy w niektórych zjawiskach, z powodu ich rzadkości albo powikłania, dotychczas nam się nie udało znaleźć dowodu bezpośredniego (Przykład: zjawiska meteorologiczne, m. przyt. § 4, 301). Postęp poznania zburzył wiarę w zjawiska *sui generis*, zwłaszcza wskutek odkrycia prawa zachowania siły, które zadaje kłam pozorowi, jakoby jakikolwiek mechaniczny objaw siły (ruch) mógł być stracony; z tym upadają wątpliwości o ogólności prawa przyczynowości. Teoretycznie można wprawdzie jeszcze sobie pomyśleć tę wątpliwość, ale nie można jej sobie wyobrazić pogładowo. Nie potrafilibyśmy—mógłby Mill powiedzieć wraz z Manslem (Prol. Log. 149: przytocz. przez Milla, SWH, 376)—wyobrazić sobie obiegu przyrody bez jednostajnego następstwa, jak nie możemy sobie wyobrazić istoty widzącej bez oczu i słyszającej bez uszu; ale tylko dlatego, że nie możemy mieć potrzebnego ku temu poglądu. Mill sam powiada (Logika, 3, 21, § 2): omóżna sobie wyobrazić, że w jakim innym układzie słonecznym zdarzenia następują po sobie bez wszelkiego pravidła; chyba chciał powiedzieć, można sobie pomyśleć.

11. Trzeba tu zauważyć, i Bain zwrócił już na to uwagę (Indukcja 11, 13: dowód prawa

przyczynowości; odpowiada 21. rozdziałowi trzeciej księgi Logiki Milla), że niezaprzeczonej zgodności w zachowaniu się całej przyrody (uncontradicted agreement trough all nature) nie należy mieszać z metodą zgodności w Millowskim kanonie metody eksperymentalnej (rozdz. 8. ks. 3). Ta zgodność, aby mogła być stosowana, opiera się na założeniu ważności powszechnego prawa przyczynowości, nie może więc służyć do jego udowodnienia. Metody eksperymentalne są metodami eliminacji, t. j. stopniowego wyłączania różnych okoliczności, napotykanych w danym razie w otoczeniu zjawiska, w celu dowiedzenia się, które z nich mogłyby być nieobecne, nie dotykając tym istnienia zjawiska we wszystkim tym, co stanowi jego istotę (Mill, 3, 8, § 3). Chodzi tu o to, żeby ustalić, które ogniwa w szeregu zdarzeń, jako przyczyna i skutek, w przyrodzie rzeczywiście należą do siebie, tworzą jedną z jej jednostajności; chodzi o to, żeby wśród przypadkowych skojarzeń w czasie i przestrzeni wynaleźć skojarzenia nieodmienne i bezwarunkowe; przyczym naturalnie przez ogniwa szeregu należy rozumieć okoliczności współ-istniejące. Ażeby eliminacji nadać siłę dowodową, niezbędna jest zmiana okoliczności zapomocą eksperymentu: co nie uchodzi względem ostatecznych uogólniających skojarzeń z doświadczenia, a zwłaszcza względem prawa przyczynowości. Dowód eksperymentalny jest raczej negatywny: gdyż

przypuszczeniu, podzielanemu jeszcze przez Arystotelesa, jakoby obok związku przyczynowego zmian panował jeszcze traf (τόχη), jako prawo kosmiczne—w przeciwieństwie do trafu, jako indywidualnego braku wiedzy albo jako granicy poznania, dotyczącej całego gatunku—temu przypuszczeniu wszelka dokładniejsza obserwacja i wszelki eksperyment tak dalece zaprzecza, że trzymanie się go w naszym zakresie doświadczenia jest po prostu zuchwalstwem. W tym sensie Mill zasadę przyczynowości uważa za prawdę eksperymentalną. Dajmy więc na to, powiada Mill (Logika, 3, 21, § 3, 296), że przedmiot jakiegokolwiek uogólnienia jest tak szeroko rozpowszechniony, iż nie może być czasu, przestrzeni ani kombinacji okoliczności, któreby nie musiały dostarczyć przykładu albo jego prawdziwości, albo nieprawdziwości, oraz że nigdy go nie uznamy nieprawdziwym: wtedy jego prawdziwość nie może zależeć od żadnych innych ugrupowań warunków realnych (collocations), jak tylko od takich, które są obecne po wszystkie czasy i na każdym miejscu, ani też nie może być obalona przez siły przeciwne, chyba przez takie, które faktycznie nigdy nie działają. To uogólnienie jest zatem prawem empirycznym o równej rozległości z wszelkim doświadczeniem ludzkim; ale skoro ten punkt zostanie osiągnięty, wtedy znika różnica między prawami empirycznymi a prawami przyrody, i ta zasada zajmuje miej-

sce pomiędzy prawdami najpewniej uzasadnionymi i najrozleglejszemi. Tym się wyjaśnia paradoks, że zasada, opierająca się na prostym wyliczeniu, kieruje postępowaniem naszym w indukcjach szczegółowych.

10. Skala pewności.

Trzecia księga Logiki zawiera bogate rozdziały o stopniach pewności, przysługujących poszczególnym formom obserwacji i eksperymentu i znajdujących swój wyraz w najrozmaitszych formach zdań syntetycznych a-posteriori. Mill wylicza cztery, ściślej pięć metod badania eksperymentalnego, które wszystkie polegają na porównywaniu wypadków równoległych: 1. metoda zgodności; 2. metoda różnicy; 3. metoda połączona (joint method) zgodności i różnicy; 4. metoda pozostałości czyli reszty; 5. metoda zmiany otoczenia. Wszystkie te metody, jak już napomknęliśmy, zmierzają do eliminacji tego, co pewnemu następstwu zjawisk albo ogniów zjawiska towarzyszy tylko przypadkowo, a więc nie należy do niego bezwarunkowo (porówn. 3, 8; 3, 9, 77 i nast.) i posługują się, jako środkiem pomocniczym, sztucznym zmienianiem okoliczności. Lecz jakkolwiek ta część Logiki Milla wraz z ogólnymi wywodami o obserwacji i eksperymencie, o dowodzeniu, o zadaniu dedukcji w procesie indukcyjnym, o tworzeniu hipotez i granicach wyjaśniania przyrody,

o analogji, trafie i prawdopodobieństwie, o podstawach wiary i niewiary—miała wielkie znaczenie historyczne, to jednak zasadnicze znaczenie mają przede wszystkim określenia najwyższego stopnia pewności, oraz zdań, którym taka pewność przysługuje. Czy istnieją zdania syntetyczne a-priori?—oto pytanie. znów tu się nasuwające i wymagające wyczerpującego roztrząsania. Mill zajmuje się nim obszernie w rozdziałach 5. do 7. księgi drugiej. To pytanie dotyczy tak zwanych **p r a w d k o n i e c z n y c h**.

1. Zasada przyczynowości ma jako prawda „eksperymentalna“, ostatecznie tylko tymczasową ogólność, nie inaczej, jak wszystkie podrzędne zdania o jednostajnościach w przyrodzie. Ale prawdy matematyczne—czy i one zawierają tylko wypowiedzenia o faktach? Nawet Hume twierdzenia czystej matematyki wyróżniał od zdań o faktach pod względem ich **o c z y w i s t o ś c i**; a różnica w oczywistości, przysługującej tym dwóm grupom wypowiedzeń, ma polegać nie tylko na jej sile, której żaden empirysta uie może obalić, lecz także na jej rodzaju. Temu pogładowi przeciwstawia Mill swoje twierdzenie: ta cecha szczególnej konieczności, którą przypisują prawdom matematyki, jest **z ł u d z e n i e m** (dz. przyt. 2, 5, § 1, str. 239). Równocześnie Mill przyznaje, że z twierdzeniami matematyki łączy się swoiste uczucie szczególnej pewności(tamże). Przechodzimy do Millowskiego dowodzenia tej tezy.

Jest rzeczą uznaną, że twierdzenia geometrii wyprowadzają się z tak zwanych definicji; a dalej: że owe definicje uchodzą za poprawne przedstawienia przedmiotów, któremi geometria się zajmuje. Dowiedziono zaś, że z definicji, jako definicji, nigdy nie może wypływać twierdzenie, chyba twierdzenie, dotyczące znaczenia wyrazu, a wszystko, co pozornie wnioskuje się z definicji, w rzeczy samej wynika z przypuszczenia, iż istnieje rzeczywista rzecz, temu odpowiednia. To przypuszczenie w definicjach matematyki jest błędne. Niema rzeczywistych punktów, linii, kół i. t. d. ,któreby dokładnie odpowiadały definicjom; niema punktów bez rozciągłości, niema linii bez szerokości, niema prostej o ściślejsz tożsamości kierunku, niema koła, którego promienie byłyby wszystkie dokładnie równe. Może ktoś powiedzieć, że przypuszczenie rozciąga się nie na istnienie rzeczywiste, lecz na istnienie możliwe takich rzeczy. Ale ich istnienie okazuje się wedle wszelkiej miary możliwości, jaką posiadamy, niezgodnym z fizycznymi własnościami naszej planety. Zwykle się zaleca, w celu usunięcia tej trudności, żeby przedmioty definicji matematycznych pojmować jako proste wyobrażenia; a wtedy umysł z własnego swego materiału tworzyłby naukę apriorystyczną, której pewność nie miałaby nic wspólnego z pewnością, wynikającą z doświadczenia zewnętrznego, a więc różniłaby się od niej co do rodzaju. Ze względów psycholo-

gicznych Mill zarzuca i to przypuszczenie. Punkty, linje, płaszczyzny, ciała, które mamy w swej świadomości, uważa za [uidealizowane] odbitki tych, których nam dostarcza doświadczenie; punkt — to *minimum visibile*, najmniejsza cząstka płaszczyzny, którą możemy widzieć; linji bez szerokości nie możemy sobie wyobrazić. A więc ani w świecie zewnętrznym, ani w świadomości ludzkiej nie miałyby być przedmiotów, zupełnie odpowiadających przedmiotom geometrii? A więc geometria byłaby nauką o czymś nieistniejącym? — Mill na to pytanie zdaje się odpowiadać paradoksalnie: tak i nie; jednak jego zdanie w gruncie rzeczy jest jasne i nietrudne do ustalenia. Przyznaje bowiem niewątpliwie, że 1. definicjom matematyki rzeczy rzeczywiste nie zupełnie odpowiadają, że 2. postępowanie matematyki mimo to jest prawowite, t. j. psychologicznie możliwe i podobne do postępowania, stosowanego i poza tym w nauce, oraz że 3. mimo to ma znaczenie przechodne, czyli innymi słowy, że jej wypowiedzenia, z zastrzeżeniami, o których jeszcze będzie mowa, mogą być rozszerzone na wypowiedzenia o przedmiotach przyrody. Jego teza brzmi więc: mimo to matematyka nie jest nauką apriorystyczną. Powiadają; przedmiot geometrii konstruuje się według definicji. Ale skąd umysł bierze materjał do konstrukcji? Czy z siebie samego? Bynajmniej. To, jak już wspomniano, jest psychologicznie niemożliwe. Raczej w definicjach tkwi

kilka z naszych najwcześniejszych i najbliższych uogólnień. Własności przestrzenne naszych spostrzeżeń i ich obrazów pamięciowych (wyobrażeń), danych w wszelkim doświadczeniu wraz z ich materją czuciową (ich quale), idealizują się zwykłą drogą abstrakcji (pomijania wszystkich innych jednoczesnych własności, skoncentrowanego ich uwzględniania) i utrwalają się w definicjach (porówn. 2, 5, § 1). Dają nam więc nie opis przedmiotów poglądowych, lecz opis pojęć ogólnych (trójkąt, kwadrat i t. d.), pod które one się podsuwają, jako podścieliska poglądowe. Przedmioty definicji geometrycznych są faktycznie fikcjami, a tej okoliczności matematyka, jak Mill powiada, zawdzięcza szczególną pewność i ogólność swych nauk; wynikają one z koniecznością z założeń, z których się je wywodzi. Matematyka konstruuje zatem swój przedmiot wprawdzie z pojęć, ale tylko ze względu na definicje jej nauki są prawdami koniecznymi, podobnie jak twierdzenia każdej innej nauki (n. p. ekonomji narodowej) z koniecznością wynikają z jej założeń i przesłanek (fikcja o człowieku ekonomicznym, jego postępowanie jako obliczanie interesów, bez domieszki afekcji). Wszak dlatego starożytni nazywali twierdzenia wszystkich nauk dedukcyjnych „prawdami koniecznymi“ (tamże 243). „Twierdzenia, na których się opierają dedukcje tej nauki (geometriji), tak samo nie odpowiadają dokładnie faktom, jak w innych naukach;

ale przypuszczać, iż im odpowiadają, ażeby wyprowadzać konsekwencje, wynikające z tego przypuszczenia“ (tamże 242). W zastosowaniu do rzeczywistych stosunków przestrzennych i ze względu na pogładową konstrukcję wedle prawideł definicji, te prawdy konieczne stają się hypotetycznymi; zamiast mówić o równości promieni w półkolu, powinniśmy n. p. mówić o ich równoważności fizycznej, jak to czyni Helmholtz (Über den Ursprung u. Sinn der geometr. Sätze, w „Wissenschaftliche Abhandlungen, Lipsk 1883). Helmholtz oddziela hypotetyczną czystą geometrię od fizycznej (str. 651 i nast.) i dodaje, że w tej geometrii fizycznej zajmowalibyśmy się tylko spostrzeganiami, faktami empirycznymi, oraz, że jej prawa tylko o tyle uzasadniałyby naukę, mającą wartość dla poszczególnych dat doświadczenia przestrzeni fizycznej [t. j. dla spostrzegania poszczególnych stosunków przestrzennych, ich położenia obok siebie i poza sobą], o ileby się ziściło przypuszczenie, iż równoważność fizyczna zawsze się stosuje równocześnie do wszystkich rodzajów procesów fizycznych; t. j. zapewne przypuszczenie, iż różne spostrzeżenia zmysłowe zgadzałyby się z sobą w swych własnościach przestrzennych, wykazywałyby stałość i równowartość. Na to Mill mógłby był się zgodzić. Ale on większy niż Helmholtz kładł nacisk na idealizowanie, t. j. logiczne opracowanie poszczególnych doświadczeń przestrzennych, przez

co przecież właśnie zastąpienie równowartości fizycznej przez abstrakcyjną równość czystej geometrii dochodzi do skutku, a więc przypuszczenie szczególnego sposobu wyobrażania staje się zbytecznym. Ta czysta geometria, umożliwiona przez abstrakcję i idealizowanie, staje się tym sposobem źródłem oceny, normą wszystkich porównywanych empirycznych stosunków przestrzennych, gdy z drugiej strony logiczna idea równości—sama przez się tylko abstrakcyjny wyraz dla danego w doświadczeniu wewnętrznym poczucia jedności wobec rozmaitych zmiennych określeń świadomości empirycznej—jest podstawą pojęcia równoważności fizycznej. Stąd pochodzi aprioryczna możliwość udowodnienia każdego twierdzenia matematycznego, stąd pochodzi jego ważność dla wszystkich części przestrzeni abstrakcyjnej, wszędzie identycznej dla myśli naszej, stąd też stosowalność czystej geometrii do rzeczywistych empirycznych stosunków przestrzennych, ponieważ zdaniem Milla one właśnie stanowią podstawę bynajmniej nie d o l n e g o idealizowania i logicznego obrobienia.

U Milla zatem geometria czysta a fizyczna pozostają z sobą w koniecznym stosunku rzeczowym, u Helmholtza, jak się zdaje, nie (porówn. zwłaszcza str. 650-1). O tym stosunku powiada Mill (2, 5, § 2, str. 244); „Kto sądzi, że przesłanki geometrii są hipotezami, nie potrzebuje dlatego twierdzić, iż są hipotezami, nie ma-

jącami wogóle nic wspólnego z rzeczywistością. Ponieważ hipoteza, służąca do jakiego celu naukowego, musi się do czegoś odnosić, co posiada rzeczywisty byt (gdyż nie może być nauki o czymś nieistniejącym), to stąd wynika, że każda hipoteza, postawiona względem jakiego przedmiotu w celu ułatwienia sobie jego zbadania, nie powinna zawierać nic, coby było wprost fałszywe albo sprzeczne z jego rzeczywistą naturą; nie możemy jakiej rzeczy przypisywać własności, której nie posiada; nasza swoboda może się tylko potąd posunąć, że możemy niektóre przez nią posiadane własności w małej mierze przesadzić, przypuszczając, iż rzecz jest w zupełności tym, czym rzeczywiście jest tylko w przybliżeniu; oraz, że pomijamy zupełnie inne własności, zobowiązując się jednak koniecznie przywrócić je napowrót, skoro ich obecność albo nieobecność uczyniłaby istotną różnicę dla prawdziwości naszych rezultatów“.

2. O idealizacji czyli o logicznym opracowaniu danych nam zmysłowych doświadczeń przestrzennych już niejednokrotnie była mowa, a również i o abstrakcyjnej przestrzeni matematycznej. Wywody Milla w tym punkcie nie są zbyt systematycznie rozwinięte; dlatego na zakończenie choć słowem zaznaczę, jak powinien był postąpić, aby uzasadnić całkowitą filozofję matematyki. Powinien był najpierw ogólną naukę o wielkości oddzielić od geometriji; liczba bowiem,

jak pisze Gauss w liście do Bessla (z 9. kwietnia 1830), jest tylko wytworem umysłu, ale przestrzeń nie; to znaczy, pojęcie liczby do swego wytworzenia wymaga tylko mechanizmu wyobraźni, a pojęcie przestrzeni ma obok swych logiczno-formalnych cech ciągłości i nieograniczoności, jeszcze takie cechy, które się opierają na doświadczeniu trzech wymiarów i symetrii ciał (ciał o jednakiej wielkości i jednakim kształcie, o jednakim względnym położeniu swych części, które mimoto nie przystają do siebie); na doświadczeniu, które pojęciowo nie może być zrozumiane, lecz musi się posilkować poglądem. Mill zaś przypuszcza wraz z Sir Johnem Herschellem (Logika 2, 5, § 6, uw.), że przestrzeń jest zbiorowiskiem kierunków i odległości, a więc, jak Riehl, powołując się na Kanta, się wyraża (dz. przyt. 2, 1, 97), sumą stosunków współlistnienia. Wskutek tego u Milla jest rzeczą niejasną, czym jest wyobrażenie przestrzeni, a czym pojęcie przestrzeni, w jakim stosunku poszczególne zmysłowo dostrzegalne stosunki przestrzenne pozostają do jednolitej świadomości przestrzennej, która nie może być z nich wywiedziona, lecz raczej jest ich oparciem, oraz, w jakiej mierze w geometrycznych tworach przestrzennych biorą udział „fizyczne“ dane przestrzenne, a więc pogląd, a w jakiej mierze ich idealizacja, a więc logika. Teraz dopiero należałoby szukać wyjaśnienia pojęcia oczywistości matematycznej; należałoby wy-

kazać, co w niej jest „prawdą eksperymentalną“ — tym wyrazem Mill oznacza pewniki geometrii — a co koniecznością logiczną; innymi słowy: co w dowodzie geometrycznym polega na przymusie poglądu zmysłowego, a co się opiera na prawdziwości „idei“ (Cohen, *Kants Theorie der Erfahrung* ², 218).

3. W skali pewności oczywistość, przysługująca prawom empirycznym, zajmuje najniższy szczebel. Oczywistość matematyczna jest najwyższa, ponieważ, nawet w myśl poglądu Milla, w świadomości przestrzennej mieszają się z sobą stałe własności doświadczalnych stosunków przestrzennych (kierunki; symetria tworów bez konieczności przystawiania do siebie) ze stałym sposobem ich idealizacji, a więc z jej cechami logiczno-formalnymi. Sądy matematyczne przybierają zatem charakter praw ostatecznych, opisujących wszelkie możliwe stosunki współistnienia ciągłej świadomości przestrzennej, słowem, jednostajności bytu. Najwyższymi prawami przyczynowymi Mill nazywa twierdzenia, opisujące stałe własności i występujące w czasie sposoby działania materji; tak n. p. prawa o zachowaniu materji, siły, ciężkości i t. d. (3, 5, § 7 i nast.); te stałe własności nazywają się także przyczynami pierwotnymi (tamże). Ale pewność, przysługująca tym twierdzeniom, jest niższa od pewności sądów matematycznych, ponieważ nigdy nie możemy być zupełnie pewni, iż uchwyciliśmy rzeczywiście „pier-

wotne“ własności; a także dlatego, że sposobów działania materji nie określają żadne cechy logiczno-formalne.

Podstawa oczywistości, przysługującej sądom doświadczalnym, układa się według miary, w jakiej nam się udaje powiązać prawidłowości powstawania i zachowywania się z temi najwyższymi prawami przyczynowymi; stąd wypływa skala stopnia oczywistości, obszernie omawiana przez Milla w rozdz. 12 do 23 księgi trzeciej. Postępowanie naukowe polega zawsze na tym, żeby twierdzenia niższych stopni oczywistości przeprowadzić do twierdzeń wyższej pewności. Wszędzie początek stanowią jednostajności, stwierdzone obserwacją i eksperymentem; ale te jednostajności nazywają się *empirycznymi*, dopóki zaufanie w ich występowanie ma podstawę statystyczną, t. j. polega na liczbie obserwowanych wypadków. Tak n. p. perjodyczne powracanie zaćmień było znalezione przez obserwacje starożytnych astronomów, było więc prawem empirycznym; a dopiero wskutek ich wywodu z ogólnych praw ruchów niebieskich zostało wyjaśnione, stało się prawem przyczynowym (por. 3, 16, § 1, 231). Inny przykład: Wiedzano od dawna, że suche substancje przechowywane w suchym powietrzu, nie podlegają gniciu, jak to widzimy na trupach ludzkich w krajach gorących; tym samym poznano, że obecność wody jest warunkiem gnicia. Ale wyjaśnienie tego prawa em-

pirycznego dał dopiero Liebig, wykazując, że gnicie substancji zwierzęcych i innych, zawierających azot, jest procesem chemicznym, przez który stopniowo przechodzą w stan gazowy, a głównie w kwas węglany i amonjak. Aby zaś węgliki two-
rów zwierzęcych zamienić w kwas węglany, potrzeba tlenu; aby azot zamienić na amonjak, potrzeba wodoru, a więc potrzeba obydwu składników wody (III, 13, § 2, 187). Teraz nastąpiło wyjaśnienie jednostajności doświadczalnej, czyli lepiej: doświadczenia specyficznego przez podporządkowanie prawu ogólniejszemu. Jeśli takie podporządkowanie jest niemożliwe, wtedy nasuwa się pytanie: po ilu i po jakich wypadkach wolno nam wnioskować, że spostrzeżony zbieg dwóch zjawisk nie jest skutkiem trafu? To pytanie prowadzi do nauki o przypadku (trafie) i jego eliminacji, t. j. do teorii prawdopodobieństwa (3, 17; 3, 18).

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Z Logiki nauk duchowych.

O przyczynowości psychicznej i o metodzie nauk duchowych.

1. Co się nazywa „faktem“ w naukach duchowych? czy istnieją zasady powiązania takich faktów? — oto, jak się zdaje, pytania, na które logika nauk duchowych powinna przedewszystkim odpowiedzieć.

O faktach w naukach duchowych Mill zaledwie mimochodem wspomina, a o podstawowej zasadzie ich porządku, o duchowej przyczynowości i jej stosunku do przyczynowości mechanicznej, brak u Milla skończonego w sobie badania. Jednak o obydwu rodzajach przyczynowości mówi często i szczegółowo (Logika, 3, 5; 6; 10 i w in. m.; SWH⁶, 359 i nast.), o przyczynowości duchowej najbardziej szczegółowo w rozdz. 26. „Hamiltona“ („Wolność woli“, 564 i nast.). Przyczynowością duchową czyli psychologiczną nazywa prawo o związku postępów dowolnych — o ile to prawo da się stwierdzić. Związek ma tu oznaczać przynależność do nieskończonego

łańcucha zdarzeń, z których każde jest zarówno warunkiem, jak i czymś zależnym od warunku. Gdy rozłożę pojęcie zdarzenia, dotrę do jego najprostszego składnika, oddzielnej czynności dowolnej. Ale czynność dowolna, ze strony swej psychicznej, więc z pominięciem towarzyszącego jej przebiegu materialnego (pódrażeń nerwowych i czynności mięśniowych), rozpada się znów na pobudkę i cel, i nasuwa się pytanie, czy między pobudkami a celami zachodzi stały stosunek, tak, że przy powtarzaniu się pobudek możnaby wnioskować o tych samych celach, i na odwrót. Przyczynowości psychologicznej, jeśliby istniała, podlegałoby przeto wszelkie stawianie się duchowe, a zwłaszcza wszelkie czynności dowolne, jakoteż wszelkie ogniwa pojedynczej czynności dowolnej między sobą.

Takie jest też zdanie Milla. Pojęcie przyczynowości duchowej tworzy on logicznie ściśle według analogji przyczynowości mechanicznej. Według niego istnieje raczej tylko jedna hipoteza o powiązaniu faktów (zob. o „causation hypothesis“, SWH 576; a dalej: powyż. str. 141 i nast.), hipoteza, mająca za sobą obydwaj kierunki doświadczenia. Tak zwani determiniści (necessitarians) wymagają zastosowania tego samego prawa powiązania do naszych chęci. Twierdzą, że dla nich istnieje ta sama podstawa doświadczalna; że ona jest *vérité de fait* (truth of experience), oraz że akty woli są poprzedzane przez po-

przedniki psychiczne (moral) z tą samą jednostajnością i (przy dostatecznej znajomości okoliczności) z tą samą pewnością, jak skutki fizyczne przez fizyczne przyczyny. Temi poprzednikami moralnymi są pożądanja, wstręty, nawyknienia i usposobienia, w połączeniu z okolicznościami zewnętrznymi, zdątnymi do poruszenia tych impulsów (incentives) wewnętrznych (SWH, 577). Ale i te impulsy mają swoje przyczyny, tak np. wpływ wychowania i innych czynników moralnych i psychicznych. Materiału dowodowego dostarcza obserwacja własnych i cudzych czynności dowolnych; a oprócz tego zdolność przewidywania czynności, pozostająca w dokładnym stosunku do rozległości poprzedniego doświadczenia i do znajomości czynników działających i dochodząca nieraz do takiej pewności, z jaką nieraz przepowiadamy nastanie procesów mechanicznych; a nareszcie wyniki statystyki, która, opierając swoje wyliczenia na czynnościach ludzkich w wielkiej liczbie, wyłączając czynniki indywidualne i nie podlegające porównaniu w ich stosunkach przyczynowych, jako neutralizujące się nawzajem, przyjmuje je, podobnie jak mechanika, jako wielość jednorodnych przyczyn i dochodzi do przewidywania przyszłych zdarzeń, nie ustępującego w niczym przewidywaniom badań fizykalnych (porówn. SWH, 577). Rzecz dziwna, że Mill nie dostrzegł sprzeczności, w jakiej ta wiara w statystykę pozostaje do wyrażonego zaraz potym twier-

dzenia, iż możliwość przepowiadania czynności ludzkich polega na obserwacji stałych stosunków równości pomiędzy procesami psychicznymi („implies a constancy of observed sequence between the same antecedents and the same consequents“, SWH, 578 uwaga), jakiej wymaga Logika (porów. powyż. str. 156 i nast.). O logicznie wymaganym powtarzaniu się „równych“ wypadków, o ich „tożsamości“ niema mowy w dziedzinie psychologicznej, a doświadczenie nie dostarcza ani jednego wypadku, w którymby można być pewnym, iż wolno nam będzie wyniki, otrzymane przez statystykę zapomocą wyłączenia czynników indywidualnych i niewspółmiernych, zastosować kiedykolwiek do wypadków poszczególnych. A zatem powinien był oczekiwanie, iż uda mu się ustanowić łańcuch przyczynowy między danymi psychicznymi, obniżyć z góry do tej miary, którą nam wolno stosować, gdy znajdujemy odległe podobieństwa i analogje, gdzie, jak w dziedzinie fizycznej, poszukujemy równości rzeczy różnych czasowo i przestrzennie pod względem ilościowym i jakościowym. Tu okazuje się, jak nieostrożne było proste przeniesienie przez Milla naturalistycznego pojęcia przyczynowości do dziedziny woli; w metodologii nauk duchowych musiał na każdym kroku walczyć z powstałymi stąd trudnościami: wychodzi w niej od próby, podjętej przeciwko Comteowi, wykazania, że i jakim sposobem metoda fizykałna czyli konkretno-de-

dukcyjna daje się przenieść do nauk duchowych, a kończy na przyznaniu, iż metoda odwrotno-dedukcyjna czyli historyczna jedynie jest odpowiednia przedmiotowi (zob. poniżej). Zamiast identycznych, mamy tu wypadki analogiczne, zamiast praw — dążności. Ponieważ w tak zwanej dziedzinie materialnej można wykazać wypadki podobne, t. j. nieskończone powtarzanie się podobnych zdarzeń i identyczne stosunki między nimi zapomocą obserwacji i eksperymentu, więc miało się prawo do ustanowienia zasady zachowania siły, jako ostatecznej podstawy owych podobnych wypadków i identycznych stosunków (miary i wagi). Ale w dziedzinie psychologicznej występuje nowy czynnik: jak oś zdarzeń; czynnik, sprawiający, iż procesy psychiczne są mojem, określający ich ton uczuciowy, ich wartość, i przez to stający się dla mojej woli częścią pobudki. To nas znów zwraca w dziedzinę podmiotową, a zarazem wzrasta trudność określenia stanu duszy, poprzedzającego jakikolwiek akt, jako pobudka woli, i uważanego przez to za jego przyczynę; pewny jest tu tylko związek pewnych wyobrażeń ruchowych z pewnymi wyobrażeniami celu, a więc ta część przebiegu, która podpada pod zjawisko zmysłowe, ale sama dopuszcza tylko bardzo niepewny wniosek o stronie wewnętrznej umotywowania aktu. Możliwość przepowiadania jest zatem bardzo ograniczona, gdyż niema wcale dowodu, żeby nawet najogól-

niejsze dążności ludzkie, np. powiązane z podstawowymi popędami, domagającymi się zaspokojenia (jakoto: popęd zachowawczy i rozrodczy; popęd do rozwijania przyrodzonych zdolności, do publicznego uznania; przymus do wyrównania skłonności indywidualnych a rozkaźników społecznych) były indywidualnie w podobny sposób umotywowane; podobnie jak nawet ta sama częstość tętna nie koniecznie wskazuje na te same afekty, a te same czucia napięcia stawów i mięśni na równość odpowiadających im uczuć (porówn. Wundt, Logik II, 2², 212 i nast.).

Strona podmiotowa, która tym sposobem, jako źródło oceniania i wybierania, w życiu woli wywiera wpływ decydujący, często nazywa się samorzutnością, a ta znów uchodzi za coś czynnego, twórczego. Słusznie, jeśli do niej sprowadzamy oryginalność, swoistość wykonania; nie-słusznie, jeśli samorzutność pojmuje się jako pewien rodzaj przyczynowości jaźni, jako oddzielną od jej objawów, poszczególnych aktów świadomości, i determinującą je przyczynę; w tym punkcie polemika Milla przeciwko szkole Hamiltona (Mansel, P. P. Alexander; SWH, 581 i nast.) jest nieodparta. Bo jakeśmy powiedzieli, że stanowiska psychologii Milla brak wszelkich danych do określenia tego, co w szkole Wundta jako „energja duchowa“, „synteza twórcza“ umysłu, „wzrost energji duchowej“, ma oznaczać przeciwieństwo do abstrakcji przyrodniczych, wytwo-

rzonych przez wyodrębnienie podmiotu w świadomości. Bo ponieważ te abstrakcje, przygotowane dla rachunku (jak n. p. pojęcie energii), później jednak znowu otrzymują przymiotniki, których nie można skontrolować (jak n. p. twórczy; przymiotniki, których treść odczuwamy, ale nie możemy sobie wyobrazić), to nie dadzą się zużytkować naukowo. Ale zresztą Mill, jako fenomenalista, mógł i powinien był sobie przyswoić punkt wyjścia tej szkoły: wszelkie stawanie się w przyrodzie należy, jako wyobrażenie, do szeregu psychicznego; fakt i fakt świadomości są dla nauki duchowej identyczne; pojęcie przyczynowości psychicznej opiera się na nieprzerwanym związku, niezamąconym nawet przez sen i marzenia senne (porówn. Wundt, Logik II, 2², 267 i nast.).

Kiedy więc Mill w dziedzinie psychicznej mówi o czymś działającym i o czymś wywołanym (o popędach, pobudkach, przyczynach i skutkach), wtedy zawsze 1. ma na oku całość stanów świadomości i nieprzerwane powiązanie; wtedy 2. „zewnętrzność“, z zwłaszcza wszystkie zaliczane do niej wyobrażenia ruchu wpadają do łańcucha tej całości stanów; wtedy 3. chociaż jesteśmy o wiele lepiej obeznani z naszymi czynnościami dowolnymi, niż z abstrakcjami, które uzasadniamy to co przedmiotowe, i wedle których przecież tworzą się (gminne) wyobrażenia siły i przyczynowości (S W H, 376 i nast.), tutaj również

przez wywoływanie rozumie tylko bezpośrednio, niezmiennie, bezwyjątkowe następstwo (tamże 377). Doświadczenie życia woli dostarcza dosyć materiału do wytworzenia tego pojęcia; o jakimś tajemniczym łączniku, o jakimkolwiek spoidle pomiędzy ogniwami tego następstwa, o proroczym uprzedzeniu niema tu wcale mowy, jak niema również mowy o tym, żebym był świadomy jakiegokolwiek bezpośredniej władzy nad swojemi chceniami: mogę na nie wpływać, lecz tylko tak dalece, jak i inni ludzie (tamże), mianowicie przez użycie odpowiednich środków, a więc zapomocą obserwacji i doświadczenia.

2. Okazało się, że Mill dopuścił się wielkiej przesady, gdy filozofowi francuskiemu zarzucił, iż nie rozumiał metodologicznego zagadnienia socjologii (zob. powyż. str. 83). Owszem, sprawozdanie, jakie Mill podaje o traktowaniu tego przedmiotu przez Comtea, jest najzwzięźlejszym przedstawieniem stanu rzeczy (Pos. 58 i nast.): Zwykły przebieg nauki postępuje od szczegółów do ogółu, metoda socjologii przechodzi od ogółu do szczegółów, ponieważ w zjawiskach społecznych fenomen ogólny jest dostępnejszy dla naszego spostrzegania, niż części, które nań się składają. To samo można już powiedzieć o organicyzmie zwierzęcym, tylko w znacznie mniejszym stopniu, niż o tak zwanym organizmie społecznym, którego wszelkie wyrazy: wiara religijna, filozofja, nauka, sztuki piękne, handel, przemysł,

formy rządu, pozostają z sobą w najściślejszym związku wzajemnym, w stosunku wzajemnego oddziaływania na siebie, tak że musimy przypuszczać, iż każdej zmianie, dostrzeganej w jednym z tych pierwiastków, towarzyszą równoległe zmiany we wszelkich innych wyrazach wspólnych społeczeństwa. Postęp społeczeństwa od jednego stanu ogólnego do drugiego nie jest sumą zmian cząstkowych, lecz wytworem jednego jedyne go impulsu, działającego poprzez wszystkie siły cząstkowe, i dlatego najłatwiej daje się wykazać, gdy je wspólnie zbadamy. Do teorii społeczeństwa dochodzimy przeto tylko wtedy, gdy jednocześnie bierzemy w rachubę wszystkie różnorakie strony organizacji społecznej (str: 61). A z tej natury organizmu Comte logicznie wywodzi metodę socjologiczną: ta metoda wymaga koniecznie odwrócenia dedukcji i indukcji. Bo kiedy w dedukcyjnych naukach przyrodniczych doświadczenie specyficzne zwykle służy do tego, żeby prawa, otrzymane przez dedukcję, sprawdzić (str. 60), w nauce społecznej przeciwnie doświadczenie specyficzne nastęrcza nam prawa zjawisk masowych, a dedukcja z ogólnych praw natury ludzkiej sprawdza je. Jeśli teoria socjologiczna, wywiedziona z faktów historycznych, nie zgadza się z prawami natury ludzkiej. jeśli n.p. zawiera w sobie przypuszczenie, jakoby w człowieku średniej miary rozum miał przewagę nad pożądaniami albo popędy bezintereso-

wne nad samolubnemi, wtedy możemy być przekonani, że fakty historyczne wytłumaczono opacznie, i że ta teoria jest błędna. Jeśli zaś naodwrot uda się nam prawa zjawisk społecznych, otrzymane pierwotnie przez empiryczne uogólnienie faktów historycznych, powiązać następnie ze znanymi prawami natury ludzkiej, jeśli n. p. okaże się, że rozwój i przemiany społeczeństwa ludzkiego faktycznie trzymają się kierunku, który już z góry był prawdopodobny wskutek własności człowieka i jego otoczenia fizykalno-geograficznego: wtedy uogólnienia empiryczne nabierają znaczenia praw ogólnych, a socjologja staje się nauką.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Fenomenalizm Milla.

Jaśniejsza nieco świadomość pospolita odróżnia już w poznaniu naszym przedmioty, istniejące niezależnie od naszej woli, a więc poprostu „dane“ nam, a ich wzajemne stosunki. I nie zbita z tropu przez rozróżnienia gramatyczne, rozrywające to, co przedmiotowe (czyli obiektywne) w naszych wypowiedzeniach, na różne „samodzielne“ części mowy (rzeczowniki, przymiotniki, czasowniki), w tym zasobie przedmiotowym kładzie całą swą wartość prawdy. Wyobraża sobie, że tą treścią wypowiedzenia (powiedzmy: sądu o spostrzeżeniu) ujmuje rzeczywistość taką, jaką jest, że ją w swej świadomości odtwarza wyczerpująco („zgodnie z prawdą“). Ze znaczenia gnozeologicznego pojęć stosunku, odzwierciedlających się w syntaktycznej formie orzeczenia, świadomość pospolita nie zdaje sobie „tak jasno“ sprawy.

Naukowym staje się to stanowisko jednak dopiero wtedy, gdy się ściśle odróżnia między formą a treścią wypowiedzenia i gdy się zadaje pytanie, jakimi muszą być obydwie, aby wypo-

wiedzenie uczynić przedmiotowym, t. j. prawdziwym, czyli innemi słowy: co w nich wytwarza tak zwany stosunek do rzeczywistości. Z pojęć stosunku czyli form wypowiedzenia Mill bliżej rozebrał tylko stosunek sprawczości (SWH, 359 i nast.; Logika, 3, 5); o przedmiocie (treści) poznania traktują roztrząsania 1. o naszej wierze w świat zewnętrzny (SWH, ch. XI); 2. o rzeczach duchowych (tamże, ch. XII: O ile wiarę w świat zewnętrzny można zastosować do ducha?). Co się tyczy treści naszych sądów, badanie jest w rzeczy samej zupełne, gdyż ta treść może się tylko tyczyć tego, co jest dane w doświadczeniu wewnętrznym albo zewnętrznym. Pojęcia rzeczy czyli substancji Mill nie roztrząsał samoistnie, jak Locke (Essays, 11, 23) albo Hume (Treatise, 1, 6), lecz w poczuciu tylko względnej samoistności grup spostrzegawczych czyli czuciowych, które nazywamy rzeczami, a więc ich tylko podmiotowo ważnego skojarzenia, od razu przeszedł do roztrząsania zagadnienia: czym jest „materja“ naszego poznania czyli to, ku czemu zwykle odnosimy swoje wypowiedzenia? W swych wywodach opiera się na Berkeleyowskich zasadach poznania ludzkiego (§§ 16 i nast.)

1. Co mamy na myśli, gdy powiadamy, że spostrzeżone przedmioty są nazewnątrz nas (external to us) i nie tworzą części składowej naszej świadomości? Chcemy przez to powiedzieć, że nasze spostrzeżenia i wyobrażenia dotyczą czegoś,

co istnieje, choć o nim nie myślimy, co istniało, zanim o nim pomyśleliśmy, i co istnieć będzie i wtedy, gdy nasz byt się skończy; a dalej: że istnieją rzeczy, których my, jako jednostki, nigdy nie spostrzeżliśmy, oraz inne, których nigdy żaden człowiek nie spostrzegł albo nie spostrzeże. Wobec zmienności naszych wyobrażeń to coś ma cechę trwałości (perdurability).

Widzę kawał papieru na stole. Idę potym do innego pokoju. Ale choć go już nie widzę, jestem przekonany, że papier nie opuścił swego miejsca; owszem, sądzę, że w tych samych okolicznościach—które jestem mocen sprowadzić—miałbym to samo spostrzeżenie. Moje wyobrażenie o świecie, o rzeczywistości, nie ogranicza się zatem w każdej poszczególnej chwili do stanów świadomości, które właśnie w tej chwili mam, ani do obecnych spostrzeżeń i wyobrażeń, lecz rozciąga się na niezliczoną różnorodność wrażeń możliwych (countless variety of possibilities of sensations). Ta nieograniczoność wrażeń możliwych w moich doświadczeniach jest zwykle rzeczą najważniejszą; wrażenia w tej chwili obecne mają zwykle mniejsze znaczenie w porównaniu z temi, które przez przypomnienie sobie mojego przeszłego doświadczenia i w wiadomych mi okolicznościach mogą w każdej chwili ożyć, albo też w nieznanym mi okolicznościach mogą rozszerzyć zakres mojego doświadczenia. A dalej: obecne moje spostrzeżenia są przemijające,

a możliwość nowych spostrzeżeń jest trwała. Potrzeba mi tylko zapomnieć o tym, że „możliwość nowych wrażeń“ jest tylko uogólnieniem czyli pojęciem (Mill) oczekiwania, wytworzonego przez moje dotychczasowe doświadczenie, a więc nsposobienia duszy, ale nie ma żadnej treści, aby dojść do wyobrażenia substancji, trwającej wśród zmian zjawisk.

Spostrzeżenie składa się, oprócz tego, zwykle z całej grupy licznych czuć, należących do różnych zmysłów. Z tej grupy zwykle tylko niektóre czucia są obecne, a inne uzupełniamy, że tak rzekę, z obecnych możliwości, które w każdej chwili mogą być urzeczywistnione. Tak powstaje wyobrażenie rzeczy. Każde poszczególne czucie, należące do tej grupy, jest dotknięte cechą znikomości, gdy tymczasem grupa sama, w której spostrzegamy określony porządek współbytu, wywołuje wyobrażenie czegoś, co trwa dłużej od poszczególnych części składowych. Na to coś przenosi się ostatecznie wszystkie, spostrzeżone w zjawisku, własności (siły) i prawidłowości; a podobnie jak sądzimy, że grupy czuciowe czyli rzeczy czyli możliwości wrażeń istnieją niezależnie od tego, czy je kto spostrzeże, podobnie uważamy i prawidłowości, w nich spostrzegane, za niezależne od tego, czy są spostrzeżone; uważamy je również za dane wraz z materją doświadczenia. Ogień gaśnie, zarówno, czy śpimy, czy czuwamy. Zboże dojrzewa, czy jesteśmy obecni czy nieobecni; poszczególne wrażenia usta-

ją, możliwości, jakoteż prawidłowości, spostrzegane przy ich uświadomieniu, pozostają niezależne od naszej woli. Tym sposobem możliwości wrażeń stawiamy do wrażeń obecnych w stosunku przyczyny do skutku; albo pojmujemy je jako ramę, w której zamykają się rozmaite figury, czy chcemy czy nie chcemy; albo wyobrażamy sobie jako podścielisko, które się obleka rozmaitemi własnościami, i z którego, jako z podpory, rozmaite siły działają na inne rzeczy (a między nimi i na nasze ciało). Pojęcie przyrody czerpie z tych wyobrażeń swoje cechy; opiera się na tych grupach wrażeń możliwych (groups of possibilities) i na przypisywanych im siłach, z którymi wiążemy zmiany, w tych grupach spostrzegane (SWH, 250). Przyroda w tym rozumieniu jest jednoznaczna z „bytem wogóle“.

Ale ogół tych grup wrażeń możliwych (przyroda, byt w ogóle) należy zarówno do innych istot ludzkich albo czujących, jak do nas samych; bo tak samo, jak my, i one opierają na nich swoje oczekiwania przyszłych zdarzeń, stosują do nich swoje postępowanie. Nie mają tych samych wrażeń faktycznych, nie odbierają ich jednocześnie z nami, a jednak ich wyobrażenie owej nieskończonej różnorodności wrażeń możliwych, czyli podstawy dla treści naszej świadomości odpowiada dokładnie naszemu wyobrażeniu.

2. Mniemam, że dotychczasowy rozbiór Milla nie jest zupełnie jasny. Mianowicie fakt,

że w sądach swoich usiłujemy dojść poza treść naszego przyszłego spostrzegania indywidualnego do jej wspólnej podstawy, polega na dwojakiej dążności. Popierwsze, usiłujemy dotrzeć do tej wspólnej podstawy, że wogóle musimy mieć jakąś treść świadomości; ale wszelka próba bliższego jej określenia rozbija się o to, że nie możemy przekroczyć wypowiedzeń naszej świadomości. Tym sposobem pozostaje ona, jako rzecz w sobie, bezwzględny x (transcendentalne x Kanta). Gdy mówimy, iż wierzymy w rzeczywistość świata zewnętrznego, to w tej wierze tkwi tylko to przekonanie, że nasz rozum nie jest twórczy, że więc nie może sobie sam nadawać swej treści, lecz przez przyczynę obcą czyli „zewnętrzną“, ale nam wszystkim wspólną, zmuszony jest do swych funkcji. O tyle świat zewnętrzny nazywamy poprostu rzeczywistością; wszystko, co w jakikolwiek sposób i kiedykolwiek może być dane świadomości, a z nią nigdy nie może być „porównane“, nazywamy zjawiskiem. Stosunek naszych wypowiedzeń do ich „przedmiotu“ nie może zatem wcale zmierzać do tej rzeczywistości pierwszego rzędu, lecz tylko do tego, co jest wspólne w formie i treści naszych spostrzeżeń i wyobrażeń; granica między tym, co nazywamy podmiotowym, a co przedmiotowym, nie leży zewnątrz świadomości, lecz w samej świadomości i musi być odnaleziona przez rozbiór

określeń, które są nam dane w doświadczeniu (a więc w zespole zjawisk rzeczywistych albo możliwych). Tę wspólność naszych stanów świadomości, pierwiastkowo indywidualnych (states of consciousness), nauka usiłuje wykazać; ona konstruuje najpierw pojęcie świadomości wogóle, jako sumy funkcji logicznych i psychologicznych, przez których dokonanie mamy doświadczenie (doświadczenie jako fakt) albo je nabywamy (doświadczenie jako zadanie), oraz pojęcie rzeczywistości wogóle, jako sumy tego, co jest wspólne w naszych czuciach, spostrzeżeniach, wyobrażeniach, sądach i ocenach. To pojęcie nauki obejmuje obydwa kierunki doświadczenia, wewnętrzny i zewnętrzny; dzieli je logicznie na doświadczenie historii i na doświadczenie przyrody. A dalej: pojęcie zjawiska nie jest z góry ograniczone do tak zwanych przedmiotów zewnętrznych jedynie; zjawiskowym jest według Milla każdy stan świadomości, zarówno, czy w nim zwracamy uwagę na jego ton uczuciowy (skojarzone z nim uczucia rozkoszy albo cierpienia), czy na zawarte w nim pierwiastki „materjalne“ czyli wypełniające przestrzeń (zob. poniż.).

3. Mill przeczy temu, jakoby rozdział między wewnętrznym a zewnętrznym kierunkiem doświadczenia był pierwotną daną świadomości, t. j. wrodzony; bo to, co grupom czuć albo po-

jedyńczym spostrzeżeniom nadaje cechę samoistnych rzeczy zewnętrznych, wypełnienie przestrzeni i powiązane z tym własności kształtu, rozciągłości i nieprzenikliwości (podmiotowo czucie oporu), to zdaniem jego jest wynikiem długiego ćwiczenia zmysłu dotykowego i mięśniowego (265 i nast.). Jakkolwiek jednak rzecz się ma (wróć jeszcze do tego przedmiotu): ów rozdział opiera się na najogólniejszym założeniu całego szeregu „afekcji duszy“, podrażnień, czuć, spostrzeżeń (sensations), oraz na założeniu świadomości tego szeregu, poczucia jedności w różności, z czym się łączy wyobrażenie osobistej tożsamości (identyczności). Ta tożsamość zaś ze swej strony opiera się, jako na ostatecznym fakcie, nie podlegającym już analizie, na pamięci (przypominaniu sobie, a więc i oczekiwaniu, 262), oraz na funkcji praw kojarzenia; nasze wyobrażenie własnej jaźni ma swe źródło w tym fakcie, że spostrzeżenie pozostaje w pamięci jako wyobrażenie i przez nowe spostrzeżenie podobnego rodzaju żywia, t. j. przypomina się. Ten proces uważa Mill za pierwotny fakt samowiedzy, a podczas gdy w 1. wydaniu „Hamiltona“ przypuszcza, że przestrzenne (t. zw. pierwotne) własności treści świadomości, w przeciwstawieniu do ich strony uczuciowej i woli, stanowią podstawę rozdziału między ja a nie—ja, później (265, uw.) twierdzi, że przypuściwszy pamięć i prawa kojarzenia,

już samo przeciwieństwo między [formalną] tożsamością świadomości (poczuciem jedności, a więc ciągłą funkcją, przez którą samowiedza najpierw się uskutecznia) a jej własnymi modyfikacjami wystarcza do wyjaśnienia powstania wyobrażenia jaźni. Rzecz godna uwagi, że Mill węzeł, łączący szereg stanów świadomości między sobą, uważa za równie „realny“, jak oddzielne stany świadomości same; ale nie umie wykazać, czym ten węzeł może być poza poczuciem jedności (Kantowskiej empirycznej jedności apercpcji). Uogólniona, ta empiryczna funkcja świadomości daje jedność świadomości w ogóle, do której odnosimy wszystkie ogniwa wewnętrznego szeregu doświadczenia; podobnie jak prawidłowy związek wszystkich spostrzeżeń zewnętrznych zwykliśmy odnosić do substancji albo do rzeczywistości wogóle albo do przyrody. Mill wpada z swego idealizmu w gruby materializm, gdy daje się uwieść prof. Massonowi, żeby ów węzeł nazywać organicznym; przez to fizjologia staje się narzędziem teorii poznania.

4. Punktem wyjścia dla obydwu kierunków doświadczenia jest według Milla zmysłowa afekcja duszy, podrażnienie (impression, sensation). Z niego dochodzimy do pojęć trwałych grup spostrzeżeń możliwych z jednej strony, a ciągłego szeregu czuć (continued series of feelings) z drugiej; nierozzerwalne kojarzenie wywołuje przy ka-

żdym wrażeniu oboje (266). Nie uchodzi mówić filozoficznie o duchu albo materji, o podmiocie albo przedmiocie inaczej, jak ze względu na niepodzielne pierwotnie stany duszy (feelings, states of consciousness); przeciwstawiając podmiot przedmiotowi, nie powinniśmy w każdym razie zapominać, że właściwą parą przeciwieństwa jest treść świadomości, rozważana przedmiotowo i podmiotowo (tamże). Zauważyłem już, że przestrzenne własności wrażenia zaliczają się do jego strony przedmiotowej. Ze współlistniejącej grupy wrażeń o wiele więcej od własności powonienia, słuchu, smaku uwydatniają się wrażenia, pochodzące ze zmysłu dotyku i mięśniowego, więc uczucia ciśnienia i oporu. Stanowią one, że tak rzekę, grupę wewnątrz grupy, jądro grupy, z którym, jako treścią własności pierwotnych (kształt, rozciągłość, nieprzenikliwość), łączą się nierozdzielnie własności innych zmysłów, jako wtórne. Nasze wyobrażenie materji, świata zewnętrznego czyli przedmiotowego jest głównie powiązane z kształtem i nieprzenikliwością. W szczegółach wykład Milla opiera się na A. Baina „The senses and the intellect“ (1. wyd., str. 113 i nast.) i nie podaje nic nowego. Ten wykład wykazuje, że Mill, omawiając zagadnienie naszego wyobrażenia o świecie zewnętrznym, nie uprzytomnił sobie, iż w pierwszym i w następnych wydaniach swego „Hamiltona“, zamiast na jedno, odpowiedział na dwa zapytania: jak 1. powstało przypu-

szczenie bytu od nas odrębnego, a więc rozróżnienie między percipi a esse, oraz 2. jak się wytworzyło wyobrażenie świata zewnętrznego w właściwym znaczeniu tego wyrazu? Na pierwsze pytanie odpowiada w późniejszych wydaniach swego dzieła krytycznego: że rozróżnienie polega na doświadczeniu, od którego datujemy początek samowiedzy, iż modyfikacje jaźni są dane, i wciąż jesteśmy zmuszeni spostrzegać podrażnienia i doznawać wrażeń. Jako prawdziwy Berkeleyyanin, za jakiego chciał uchodzić, powinien był mniej więcej powiedzieć: istnieje przyczyna, nie podlegająca mojej woli, nieograniczonej liczby możliwych spostrzeżeń, bo chociaż mogę dowolnie wywoływać podrażnienia zmysłowe i połączone z nimi ruchy mięśniowe, to dzieje się to tylko dlatego, że poprzednio musiałem je mieć, i wykonywanie tak zwanych aktów woli było mi narzucone; z tego więc mogę tylko wnieść, że nie tylko możliwość wrażeń jest trwała (permanent possibilities of sensations), lecz i ich zakres trwale powraca i w tych samych okolicznościach zawiera zawsze pierwiastki, które muszą się urzeczywistnić (mniej więcej tak: possibility of permanently recurring sensations). Taka przyczyna treści mojej świadomości wyczerpuje dla mnie dostępną mi treść bytu w ogóle; jej pozostałe określenia wiążę z naturą grupy wrażeń, powiązanej nierozzerwalnie z moją samowie-

dzą, a nazywanej przeze mnie moim ciałem. Wyobrażenie świata zewnętrznego w znaczeniu geometrycznym powstaje przeciwnie, gdyśmy się nauczyli odróżniać własności pierwotne od wtórnych własności owych trwałych możliwości wrażeń (SWH, 265 i nast.).

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Filozofja praktyczna.

I. O zasadzie moralności.

1. Sławny przyczynek Milla do filozofji moralnej, „Zasada użyteczności (Utylitaryzm)“, wyszedł w r. 1861. w „Frasers Magazine“, a w wydaniu książkowym w r. 1863. Jego powstanie przypada na płodny rok 1854., w którym dojrzał plan do rozprawy o wolności; na dziesięciolecie, rozpoczęte rozprawieniem się z Whewellem, angielskim przedstawicielem szkoły intuicyjnej w moralności (1852), a zamknięte „Myślami o reformie parlamentu“ (1859). Obydwie książki należą do tego samego zakresu myśli, zapłodnionego i wzbogaconego przez jego żonę (Autob. 222), rozszerzanego tylko powoli także przez podstawy wewnętrzne: zasady moralności politycznej z natury rzeczy czerpią swą siłę dowodową z zasad moralności w ogóle, z ostatniego źródła naszych wyobrażeń o dobru i złu, słuszności i niesłuszności, praktycznym uznaniu i nieuznaniu. A obydwie rozprawy, historycznie jednakowo ważne, dzieliły ten sam los: ogólnie zwracały na siebie uwagę, znajdowały gorący

poklask i stanowcze potępienie; ale zasada użyteczności (WW, I, 133 uw.) ma jeszcze tę szczególną zasługę, jedyną, którą autor sam sobie przypisuje, że dla rzeczy starej nową nazwę— utylitaryzm—jeśli nie wynalazła, to przynajmniej puściła w obieg. Tę nazwę, używaną zresztą już przez Benthama w r. 1802., Mill, jak czytamy w Autobiografji (zob. powyż. str. 48), przyjął z nowelli Galta „The Annals of the Parish“, gdzie bohater, duchowny szkocki, ostrzegał swoje owieczki, żeby nie odstąpiły od ewangeliji i nie stały się „utylitarystami“; a w swej młodszej czupurności siedemnastoletni filozof użył wyrazu, ukutego przez stronę przeciwną, na oznaczenie swego „Społeczeństwa utylitarnego“ (1823). W rozprawie etycznej wyraz „utylitaryzm“ ma oznaczać normę postępowania moralnego w ogóle, a nie „jakikolwiek szczególny sposób jej stosowania“. Ma nam uprzytomnić, że użyteczność *p o w s z e c h n a* („eudajmonizm powszechny“ Sidgwicka) jest zasadą, rządzącą wytwarzaniem sądów moralnych o postępkach ludzkich (nie o osobach działających); nie ma więc podawać ani nauki o cnocie i obowiązkach, ani wyczerpującej teorii naszych uczuć. Z tego względu wydaje mi się, w przeciwieństwie do Jodła (II, 603, uw. 30), że ta nazwa jest nader szczęśliwa, ponieważ charakter tej zasady, zmierzający ku sprawom ogólnym, przez nią jest z góry lepiej oznaczony, niż przez terminy, oparte na pojęciu szczę-

ścia i szczęśliwości, w których stosunek od indywidualnego życia popędowego jest zbyt wyraźnie zaznaczony.

2. Bo właśnie to jest rzeczą szczególną: że rozprawa, uchodząca za najkonsekwentniejszy nowożytny wykład nauki o rozkoszy (hedonizmu), ponieważ, aby pojąć ostatecznie podłoże czyli materję aktu woli, zwraca się aż do życia pożądań i popędów, jako do ich źródła macierzystego (rozd. 3)—że i ta rozprawa zaczyna się od rozbioru sądu moralnego, jako sądu. Wykład jest niestety tego rodzaju, że zarówno zwolennicy (n.p. Bain, Jodl, Laas), jak przeciwnicy (n.p. Wundt, Windelband, Staudinger), w tej nauce o rozkoszy mogli się dopatrzeć jądra rozprawy, tylko że obydwie strony inaczej oceniły jej wartość albo brak wartości. Rozprawa byłaby o wiele jaśniejsza, gdyby był uwzględniony naturalny podział zagadnienia, t. j. gdyby najpierw była uwzględniona forma, a potem materja sądu moralnego, oraz gdyby cecha znamiennej życia moralnego, t. j. pochwała i nagana aktów woli, wyrażana w sądach, była wyjaśniona jako wykładnik dwojakiego względu, mianowicie: względu na usposobienie osoby działającej i względu na wartość społeczną postępków.

A jednak rzecz dziwna, że można się było nie poznać na punkcie wyjścia Milla. „Nasza zdolność moralna“, powiada (WW, I, 129; Utyl. rozdz. 1), „daje nam tylko najogólniejsze zasady

sądu moralnego; jest ona tylko odroślą rozumu, a nie naszej władzy spostrzegawczej, i ma znaczenie dla abstrakcyjnych teorii moralnych, a nie dla poznania strony moralnej w wypadku konkretnym“. W tym, mówi dalej, zgadza się szkoła indukcyjna ze szkołą intuicyjną moralistów, że moralność jakiego postępku wywodzi z jego podporządkowania pod jakieś prawo, przez co ten postępek wybija się z pod gospodarki indywidualnej, chociaż psychogienetycznie zdaje się w niej zapuszczać swe korzenie. Istnienie praw, sądzi zatym Mill, istnienie zdań ogólnych, uchodzących za normy oceny moralnej, jest, jakkolwiekby była ich treść, koniecznym warunkiem tego, co nazywamy życiem moralnym, jest, wyrażając się po Kantowsku, jego warunkiem transcendentnym, umożliwiającym dopiero wspólne pożycie ludzi; o tyle postępowanie moralne jest postępowaniem rozumnym, podobnie jak wogóle wszelkie zawiązywanie i rozwiązywanie stosunków. I w tym jedynie okazuje się zarazem przedmiotowość, ku której postępowanie zmierza z samego początku, ponieważ wprawdzie wprost może być powołane do życia tylko środkami osobnika, ale jednak natychmiast traktuje się, t. j. ocenia się jako wytwór „drugiej strony“, t. j. społeczności. I w tym obydwie szkoły się zgadzają, iż uznają mniej więcej te same prawa moralne, a więc praktycznie swym sądom moralnym zawsze nadają tę samą formę, a bardzo

często i tę samą treść. Co prawda, tylko bardzo często tę samą treść, a nie zawsze: w tym punkcie rozchodzą się obydwie szkoły. Że o naszych postępkach nawzajem wypowiadamy sądy chwalebne albo ganiące, że im więc przyznajemy wartość społeczną, to każdy, kto wskutek źle zrozumianej paradoksalności albo wskutek chorobliwości nie stawia się poza społecznością ludzką, uważa za rzecz naturalną; a więc tylko w wyjątkowych razach zachodzi potrzeba rozwodzenia się nad tym warunkiem transcendentalem moralności, zrozumiałym przez się. Ale często zachodzi ta potrzeba, gdy chodzi o rozstrzygnięcie, skąd nasze sądy szczegółowe biorą swoją treść, skąd wywodzą swoje uprawnienie do nazywania poszczególnych postępków to dobrymi, to złymi. Tutaj uderza równoległość z gnozeologicznym stanowiskiem Milla. Nazwijmy transcendentálny warunek sądów moralnych moralnym a-priori: wtedy chodzi Millowi o moralne a-posteriori, o sposób, w jaki w życiu moralnym uskutecznia się w wypadkach poszczególnych nasza aproba-cja albo nieaproba-cja i w jaki się ona uzasadnia. To jest w rzeczy samej pytanie rozstrzygające. Bo jeśli tylko taki postępek nazywam moralnym, który jest czymś więcej, niż automatycznym i nie uskutecznia się poprostu wskutek tego, że popędy, pożądania, usposobienia, skłonności i potrzeby wprawiają w ruch przyrząd motoryczny; jeśli postępek ma się stać moralnym jedynie przez czyn-

ność refleksyjną, przez to, że zdanie ogólne stanie się pobudką aktu mojej woli: to treść niejednych zdań ogólnych (praw) w razie starcia przedstawi mi się jako coś obcego, jako coś, o czym mi się zdawać będzie, jakobym tego w tej określonej formie nie przyjął za prawo. A teraz zachodzi potrzeba zapytania: jak to się dzieje i z jakich powodów indywidualny aparat psychofizyczny poczuwa się do obowiązku poddawania się temu czemuś „obcemu“?

3. Mill poszukuje więc zasady, wedle której tworzą się sądy aposterioryczne o postępках ludzkich. Nazywa tę zasadę podstawą albo źródłem zobowiązania moralnego. To może wprowadzić w błąd. Nasz filozof (WW, I, 129, 130), jak się zdaje, nie ma do tego prawa, boć przecież zobowiązanie moralne, jakieśmy już powiedzieli, ma dla każdego członka społeczności myślowej polegać jedynie na świadomym poddawaniu się prawom, regulującym postępkę ludzkę wogóle. Moralna jakość postępkę tkwi zatem jedynie w zachowaniu się osoby działającej, w jej chęci uwzględnienia ogólnej zasady w swym postępowaniu, więc w pewnym rodzaju usposobienia reprodukcyjnego. Nie dotyczy ona sposobu stosowania jakiego prawa do poszczególnego wypadku: to stosowanie zależy od intelektu, od zdolności w ł a ś c i w e g o używania rozumu; z tego względu postępek jest właściwy albo błędny. Ale na tym pojmovaniu niepodobna poprzestać.

Bo faktycznie nie ograniczamy oceny moralnej czyjego usposobienia na jego chęci postępowania według norm ogólnych, lecz rozszerzamy ją na jego chęć—choć nie na zdolność—každorazowego przetworzenia ich treści i w miarę zdolności indywidualnej wymagamy od usposobienia zachowania się produkcyjnego, wymagamy z a s a d n i c z o zainteresowania się treścią norm i uważania na ich materialną pobudkę determinującą. Tym sposobem ta pobudka, która sama nie potrzebuje być moralną, ponieważ determinuje to, co nazywamy moralnym (porówn. W W, I, 136), przez przenośnię staje się „moralną podstawą zobowiązania“. To też ostatecznie moralnemi nazywamy i postęпки, które się zgadzają z normami moralności, nie powstawszy jednak z cnoty, t. j. ze względu na te normy.

4. Zwróćmy uwagę na treść najwyższych przepisów moralnych, na normy, prawidła, maksymy, odzwierciedlające się w wyobrażeniach moralnych, každorazowo posiadających znaczenie. Wtedy okazuje się—znów jako f a k t—że postęпки nie istnieją, jak mogłoby się zdawać podług Kanta (porówn. WW' I, 130 i nast.), gwoli normom, lecz normy istnieją gwoli postępkom, oraz że chcąc określić cel i treść norm moralnych, należy zwracać uwagę na cel postępków ludzkich.

Zanim chcemy, zanim stawiamy sobie (czynnie) cele, życzymy wpierw sobie i pożądamy (biernie; I, 171 i nast.). Przez to Mill chce powie-

dzieć: zanim człowiek stawia sobie cele, są one mu dane. Psychologicznie jest zaś rzeczą niemożliwą uważać coś za pożądane, jeśli temu biernemu wyobrażeniu celu nie towarzyszy uczucie rozkoszy; podobnie jak nie można nie odczuwać uczucia przykrego, gdy naturalne pożądanie jest udaremnione albo powstrzymane. Jest więc np. psychologicznym niepodobieństwem „kochać cnotę dla niej samej“, t. j. gdy nie otrzymuje siły pobudzającej przez skojarzenie z uczuciem rozkoszy (I, 167 i nast.). A dalej Mill (I. 171) powiada: życzyć sobie czegoś a mieć uczucie rozkoszy — jest to samo; a stąd wnioskuje: ponieważ człowiek jest istotą pożądającą, przeto prawa jego natury zniewalają go do poszukiwania uczuć rozkoszy (pleasures) i do unikania uczuć cierpienia (pains). Zastąpmy ogół wszelkich uczuć rozkoszy — szczęśliwością; wtedy „życzyć sobie czegoś“ znaczyć będzie: życzyć sobie szczęśliwości, i to szczęśliwości niejako wyobrażenia abstrakcyjnego, lecz jako „konkretnej całości“ (I 169), t. j. zapewne jako sumy wszystkich poszczególnych stanów duszy, w której przeważa uczucie przyjemne. Rzeczywiście więc nie życzymy sobie niczego innego, jak szczęśliwości (I, 170); ku niej czyto wprost czy ubocznie zmierzają wszystkie nasze postęпки. Szczęśliwość jest ich celem ostatecznym, summum bonum starożytnych; wszystko inne, nawet cnota, staje się środkiem do tego celu.

5. Z tego poglądu uwydatnia się wyraźnie to jedno: Mill usiłuje wywieść normy oceny naszych postępów z ich prawa przyrodzonego: cńnienie z życzenia, cełę, jakie sobie stawiamy, z celów, które nam są dane; i rzecz jasna, że tylko wtedy mają widoki spełnienia, że tylko wtedy mogą „obowiązywać“. Jednocześnie atoli uderza nas pewna niejasność, jak mniemam, jedynie terminologiczna, która już często, a niedawno przez Paulsena (Einleit. in d. Philos. 7, 451 i nast.) była ganiona jako rzeczowa. Mianowicie wyobrażenie rozkoszy (idea of pleasure) nie jest przede wszystkim nawet jedyną pobudką „biernego“ życzenia, a tymbardziej „czynnego“ chcenia; nie jest wogóle pobudką, lecz tylko zjawiskiem, towarzyszącym jakimukolwiek wyobrażeniu, które jako cel albo jako podległy celowi środek, może zdeterminować wolę. Cele najpierwotniejsze (cele 1. rzędu) albo są dane nam z samego początku przez stosunki naszych podstawowych popędów z przedmiotami świata zewnętrznego, albo jesteśmy zniewoleni ich szukać, t. j. zaprowadzać te stosunki; uczucia rozkoszy albo cierpienia towarzyszą tej czynności celowej i działają jako sprawdziany, czy nam się udało zaprowadzić właściwy stosunek. Ale z tym pierwotnym zadaniem szukania i zaprowadzania „właściwego“ stosunku między popędami a przedmiotami ich zadowolenia—stosunku, który dopiero przez uczucia rozkoszy albo cierpienia (pleasures or

pains), a potem przez doświadczenie (ideas!) jego skutków okazuje się właściwym, t. j. zachowującym i popierającym życie—z tym zadaniem przekraczamy już stadjum życia popędowego czyli instynktowego; czynność ustanawiania stosunku jest opartą na doświadczeniu czynnością rozumową, pożądanie jest „uduchowione“ („zintelektualizowane“), życzenie przez teleologiczną czynność rozumu rozszerzyło się na chcenie. Przy tej, najpierw pośredniczącej czynności rozumu rozwinęło się tyle biegłości i zdolności, polubiliśmy tyle narzuconych nam czynności, że pożądanie przeniosło się na przedmioty zupełnie nowe i początkowo mu obce, które teraz, jako cele wyższe czyli pochodne, przyłączają się jako równowartościowe, do najpierwotniejszych naszych celów (cele 2. 3. rzędu i. t. d.), a których bogactwo stanowi bogactwo osobnika, który je posiada, albo epoki kulturalnej, która je wytwarza lub czyni potrzebnymi. Rzecz jasna, że stosowność (właściwość) oddzielnych czynności, zmierzających ku ich urzeczywistnieniu, określa się zawsze tylko przez wymienione powyżej sprawdziany: przez towarzyszące im uczucia rozkoszy albo cierpienia, oraz przez doświadczenie ich skutków. Lecz również jasna, że czynności, zmierzające ku spełnieniu celów różnych rzędów, w świadomości jednostkowej nie idą jednocześnie obok siebie, oraz, że o ich zgodności albo niezgodności kompetentną krytykę sprawują wspomniana-

ne uczucia, jako sędziowie, rozstrzygający o tym, co jest pożyteczne albo szkodliwe dla zachowania bytu. Tym sposobem porządkują się z natury rzeczy, najpierw w gospodarce indywidualnej, wszystkie stany rzeczywiste albo możliwe w pewien system, który sam służy temu celowi, by życie zachować i wzmocnić. Wszystkie nasze postęпки dążą do zwarcia się w takim systemie i do uniknięcia wszelkich starć, t. j. stanów nieprzyjemnych. Jakie postęпки mają być wcielone do tego systemu, jako odpowiednie celowi, o tym rozstrzyga przyrodzona natura, oraz otoczenie kulturalne, w jakim się zrodziła; oboje zaś można ogólnie opisać, ponieważ pożądanja i chcenia, pierwotnie podmiotowe, są skierowane ku przedmiotom tego samego realnego i społecznego wycinku świata. A nie tylko opisać, i to rozmaicie wedle czasu i okoliczności, lecz i ogólnie przepisać je można, o ile że indywidualne dążenie do rozwinięcia zgodnego systemu celów opiera się na społeczności i ją uwzględnia. Te przepisy stanowią każdorazowo treść poszczególnych norm i prawideł moralnych, jako warunki spełnienia tego indywidualnego dążenia, i rządzą wytwarzaniem poszczególnych sądów moralnych. Jeśli zaś, jak to czyni Mill, pominię opis tych przepisów, aby zachować swobodny widok na ostateczny cel aparatu woli w szczegółach i w ogólności, wtedy nie wyjdę poza rozwinięcie zgodnego systemu celów, jako zadanie,

postawione mi przez naturę i poprzednie dzieje mojego rodzaju. Wyrażając się pozytywnie, zna-
czy to: dążę do szczęśliwości. Jeśli jaki postępек rozpatruję zosobna, wtedy uczucie rozkoszy, na-
stępujące po jego udaniu się, albo uczucie przy-
kre, skojarzone z jego nieudaniem się, jest zja-
wiskiem towarzyszącym; ponieważ jednak przez
doświadczenie tych zjawisk towarzyszących z po-
śród pojedynczych czynności wybierają się za-
chowujące życie, przeto później te zjawiska to-
warzyszące okazują się najważniejszą stroną na-
szych postępków. One teraz naodwrot wydadają
się być celami, dla których postęпки są wyko-
nywane; czynności pojedyncze występują jako
podległe im środki; a stan, któryby nastąpił,
jeśliby ta cała działalność celowa upłynęła bez
starć, zupełnie naturalnie podnosi się do ideału
naszego dążenia, pod nazwą szczęśliwości.

Tak w gruncie rzeczy wystawiają sobie tę
sprawę wszyscy eudajmoniści, tak też i Mill.
Wiedział on już oddawna, że nie można wprost
chcieć szczęśliwości, lecz że szczęśliwość jest da-
rem rozumnej działalności celowej, uprawianej
od wypadku do wypadku, jakoteż darem sprzy-
jających okoliczności przedmiotowych, częścią re-
alnych, a częścią społecznych, nad którymi czło-
wiek tylko w bardzo ograniczonej mierze panu-
je. Zakres, w jakim można osiągnąć szczęśli-
wość, Mill oceniał bardzo nisko. „Jeśli przez
szczęśliwość rozumiemy nieprzerwane trwanie we-

sołego w wysokim stopniu podniecenia, to w rzeczy samej jej niedościgłość bije w oczy. Stan niepohamowanej uciechy trwa tylko chwilę, albo w niektórych wypadkach i z przerwami trwa godzinę lub dzień i jest tylko chwilowym błyskiem używania, a nie trwałym i ciągłym płomieniem. O tym wiedzą filozofowie, którzy nauczali, że szczęśliwość jest celem ostatecznym życia, zarówno dobrze, jak ci, którzy ich dlatego lżą. Szczęśliwość, jaką mieli na myśli, to nie całe życie zachwyków, lecz tylko chwile zachwytu wśród istnienia, składającego się z nielicznych i przemijających cierpień, z wielu i rozmaitych rozkoszy, ze stanowiącą przewagą czynnych nad biernymi; przyczym głównym warunkiem jest, żebyśmy od życia nie więcej się spodziewali nad to, czego może nam dostarczyć (WW, I, 140 i nast.)". Ocena dostępnej nam szczęśliwości jest jednak rzeczą temperamentu osobistego; dlatego lepiej ją pominiemy.

6. Teraz zrozumiemy, że Mill, zupełnie jak Bentham [(powyż. str. 41; porówn. Jodl II, 436 i nast.), ocenia postęпки wedle ich skutków, skojarzonych z niemi uczuć rozkoszy i cierpienia. Dokładną ocenę wartości przyjemnych i nieprzyjemnych wedle napięcia, trwania, płodności (t. j. wedle prawdopodobieństwa, że po pewnym uczuciu nastąpią uczucia tego samego rodzaju), rozszerzenia (t. j. wedle liczby osób, które mogą być dotknięte tą rozkoszą lub tym cierpieniem) i we-

dle innych kryterjów podaje jednak, wraz z metodami ich wyśledzenia, tylko Bentham. Ta ocena tworzy według obydwu myślicieli naturalną, t. j. zależną od psychofizycznej organizacji człowieka i od jego charakteru, jako istoty społecznej, podstawę dla wszelkiej oceny etycznej i jurystycznej, i na niej opierają się wszelkie normy moralne, jakoteż prawodawstwo; niema wcale zobowiązania moralnego na innej podstawie. Pierwotnie więc obliczanie wartości hedonicznej postępków odbywa się „bez wszelkiego poczucia zobowiązania moralnego“ (I, 136; porówn. rozdz. 3); ich odróżnianie jakościowe jest wytworem osobistego i ogólnoludzkiego doświadczenia pod względem użyteczności albo szkodliwości pojedynczych postępków dla indywidualnego, jak i dla społecznego systemu celów, i na tej podstawie nadajemy im nazwę „moralnych“ albo „niemoralnych“. Bain (II, 112 i nast.) zarzuca, że jakosć uczuć nie istnieje „poza ich moralnemi własnościami i następstwami (Mill, WW, I, 138)“. Ten zarzut obraca się w kółko i jest tym dziwniejszy, że właśnie Bain rozbiór powstawania uczuć moralnych w trzecim rozdziale naszego dzieła nazywa (tamże) godnym podziwu. Tu, jak i w rozdziale drugim (zwłaszcza str. 138) Mill się rozwodzi nad tym, że postęпки porządkują się według ich wartości hedonicznych, czyli, mówiąc lepiej, według miary ich użyteczności dla zachowania ustroju indywidualnego i społeczne-

go; że ten porządek jest wytworem doświadczenia nie indywidualnego, lecz powszechnego (I, 153); że normy, maksymy i prawidła postępowania praktycznego opierają się na tym porządku; że ich całokształt, pod nazwą moralności, przechodzi dziedzicznie na osobnika, w którym, choć on nie poznaje tego związku celowego, te normy, obleczone w gęstą „masę uczuciową“ (WW, I, 159), w postaci sumienia, piastują urząd sędziego nad słusnością i niesłusnością; że wreszcie sumienie wydaje swe wyroki samorzutnie, to znaczy w formie estetycznych reakcji uczuciowych, i najczęściej bez wszelkiego poprzedniego wyia- chowania. Słowem: uczucia i wyobrażenia moralne—sumienie, cnota, obowiązek—nie są wrodzone, lecz nabyte (I, 161), dlatego też mają różną siłę w różnych osobnikach, i dlatego trzeba je pielęgnować i w nich się ćwiczyć; a to dlatego, że w czuciu i postępowaniu przyzwyczajenie jest jedyną rzeczą, dającą nam pewność (WW, I, 173). „A ponieważ dla innych jest rzeczą najwyższej wagi, żeby mogli polegać na naszym czuciu i postępowaniu, dlatego należałoby chęć czynienia dobrze kształcić aż dotąd, żeby wskutek nawyknienia stała się rozumiejącą się sama przez się (tamże)“. To wychowanie do czynienia dobrze, to przyzwyczajenie do przystosowywania postępów i sądów moralnych do tradycji obyczajowych i prawnych, wywołało też ten skutek, że można było uczyć i wierzyć (I,

167), iż życzenie posiadania cnoty jest tak pierwotne, jak pożądanie szczęśliwości, albo też postępowanie z „obowiązku“, które Carlyle, jako prawdziwy uczeń Fichlego, przeciwstawia utylitarystycznej moralności pozornej (I, 135 i nast.) jako ideał, iż uleganie tej części świadomości, która, jak normy moralne, jest niewątpliwie wytworem społecznym, słowem: iż bezinteresowność w postępowaniu jest „sama przez się“ dobra, iż wcale nie zależy na jej skutkach (I, 144). To, zdaniem Milla, może być wzniosłym dowodem tego, co ludzie mogą czynić, ale nie tego, co powinni czynić (tamże); bo taki stan woli jest środkiem do dobrego, a nie dobrem w sobie (I, 173). Dla istoty ludzkiej w ogóle nie jest dobrem, co nie sprowadza owego stanu zadowolenia pierwotnych lub nabytych popędów i skłonności, który nazywamy rozkoszą (I, 172 i nast.).

Nie sądźmy jednak, że Mill nie uznaje wartości przekonania, jakoby postępowanie „moralne“ samo przez się było dobre. Przeciwnie: wszędzie kładzie nacisk na konieczność automatycznej funkcji uczuć moralnych, „uczucie sumienia“ dla wielkiej masy. Analiza odnajduje je jako fakt, „którego skuteczność i potężny wpływ na tych, w których są należycie uprawiane“, są dowiedzione doświadczeniem (I, 150). O zimnym, tłumiącym uczucie wyrachowaniu wartości hedonicznej postępków u większości ludzi niema mowy (I, 147; 149); bo nasz filozof wie dobrze, że

dziewięćdziesiąt dziewięć setnych (I, 147) wszystkich postępków nie zawdzięcza swego powstania poczuciu obowiązku, gdyż brak im właśnie świadomego uwzględniania prawa, jako prawa, chociaż towarzyszą im uczucia sumienia i wpływa na nie skarb moralnego doświadczenia społecznego, działający automatycznie. Mimo to mogą być przedmiotowo moralne i są nimi bardzo często. Ale liczne wypadki starcia zmuszają nas do oświecenia tych automatyzmów i do wysłedzenia ostatecznych, t. j. przyrodzonych podstaw tak zwanych postępków moralnych, a wtedy zawsze się okazuje, że one porządkują się pierwotnie wedle wartości hedonicznych, oraz że zwyczajne ich rozróżnianie jakościowe („moralny“ „niemoralny“), jak na to wciąż trzeba kłaść nacisk, określa się przez doświadczenie ich wartości zachowawczej („pożyteczny“, „szkodliwy“) dla ustroju osobniczego i powszechnego. Mill do Benthamowskich metod wysłedzenia tych wartości zachowawczych nie dodaje w rozdz. 2. i 3. swego dzieła nic nowego; natomiast zatrzymuje się szczegółowo nad udowodnieniem, że właśnie to doświadczenie stawia rozkosze duchowe ponad cielesne w skali wartości hedonicznych, a więc pobudek postępowania (I, 138 i nast.). Wyróżnia je wszędzie, jako szlachetniejsze i wyższe, i ubolewa, że ich odczuwanie w większości natur jest delikatną rośliną, która dla „braku pokarmu“, wskutek wrogich wpływów otoczenia, dla

braku przykładów i wskutek poniżających rodzajów zajęć nie doszła jeszcze do należytego rozwoju (tamże).

Chociaż Milla wychwalano właśnie za to odróżnianie wartości hedonicznych i poczytywano mu je, w porównaniu z Benthamem, za rozszerzenie (tak n.p. Wundt), to jednak przez to, choć tylko chwilowo, dostała się do jego rozprawy fałszywa nuta, mianowicie purytańska, obca jej z a s a d z i e. Doświadczenia osób kompetentnych, powiada w jednym miejscu (I, 139), przemawiają za tym, „że rozkosze, płynące z naszych wyższych zdolności, co do rodzaju i bez względu na ich siłę“ są wyższe od tych, na które jest wrażliwa nasza natura zwierzęca. Są więc „same przez się“ dobre i szlachetne, „same przez się“ lepsze od tak zwanych rozkoszy zmysłowych. Tym sposobem pojmowania naukowe powraca znów [do pojmowanie konwencjonalnego—jestto nielogiczność drugiego rozdziału, którą znów usuwa energiczne odparcie wartości samoistnej cnoty, obowiązku i sumienia w rozstrzygającym rozdziale trzecim. Tylko rzecz dziwna, że Milla chwali właśnie za tę niekonsekwencję. Ona to naraża na wątpliwość wynik całego badania. Czytaliśmy najpierw: uczucia rozkoszy i cierpienia same przez się nie są ani moralne, ani niemoralne, lecz stają się niemi dopiero przez wartość zachowawczą postępów, z niemi powiązanych; a dopiero „doświadczenie“, t. j. nagroma-

dzony przez naukę i praktykę najdzielniejszych umysłów (na co Mill szczególną zwraca uwagę) skarb wiedzy o tym, co jest dla osobnika i dla społeczeństwa pożyteczne, co podtrzymuje życie, co się nadaje do osobniczego i powszechnego systematu celów, podejmuje ową klasyfikację, która, co prawda, żywemu poczuciu osoby działającej przedstawia się tak, jak gdyby polegała na bezwzględnych odróżnieniach wartości. Mill powiada (I, 153), że ludzkość „przez doświadczenie poznała skutki postępów, a na tym doświadczeniu polega wszelka mądrość życiowa i wszelka moralność w życiu“. Jeśli przeto rozkosze duchowe „ogólnie“ stawiają się wyżej od zmysłowych, jeśli uchodzą za szlachetniejsze, za „moralniejsze“, pochodzi to stąd, że doświadczenie ujawniło ich wysoką wartość zachowawczą dla istot społecznych. Jeśli cnoty należy uprawiać, a występki unikać, nie dzieje się to dlatego, żeby miały znaczenie same przez się, lecz dlatego, że cnoty są siłami, sprzyjającymi zgodnej funkcji osobniczego i powszechnego systematu pojęć, a występki jej przeszkadzają. Podobnie rzecz się ma z różnicą tego, co jest sprawiedliwe, a tego, co jest tylko pożyteczne (rozdz. 5, str. 194). Mill nazywa wprawdzie sprawiedliwość „bez porównania najświętszą i najbardziej obowiązującą częścią wszelkiej moralności“, ale przez nią rozumie przecież tylko tę klasę „prawideł moralnych, które bliżej dotyczą

najistotniejszych warunków dobrobytu ludzkiego, i dlatego bardziej bezwarunkowo obowiązują, niż jakiegokolwiek inne prawidła postępowania w życiu“ (tamże). To znaczy: różnica pomiędzy „świętą“ sprawiedliwością a „prostą“ użytecznością jest tylko różnicą stopnia, nie jest różnicą gatunkową. Tak w rzeczy samej panuje użyteczność, jako najwyższa miara moralności, i z niej dopiero pada światło na cały wzajemny związek naszych postępów poszczególnych, które już z natury swej zmierzają ku systematowi celów. „Szczęśliwość“ jest, jak na to już zwróciliśmy uwagę (zob. powyż. str. 211 i nast.), wytworem tych czynności, jest, pod postacią uczuć przyjemnych i nieprzyjemnych, miarą krytyczną postępu pojedynczego, jako takiego, jeszcze bez uwzględnienia jego związku z innymi czynnościami, jego użyteczności dla związku celowego. Może się też, w zaznaczonym znaczeniu (zob. pow. str. 212), nazywać ostatecznym celem naszego istnienia; ale nie można, jak to czyni Mill, (I, 140) uważać jej za „całokształt prawideł i przepisów“ dla postępowania ludzkiego. Te prawidła należy raczej wywodzić z przyrodzonego zadania: sprowadzania wszystkich naszych postępów do pewnej zbieżności, godzenia i łączenia ich z sobą, słowem, porządkowania ich w jeden system celów. Z tego zadania należy kształtować wszelkie rozkaźniki i wskazówki do czynności rozumnych.

7. Mill mówi o „ogólnej sumie szczęśliwości“, o możliwie największej sumie szczęścia dla możliwie największej sumy ludzi (I, 145). Według tej miary dobrobytu publicznego ma być mierzona wartość społeczna każdego postępku. Jeśli pominiemy, jako eudajmonistyczną, szczęśliwość, jako cel ostateczny naszych postępów, to moralność utylitarna w swym żądaniu, żeby każdy osobnik w swym działaniu uwzględniał wszystkich innych, jako „interesowanych“, zgadza się z moralnością intuicyjną czyli moralnością obowiązków. Jakim sposobem Mill wywodzi ten rozkaznik?

Jako fakt, jest ten rozkaznik punktem wyjścia badania: istnienie sądów moralnych go dowodzi. Te sądy dotyczą, jak już zaznaczyliśmy, to skutków postępowania, a więc jego wartości przedmiotowej, to moralności osobnika działającego, jego usposobienia. A zatem i to, co jest na świecie najwewnętrzniejszego, określa się wogóle przez wzgląd na ogólne normy. Dla Milla ten fakt jest prosto ostatecznym: nie pojmuje on, jeśli jego wywody mają być konsekwentne, osobnika nigdy inaczej, tylko jako istotę społeczną, a istnienie społeczności określa treść i kierunek świadomości osobniczej. „Związek społeczny jest człowiekowi tak przyrodzony, tak konieczny i ścisły, że z wyjątkiem niektórych rzadkich wypadków albo chyba tylko wskutek dobrowolnej i gwałtownej abstrakcji, nigdy go

sobie nie przedstawia inaczej, tylko jako członka jakiejś społeczności; a ten związek myślowy staje się ciaśniejszym i ściślejszym, w miarę jak ludzie oddalają się bardziej od stanu dzikiej swobody. Dlatego każdy warunek, istotnie właściwy stanowi społecznemu, coraz to bardziej nierozrwalnie wiąże się z wyobrażeniem każdego o stanie rzeczy, do którego wchodzi z chwilą urodzenia i który jest przeznaczeniem istoty ludzkiej“ (I, 162). Z tego faktu pierwotnego można zaraz wywieść a-priori szereg [transcendentalnych] warunków dla możliwości współbytu postępków indywidualnych w związku społecznym. Jak to czyni Mill: „Społeczność zaś istot ludzkich, wyjąwszy stosunek pana do niewolnika, oczywiście jest niemożliwa na wszelkiej innej stopie, oprócz takiej, że wzięte będą w rachubę interesy wszystkich. Ponieważ zaś we wszystkich społeczeństwach ucywilizowanych każdy człowiek, oprócz monarchy absolutnego; ma sobie równych, to każdy jest zmuszony żyć z kimkolwiek na tej stopie; a w każdej epoce czyni się kilka kroków naprzód ku takiemu stanowi, w którym będzie rzeczą niemożliwą żyć z kimkolwiek trwale na innej stopie. Tak ludzie wzrastają, niezdolni sobie wystawić możliwości stanu, w którymby zupełnie lekceważono interesy innych ludzi. Pozostają pod pewnym przymusem do takiego postępowania, żeby byli wolni przynajmniej od popełniania wszelkich grubszych bezprawii i żeby nie mogli

sobie nawet wyobrazić, iż żyją w ciągłym wewnętrznym proteście przeciwko nim. Faktycznie są też skłonni do działania razem z innymi i do wystawiania sobie interesu zbiorowego, nie jednostkowego, choćby chwilowo, jako celu swych działań. Dopóki działają razem z innymi, uważają swe cele za identyczne z celami innych, i tym sposobem niekiedy w nich panuje uczucie, jakoby interesy innych były ich własnymi. Każde wzmocnienie węzłów społecznych i każdy zdrowy wzrost społeczeństwa nie tylko budzi w jednostce silniejsze zainteresowanie się osobiste tym, żeby w swym postępowaniu uwzględnić dobrobyt innych, lecz doprowadza ją również do tego, żeby coraz to bardziej godziła swoje uczucia z ich dobrobytem albo przynajmniej z coraz to większym stopniem praktycznego uwzględniania tego dobrobytu. Dochodzi niejako instyntywnie do tego, że sama siebie odczuwa jako istotę, która z natury rzeczy powinna mieć wzgląd na innych“: (tamże I, 162 i nast.). Wedle tego więc człowiek „odosobniony“ jest gwałtowną abstrakcją, a zarazem upada i Hobbesa bellum omnium contra omnes, jako opis pierwotnego zachowania się ludzi względem siebie nawzajem; przysługują im raczej z samego początku uczucia sympatji i antypatji. Trzeba było jeszcze wyraźniej zaznaczyć, że „poczucie jedności z naszymi współtworzeniami“ (I, 157) w przebiegu rozwoju, wskutek coraz to silniejszego różnicowania się,

przechodzi w świadomość jedności czyli wspólności celów, a więc staje się sztucznym i wymaga „podpory przez postępową sztukę wychowawczą“ (tamże). W każdym jednak razie Mill nie należy do „starszych“ utylitarystów, którym Leslie Stephen zarzuca, że uważali osobnika za ostatnią jednostkę społeczeństwa, a społeczeństwo za proste skupienie takich osobników (porówn. *Science of Ethics*, p. 93 i nast.). W teorii etycznej Milla indywidualny i powszechno-społeczny systemat celów już z samego pojęcia gołego swego istnienia opierają się na sobie nawzajem, a wykonanie wynikających stąd zadań indywidualnych i publicznych zależy od nieustannego uznawania tego stosunku wzajemnego. Tym omówiono to, co w pojęciu społeczeństwa, jako organizmu, jest zrozumiałe. Oprócz tego, wywody Milla nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tego, że dobrze rozumiany utylitaryzm wprost wymaga ewolucjonizmu.

Wracając teraz do punktu wyjścia rozprawy Milla, możemy powiedzieć: każdy osobnik odnajduje w sobie zadanie zaprowadzenia pewnego wyrównania pomiędzy swymi uczuciami i popędami sympatycznymi i antypatycznymi, egoistycznymi i altruistycznymi. Tego zadania więc sam sobie nie zadaje, lecz zadaje mu je jego właściwość, jako istoty społecznej; stwierdza je tylko wraz z postępującym uświadomieniem i wymyśla systemat czynności rozumnych dla

jego rozwiązania. Jego postępkі mają zatem, to bliżej, to dalej, za pobudkę pewien fakt społeczny, mianowicie istnienie innych i ich potrzeby szczęścia, a więc ich interesu. Wyrównanie udaje się, naprężenie uczucia rozwiązuje się, zadowolenie (szczęście) nastaje, jeśli wszystkie postępkі zgadzają się z sobą (są zbieżne). Jeśli to się dzieje u możliwie wielkiej liczby osobników, wtedy mamy dowód, że „wyrównanie“ udało się w wielu osobnikach; wtedy zaś szczęście jest faktem ogólnym, wtedy panuje szczęśliwość. Tym sposobem, uprzedzając rezultat życia celowego, można tę ogólną szczęśliwość uważać za jego cel ostateczny. Z tego wynika, że nie można tu myśleć o właściwym dodawaniu poszczególnych uczuć szczęścia—choćby formuły i definicje Benthamowskie i Millowskie (porówn. „ogólna suma szczęśliwości“, I, 145), nieustannie dają do tego powód.

8. Na zakończenie chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na niektóre uderzające braki wykładu Milla. A najpierw na to, że Mill wciąż wpada w pogląd, obcy jego zasadniczemu stanowisku i wielu poszczególnym wywodom, jakoby tak zwana walka p o b u d e k (battle between contrary impulses, SWH, 584) była stanem czysto emocjonalnym (wzruszeniowym), jakoby ślepe uczucia rozkoszy i przykrości, zupełnie bez skojarzonych z niemi wyobrażeń przedmiotów, mogły być pobudkami postępków ludzkich. Mówi

o siłach walczących (contending powers, tamże), o stanie psychopatycznym, wyczerpującym nerwy (exhaustive of nervous energies, tamże), jako skutku tej walki, jak gdyby życie wyobrazeniowe wraz z swym wspomnieniem minionych stanów i z porównywaniem, rozważaniem i ocenianiem ich skutków, a więc szacowaniem ich wartości zachowawczej dla organizmu, należało również do części emocjonalnej tego procesu (starcia między „pobudkami“). Przeczy nawet temu, żeby ten proces miał także stronę intelektualną (tamże, uw. 4). A przez to w tym dziwnie niezrozumiałym miejscu zaprzecza zarazem różnicę pomiędzy czynnościami popędowymi a dowolnymi i przeocza główny warunek rozwijania się życia popędowego w moralne życie woli: wystąpienie i funkcję sądu (the state I am speaking of is by no means a state of judging, tamże). W dobrym zrozumieniu tego głównego warunku już Spinoza zestawiał razem wolę i rozum.

Często przytaczana definicja Millowska „największej szczęśliwości“ jeszcze ujdzie: „istnienie, możliwie wolne od cierpienia i możliwie bogate w używanie, zarówno pod względem jakości, jak ilości, przyczym za probierz jakości i za miarę przy odważaniu jej wobec ilości może służyć większe upodobanie, jakie odczuwają ci, co dzięki swym szczególnym doświadczeniom i swej wprawie w samopoznawaniu i samoobserwacji są najlepiej zaopatrzeni w środki pomocnicze poró-

wnywania“. Ta definicja może uchodzić, jako opis stanu, do którego sprowadzenia służy właśnie nasz system czynności rozumnych. Ale gdy Mill dodaje, że ta definicja szczęśliwości ma znaczenie, zarówno, czy mamy na oku własne swoje dobro, czy dobro innych (tamże), wtedy przecież swej własnej myśli podstawowej, wedle której przecież dobro własne może być osiągnięte tylko przez wyrównanie pomiędzy bodźcami wewnętrznymi a zewnętrznymi, a więc tylko przez uwzględnienie, a w każdym razie nie bez uwzględnienia innych ludzi i ich interesów. Ale zasługę tej, skąd inąd niewystarczającej, definicji stanowi wskazówka na to, że wzory czynności celowych, t. j. moralnych są tworam i osobników szczególnie do tego uzdolnionych: również i w dziedzinie moralnej odkrywanie i ucieleśnianie tego, co jest przydatne gatunkowi, jest dziełem wielkich osobistości. Mill więc postąpił konsekwentnie, gdy poświęcił swą uwagę takim osobistościom i warunkom ich powodzenia w społeczeństwie. To uczynił w rozprawie o wolności (1859), najslawniejszym i najpoczytniejszym z dzieł Milla.

II. Zastosowania.

1. Jak osobnik i społeczeństwo opierają się na sobie nawzajem, jak niepodobna mówić o jednym, nie myśląc o drugim: tak pojęcie wolno-

ści otrzymuje swe najistotniejsze określenia od pojęcia z o b o w i ą z a n i a, i naodwrot.

Millowi zdawało się rzeczą niepotrzebną mówić o naturalnym wzajemnym stosunku obydwu pojęć, gdy się rozwodził nad wolnością. Ze czynności indywidualne, odkąd istnieją dzieje ludzkości, wkraczają w nadrzędny im społeczny system czynności celowych, a przeto otrzymują zzewnątrz istotne pobudki, to, jakeśmy widzieli, dla niego rozumie się samo przez się. Przez to same przez się są dane warunki różnorodne. Ale osobnik się różnicuje, w przebiegu swego rozwoju wybija się wyraźnie i znacznie ponad masy ludzkie swego otoczenia, indywidualny i ogólnospołeczny system celów stają się nieprzejrzyste i zawikłane, stosunki między członkiem systemu a całością systemu zaciemniają się, zdarzają się przekroczenia tak z jednej, jak z drugiej strony, mętne pojęcia o wolności i zobowiązaniu zamącają głowy. Jedni w swym parciu do wolności dążą do rozbicia społeczeństwa, inni, coraz to liczniejsi przedstawiciele opinii mas czyli tak zwanej opinii publicznej, przygniatają nią osobnika.

Ta opinia publiczna zaś według naszego filozofa staje się groźnym niebezpieczeństwem dla naszej kultury europejskiej, skoro stanie się wrogą indywidualności; a tę tendencję ma zawsze, im większy wpływ zdobywają masy w życiu politycznym i publicznym w ogóle. Większość ludzi pod względem swego uzdolnienia umysło-

wego i moralnego, pod względem swych skłonności i kierunku swego smaku nie wychodzi poza bardzo skromną średnią miarę (WW, I, 71, i nast.). Nie mają oni, jak Mill powiada, żadnych pragnień, dość silnych, aby ich skłonić do czynności niezwykłych; dlatego nie rozumieją też tych, którzy je mają, i stawiają ich w jednym rzędzie z charakterami dzikimi i nieumiarkowanymi, na które zwykli spoglądać z góry. Jeśli pomyślimy, ile to trudu za naszych dni się łoży na podniesienie ogólnej moralności, z jakim to naciskiem głosi się ideał regularnego trybu życia, karci się wykroczenia wszelkiego rodzaju, sławi się postępowanie rozsądne, jak to duch filantropijny, zmierzający ku tłumieniu wszelkiej przesady, coraz to gorliwiej nastaje na to, żeby każdy poddawał się ogólnie przyjętym prawidłom postępowania i normom: to następstwa same przez się będą jasne. „A te normy żądają wyraźnie albo milcząco, żeby nic nie było przedmiotem silnego pożądania. Ich ideałem charakteru jest: nie mieć wyraźnego charakteru; każda część naszej istoty, uwydatniająca się wyraźnie i wyróżniająca znacznie fizjognomję człowieka od fizjognomji natur powszednich, ma być skępowana i okaleczona, podobnie jak noga damy chińskiej“. Tym sposobem zamiast wielkiej dzielności i silnych uczuć, choćby trzymanyh w korbach przez sumienną wolę i silną odporność, pojawiają się tylko słabowite poruszenia i popędy, ujawniają-

ce się tylko w granicach tego, co jest normalne. Dlatego Mill uważa nowożytną wielkość Anglii za „wielkość ogólną“. „Indywidualnie mali“, powiada, „okazujemy się wielkimi jeszcze tylko dzięki naszemu przyzwyczajeniu do współdziałania (I, 72)“. Dla Francji Tocqueville, którego dzieło o demokracji w Ameryce i dla tego pisma Milla było źródłem wielu pomysłów (zob. powyż. str. 64), stwierdza coś podobnego: że w zachodniej Europie zbliżamy się do „chińskiego ideału wszechświatowej równości“ (I, 75). Z takiego stanu rzeczy powstała Millowska apoteoza wolności. Jest ona umiarkowana i rozważna, jak wszystkie jego pisma. Nie występuje przeciw prawom i normom w przyrodzie i w dziejach; przeciwnie: w posłuszeństwie dla nich to, jak u Spinozy, tkwi u niego tajemnica wszelkiej wolności, w ich poznaniu tkwi błogosławieństwo wszelkiej pracy. Ale w dziedzinie praktycznej widział liczbę zobowiązań — zobowiązań, które uważał za zbyteczne i szkodliwe — wzrastającą do potworności.

Wołanie mas o interwencję państwową w sprawach gospodarczych, pochodzące, co prawda, więcej z kontynentu Europy, obijało się wciąż o jego uszy i ogłuszało je; zdawało mu się, iż odczuwał, jak obok prawa i obyczaju zaczęły się rozpierać tyranja mody, despotyzm przyzwyczajenia, jak wszelkie odstępstwo od tego, co jest utarte, od „reguły“, od uświęconej

przez wprawę człowieka stadowego powszedniości było wysmiewane i wyklinane; a dostrzeżenie tej tendencji do wyrównania ludzi, do stłumienia wszelkich poruszeń wolności i samodzielności, słowem: wszelkiej oryginalności budziło w nim obawy o przyszłość ludzkości. Bo właśnie ze względu na życie społeczne żądał pielęgnowania indywidualności. A podczas gdy Goethe i Humboldt, na którym się Mill opiera, wystawiali borykanie się o „swoistość siły i wykształcenia“, jako cel wieczysty, do którego powinna dążyć „jednostka“ (Humboldt), Mill przeciwnie wysuwa na pierwszy plan społeczne uzasadnienie tego żądania: wszelki postęp społeczeństwa zależy od prac, dokonanych przez jego wielkich mężów, a więc możliwość ich swobodnego rozwoju jest jednym z najgłówniejszych warunków dobrobytu ogólnego, koniecznym założeniem tego wszystkiego, czemu nadajemy najwyższe nazwy: cywilizacji, oświaty, wychowania, kultury, postępu (rozd. 3, WW, I, 57). Postęp występuje w dwóch postaciach: jako miłość wolności, spełnionej przez różnorodność sytuacji (I, 75), i jako zamięrowanie reformy; ale w obydwu postaciach opiera się panowaniu przyzwyczajenia i mierności (I, 73); aby się mu obronić, musi się opierać na istnieniu indywidualności silnych, samowolnych, ruchliwych, odważnych, przedsiębiorczych i żądnych nowości. Ci zaś, nieliczni, „wielcy jednoocy“, jak Mill nazywa gienjuszów, są

solą ziemi (I, 66); bez nich życie ludzkie byłoby podobne do bagniska stojącego, przez nich życie się kształtuje, w nauce, sztuce i życiu wybijają się i przebijają nowe wartości, słowem, wszystkie dobre rzeczy, które posiadamy, są owocem ich oryginalności. Dlatego społeczeństwo, zamiast do nich przyczepiać znaki ostrzegawcze, „na które, jakby na przykłady dzikiego zamętu, wskazuje się ze zgrozą uroczystą“ (I, 67), powinno dla nich wytwarzać atmosferę wolności, w której mogliby oddychać.

Ten hymn pochwalny na gienjusza silnie przypomina, jak widzimy, uwielbianie bohaterów przez Carlylea, na którego odczyty o czci bohaterów niewątpliwie wpłynął Mill. Ale kiedy anarchistyczni epigoni angielskich czcicieli bohaterów (Stirner, Nietzsche) wielką osobistość, jako „jedyną“ przeciwstawiają masie, Carlyle, a jeszcze bardziej Mill uważa ją za najcenniejszy środek do wzbogacenia i rozwoju społeczeństwa ludzkiego (I, 66), za istotę, która zrodzona z masy, dla niej też żyje. Są one twórcze nie przez jakąś świadomie zamierzoną przyczynowość swej jaźni (byłoby to wyobrażenie, którego Mill nie uznaje, porówn. str. 185), lecz przez to, że masa, najpierw mimowoli, a potem w ślepym zapale, ich działanie i postępowanie odczuwa jako **w z o r o w e** (typowe) i potem naśladuje, jako środek doprowadzenia społecznego systemu celów do doskonałości.

2. O zasadniczej treści tego dzieła nie potrzebujemy w tym miejscu wiele ponadto powiedzieć. W pracach okresu przejściowego (1830—40), później pod wpływem Comtea (zob. powyż. str. 66) wyliczył, jako pierwiastki porządku, stałe założenia życia społecznego i rozwinął zasady autorytetu; w „On Liberty“ Mill się zatrzymuje nad warunkami postępu, na których polega wolność obywatelska i polityczna: nad wolnością myśli i mowy (rozd. 2); nad zasadami, regulującymi wolność w handlu i komunikacji (tamże); nad wolnością gmin w ich stosunku do rządu centralnego (116^o i nast.); nad zasadami udzielania koncesji na sprzedaż trunków alkoholicznych (rozd. 5). Mówi o prawie nadzoru i interwencji, przysługującym państwu wszędzie tam, gdzie jeden osobnik zadaje gwałt drugiemu, a więc o prawie despotycznym męża nad żoną, rodziców nad dziećmi w sprawach wychowania i nauczania, o konieczności ułatwienia rozwodów w jednym wypadku; a w drugim wypadku o uprawnieniu państwa do wywierania pewnego przymusu na wychowanie przy systemie zupełnej swobody nauczania (a więc nie żąda szkoły państwowej, lecz tylko egzaminów publicznych); i tak dalej o różnych zastosowaniach zasad wolności i autorytetu (rozd. 5). Za zasadę wolności uchodzi wciąż twierdzenie: żaden osobnik nie jest odpowiedzialny przed społeczeństwem za swoje czyny, o ile te

czyny nie dotyczą interesów drugih osób (WW, I, 99). Za zasadę autorytetu uchodzi twierdzenie: osobnik jest odpowiedzialny za takie czyny, które naruszają interesy innych, i może być pociągnięty do kary towarzyskiej albo prawnej, jeśli społeczeństwo tę karę uważa za potrzebną na swą obronę (tamże). Nie sądzmy zresztą, jakoby Mill w życiu człowieka oznaczał bezwzględna granicę między tym, co jego tylko obchodzi, a tym, co obchodzi innych. Wyraźnie to odrzuca (83 i nast.); wszak jego paradoksalna teza brzmi: „atmosfera wolności“ potęguje przymioty społeczne człowieka, mianowicie jego indywidualność. Dlatego też jądro książki nie tkwi w zastosowaniach (rozdz. 5), lecz w dwóch ważnych rozdziałach o indywidualności (3) i o granicy autorytetu społeczeństwa wobec osobnika (4).

Tylko jeszcze o zastosowaniu, dotyczącym porządku gospodarczego, powiemy słów kilka. Na wielkim podręczniku o zasadach ekonomji politycznej (1848) jest przedewszystkiem wyciśnięte piętno pracy epigona. Związek z Ricardem jest tu nadzwyczaj ścisły. Przyjmuje jego żelazne prawo zapłaty, co prawda, jako twierdzenie nauki abstrakcyjnej (Zas. Ekon. pol. II, 5); broni nauki o rencie gruntowej i określa wartość gospodarczą, jako wytwór pracy, mierzony czasem, na nią użytym. Wolność komunikacji i przemysłu, wolny handel, zniesienie wszystkich praw,

ograniczających sprzedaż i kupno ziemi (n. p. zniesienie majątków) znalazły w Millu gorliwego obrońcę, zgodnego z poglądami szkoły. Aż potąd ma on na myśli jedynie państwo przemysłowe ze skończonym gospodarstwem kredytowym i kapitalistycznym, z wysokimi cyframi wywozu i przywozu, a więc z możliwie najwyższym bilansem handlowym, i ogranicza się do rozbioru tych kategorii ekonomicznych, które mają znaczenie wtedy, gdy ideał tego porządku gospodarczego jest osiągnięty. Rozbiera je, jako coś danego, jak gdyby człowiek stanął wobec czegoś, co mu jest obce. Jakie są przytym stany naszej duszy, czy wieczyste źródła wartości dla rzeczy ludzkiej, uczucie i potrzeba, zachowują się wobec gospodarczego systemu celów twierdząco czy przecząco, czy też niekiedy twierdząco, a niekiedy przecząco,—o to ten rozbiór nie pyta.

Ale wnet wciskają się do rachunku obce pierwiastki, wątpliwości naukowe i etyczne; z dziedzictwa, przekazanego przez klasyków ekonomii politycznej, Mill wprowadzie jeszcze i później, gdy z niemi zerwał, uznaje—n.p. w rozprawie o kwestji agrarnej w czerwcu 1870 (Fortn. Rev.; Diss. and Disc. IV, 86)—metody; tylko główne ich hasła (wolny handel, wolna konkurencja, wolność zawierania umów, podaż i popyt i t.p.) oddaje na pastwę krytyki. Faktycznie jednak jego metoda się zmienia, gdyż popierwsze rozszerza zgodnie z rzeczywistością punkt wyjścia nauki, prze-

słanki egoizmu, a powtóre wprowadza do roztrząsania także punkty widzenia etyczne i socjologiczne. Teraz twierdzi, że zabiegliwość ludzka, na której się opiera „ściska“ nauka gospodarstwa narodowego (Ricardo, Jevons, Marshall), jest abstrakcją od rzeczywistości, jest czymś hypotetycznym (Zas. ekon. polit. II, 5); że w rzeczywistości egoizm znajduje zapórę w altruizmie, że obydwie formy usposobienia, osobnicza i społeczna, istnieją obok siebie i dlatego też faktycznie obydwie dążą do panowania nad wolą. Tym sposobem nauka „wyzysku“ (F. A. Lange, J. St. Mills *Ansichten über die soziale Frage*, Duisburg 1866) rozbija się o rzeczywistość, w której przeważająca masa osobników ludzkich usposobieniem społecznym i ustanowieniem urządzeń społecznych usiłuje się obronić od drapieżnych instynktów niektórych z pomiędzy siebie. Dzięki temu rozważaniu cały rozbiór otrzymuje u Milla cechę względnej prawdziwości i uprawnienia.

Lecz w dziedzinie ekonomji odpowiadają abstrakcyjne zasady egoizmu i altruizmu komercjalizmowi („katallaktyce“ czyli gospodarstwu wymiennemu; Mill, *Zas. ek. pol.* III, 1, 1): gospodarstwo jest opartym na instytucji własności prywatnej systematem ku wytwarzaniu wymiennalnych dóbr, przyczym te dobra wszystkie, z włączeniem pracy ludzkiej, przybierają charakter towaru, a towar panuje nad wytwórcą towaru; oraz komunizmowi: gospodarstwo jest systematem

ku wytwarzaniu dóbr na wspólny użytek, przy-
czym środki wytwórczości są wspólną własnością,
a wytwórca towaru panuje nad towarem. Stan
obecny skłania się ku komercjalizmowi, a Mill
uważa go za „ekscentryczny“, za jednostronny
i niezdrowy, za podkopujący wielostronność roz-
woju, konieczną naturze ludzkiej. Następstwami
tego są, zapatrując się po ludzku, niesprawiedli-
wość w podziale posiadłości, oraz ubóstwo ro-
botników; a Mill jest pierwszym z przedstawicieli
szkoły klasycznej, który na te następstwa zapa-
truje się po ludzku, t. j. ze strażnicy tego,
który broni interesów ogółu, a ich wyrównania
nie chce pozostawić przyrodzie, jak to czynią
apostołowie harmonji (Bastiat-Schulze). Zaga-
dnienie, które Mill (zwłaszcza w sławnym roz-
dziale „O prawdopodobnej przyszłości klas pra-
cujących“, Zas. ek. polit. IV, 7; a także w pismach,
przytoczonych poniż.) sobie stawia, brzmi przeto:
czy komunizm, który Mill zasadniczo przeciwsta-
wia komercjalizmowi (Lange, str. 59), zdoła usu-
nąć zło, z komercjalizmem (czyli z systemem
własności prywatnej) powiązane, nie stając się
ze swej strony „ekscentrycznym“, t. j. jednostron-
nym? Głównym złem jest ubóstwo i połączony
z nim niski stan umysłowy i moralny klas pra-
cujących, zmaterjalizowanie posiadających w uspo-
sobieniu i zewnętrznym trybie życia. Zasadnicza
próba usunięcia tego zła opiera się oczywiście
na przekonaniu, którym Mill jest przeniknięty,

a którego obroną różni się zasadniczo od ekonomji klasycznej: że podział dóbr jest dziełem ludzkim, a więc czymś zmiennym, gdy przeciwnie wytwarzanie dóbr po wszystkie czasy jest związane w prawami przyrody (Zas. ekon. pol. III, 1, 1; samo to twierdzenie jest tylko częściowo słuszne, zob. powyż. str. 78).

Przez to tradycyjna rama szkoły została rozbita przez męża, który w niej wzrósł i uchodził za jeden z jej świeczników. Polegające na tym znaczenie Milla poznał w Niemczech pierwszy F. A. Lange (w miejscu przyt.). Mnie sąd Langego wydaje się rozstrzygającym, chociaż on nie znał ani pośmiertnych rozdziałów o socjalizmie (WW. XII, 160 i nast.; pierwszy raz wydane 1879), ani „Kwestji robotniczej“, wydanej w maju 1869 (WW. XII, 111 i nast.; recenzja książki W. Th. Thorntona). Tylko jeden ważny punkt widzenia dołącza się jeszcze w „Socjalizmie“: mianowicie, że kwestja społeczna jest w Europie zachodniej kwestją bytu, ponieważ w wielkich demokracjach bardzo nierówny podział dóbr z powodu panującej równości politycznej i wpływu klas zarobkujących na prawodawstwo na dłuższą metę jest niemożliwy. Ten punkt widzenia nie jest nowy: już Arystoteles w swej „Polityce“ zwrócił nań uwagę.

Na szczegóły badań Milla mogę w tym miejscu tylko wskazać. Wychodzą one z przekonania, iż z obydwu walczących z sobą syste-

mów (komercjalizm albo komunizm) ten weźmie górę, który „się zgadza z najszerszym zakresem wolności i rozwoju ludzkiego“ (II, 1, 3). Ocena komunizmu jest u Milla dla niego nadzwyczaj korzystna. Obecny porządek własności według niego ma swe źródło w zaborach i gwałtach, a podział wytworów pracy nie odbywa się wedle zasad prawa i słuszności. Według Milla ten porządek uświęca przywłaszczanie sobie nadwartości w dwu postaciach: w formie renty grunтовой, powstającej w miastach i na wsi wskutek wzrostu ludności i kapitału (Diss. and Disc. IV, 239), oraz w formie wysokich zysków przedsiębiorcy z nadwyżki wydajności pracy, — przypuściwszy, że zysk z kapitału jest uprawniony. A ponieważ istniejące prawa są prawami klasowymi, ponieważ i poczucie moralne każdego kraju tworzy się według przesądów i poczucia wyższości u klasy panującej, a więc jest moralnością klasową („O wolności“, WW, I, 6): przeto powstałe tym sposobem nierówności posiadania i znaczenia społecznego nie tylko się nie zmniejszają, lecz jeszcze wzrastają. Tak wszystko zdaje się skłaniać ku komunizmowi. „Gdybyśmy mieli wybierać pomiędzy komunizmem ze wszystkimi jego szansami a obecnym stanem społecznym ze wszystkimi jego cierpieniami i niesprawiedliwościami: gdyby urządzenie własności prywatnej pociągało za sobą, jako konieczny skutek, taki podział wytworów pracy, jaki dziś widzi

my, pozostający prawie w odwrotnym stosunku do nakładu pracy wtedy wszelkie obawy komunizmu, wielkie czy małe, zaważyłyby na szali tyle, co źdźbło (II, 1, 3).

Ale Mill nie jest utopistą; wie dobrze, że komunizm nie może być ni stąd ni zowąd urzeczywistniony, choćby nawet zdołał idealnym sposobem wprowadzić w czyn wymóg sprawiedliwości, „równość warunków zarobkowania dla wszystkich“, nie krępując indywidualności w jej rozwoju, gdyż dotychczas istnieje tylko—na papierze. Nie uważa też siły żywotnej naszego, polegającego na własności prywatnej, gospodarstwa bynajmniej za wyczerpaną, dlatego że dotychczas istniało tylko w formie zepsutej. Domaga się zatem tylko wolności dla eksperymentów komunistycznych (II, 1, 4), a pozatym okresu reform, przedewszystkim zaś stopniowego upaństwowienia ziemi (która według Milla nigdy nie powinna była stać się własnością prywatną) w celu zakładania drobnych gospodarstw włościańskich, choćby w formie dóbr rentowych, na osiedlanie robotników rolnych, na urządzenie mieszkań dla robotników i na zakładanie parków i skwerów (porówn. o tym bardzo pouczające rozprawy o programie angielskich reformatorów gruntowych, Diss. and Disc. IV, 239 i nast.; o kwestji agrarnej tamże 251 i nast.). Z tych przykładów widać, jak dalece Mill dla swoich reform żądał pomocy państwowej i jak stanowczo zerwał

z dogmatem wstrzemięźliwości państwowej w sprawach gospodarczych („freedom of contract“). Niemniej radykalnymi są propozycje Milla, dotyczące reformy prawa spadkowego (Zas. ekon. polit. II, 2, 3; Lange, str. 90 i nast.). Ażeby podnieść położenie klas pracujących, Mill nasamprzód ma na pogotowiu dwa pozornie bardzo łagodne środki: wychowanie i wzrastające przez nie pretensje do wyższej stopy życiowej, a wskutek tego miarkowanie się w produkcji ludzi; przez to zdaniem jego naturalnym sposobem armja zapasowa robotników i konkurencja między nimi na rynku roboczym się zmniejszą, a zarobki się powiększą. Oprócz tego jednak Mill już wyraźnie proponuje ten środek podwyższenia zarobków, który się później okazał najskuteczniejszym: zakładanie towarzystw przemysłowych i robotniczych. Energiczniejszy protest przeciwko charakterowi towarowemu pracy ludzkiej, niż protest Milla w Zasadach ekonomji politycznej z r. 1848 (II rozdz. 12 i 13), podnieśli zaledwie zdeklarowani socjaliści. Nie można zrozumieć, jakim sposobem wobec tych faktów Held (Zwei Bücher zur sozialen Geschichte Englands, str. 149), K. Marx i inni mogli zaliczać Milla do szkoły liberalistycznej. Kto obejmie okiem wszystkie jego pisma ekonomiczne, otrzyma raczej wrażenie, jakoby tylko uczucie pietyzmu, tak bardzo w naszym myślicielu wyrobione, mogło go skłonić do

tego, że aż do śmierci uważał się za prawdziwego ucznia A. Smitha i Ricarda. My jednak w pracach Milla z tej dziedziny nie upatrujemy dzieła epigona, lecz raczej cegły na budowę nowej polityki społecznej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Rozmyślenia o wieczności.

1. Ogłoszenie trzech rozpraw „Przyroda“ „Pożytek religji“ i „Teizm“, które pasierbica Milla, Helena Taylor, wydała w r. 1874. z jego pozostałych rękopisów, wywołało w świecie literackim niemalą i uprawnioną wrzawę. Wrogowie racjonalizmu tryumfowali. Jak to, zawołano, ten myśliciel, którego opinja publiczna z całą słusnością mogła uważać za racjonalistę par excellence, którego całe życie było poświęcone walce z przesądami religijnymi, metafizycznymi, i historycznymi, który wciąż swoją krytyką i analizą logiczną usiłował podkopywać skarb uświęconych tradycji, który w nauce i życiu niczemu nie przyznawał prawa do bytu poza tym, co się wobec rozumu okazało albo okazać mogło prawdziwym, pożytecznym i celowym: myśliciel tego pokroju, z takim pochodzeniem i wychowaniem, z tego koła wyobrażeń, zupełnie przeciwnego nastrojom religijnym i interesom kościelnym—tak daleco wypiera się swej przeszłości, że uznaje religję, jako potrzebę i jako zagadnienie? A więc w tym tkwi przyznanie, że racjonalizm jest tylko połową prawdy, że człowiek jako isto-

ta rozumna jest tylko połową ideału; a więc logika faktów, przymus życia samego podjąłby się nawrócenia tego umysłu, racjonalistycznie wywiedzonego i skierowanego, i dokonałby go skuteczniej, niżby to zdołały uczynić najbystrzejsze dowodzenia i roztrząsania...

Tak mówili jedni. A drudzy, własni przyjaciele Milla, pozytywiści bezwzględni, czyści naukowcy, z początku byli zbici z tropu, a potem głęboko zasmuceni. Uważali te pisma pośmierne za odstępstwo od nauki Milla, jeśli nie za małoduszne wyparcie się własnych zasad życiowych. Kiedy sędziwy Carlyle, który w czwartym dziesięcioleciu z powodu rozprawy „Znaki czasu“ już prawie był pewny, że Milla, jako nowego mistyka, pozyskał dla swojego poglądu na świat, teraz naszemu filozofowi, tak zdaniem jego oczywiście przez swą filozofję wtrąconemu w przykrą rozterkę sumienia, poświęcił uśmiech bardziej szyderczy niż litosny, tymczasem z koła zwolenników odzywały się głosy, które z tych rozpraw religijno-filozoficznych obawiały się nieobliczonej straty dla naukowej i filozoficznej sławy Milla, a jeszcze większej dla wolnej myśli.

Co się tyczy Milla, to już raz wywołał wielkie zgorszenie w „szkole“: kiedy usiłował bez uprzedzenia ocenić Benthama (1838) i Coleridgea (1840) i nielitościwie odsłonił całą ciasnotę i posuchę psychologiczną, właściwą benthamizmowi, a zarazem wynosił zasługi idealistów i metafizy-

ków niemieckich około wyjaśnienia filozoficznego tworów historycznych. O jego ustępstwach na rzecz Comtea, które w okresie jego korespondencji z myślicielem francuskim (1841—47) były niemałe, w kołach przyjaciół Milla prawie nic nie wiadziiano, i faktem jest, że później się ich prawie wstydził. To miało pozór słabości, ale miało głębsze swe źródło w potrzebie prawdy u Milla: chlubił się, iż jest znany z tego, że nie trzyma się oburącz jakiego mniemania, skoro jego błędna podstawa została dowiedziona. Bez wątpienia to ta uprawniona właściwość Milla budziła w historyku Grocie (Grote) pewną obawę zadziwiających zmian skóry u przyjaciela, którego zresztą wysoko cenił. Grote miał rację. Dzieła pośmiertne oznaczają w życiu Milla jedno z jego najdziwniejszych „przewyciężeń siebie samego“, i łatwo pojąć, że wierni literze zwolennicy jego nie mogli odczuć w duszy pobudek tego ostatniego rozszerzenia jego poglądu na życie.

Co do rzeczy samej, mylili się, jak mniemam, zarówno zwolennicy, jak przeciwnicy. I ci i tamci nie poznali się na właściwej istocie Johna St. Milla; widzieli w nim ostatecznie zawsze tylko nowe, chociaż rozszerzone i pomnożone wydanie Jamesa Milla. Nie pojmowali najczęściej ani jego sposobu myślenia, ani jego celów życiowych, ani przedewszystkim stosunku między jego działalnością krytyczną a jego chęcią zbudowa-

nia czegoś; a ta nieumiejętność pojmowania wykazuje najlepiej, jak zacofana była jeszcze w czasie śmierci Milla świadomość filozoficzna w Anglii. Burze, które według opowiadania historyków niemieckich rozpętały religijno-filozoficzne dzieła pośmiertne Milla, srożyły się bez zbyt wielkiego huku w świecie zadrukowanej bibuły; co najwyżej tu i owdzie jaka dusza delikatna a głęboka przez nie była złamana albo podźwignięta. Wykształcona publiczność, zwykle zbyt wysoko stawiana, w nowożytnej Anglii miała i ma jeszcze o wiele grubszą konstytucję, niż na kontynencie, gdzie w połowie 19. stulecia dzięki Feuerbachowi, Straussowi, Renanowi, Moleschottowi i innym przedstawicielom tak zwanej wolnej myśli, tysiące ludzi były pogrążone w rozterkach poglądu na świat. Tam najwyższa potrzeba ideologiczna nie szukała nigdy swego zaspokojenia poza światem kościelno-religijnym, a nawet Carlyle i Ruskin w tej właściwości angielskiej nic nie zmienili. Carlyle, „pozytywne“ dopełnienie Milla, działał głównie przez swoje pisma społeczno-polityczne i historyczne („Pamflety o dniu ostatecznym“, „Oliver Cromwell“) daleko mniej przez swoją filozofję historii („Przeszłość i terażniejszość“, „Cześć dla bohaterów“), a zaledwie dostrzegalnie przez swoją mistyczną filozofję nastrojową („Sartor Resartus“); Ruskin zaś, wielki etyk i estetyk społeczny, owych tysięcy wielbicieli, którzy chętnie dawali posłuch jego

pobudce, nigdy nie namawiał do porzucenia tradycji pod względem politycznym i religijnym. Gdzie zaś potrzeba oświaty filozoficznej u wykształconego Anglika średniej miary o tyle wysubtelniała, iż sięga poza dziełka budujące z rozmyślaniami religijnymi, tam najodpowiedniejszej strawy dostarczają Drummond i Orr, a nie dzieła pośmiertne Milla.

Ale tym znamiennejsze są te dzieła dla historii wolnej myśli; dla Milla samego, którego rozwój umożliwił rzecz pozornie filozoficznie niemożliwą: teodyceę na podstawie pozytywistycznej; nareszcie dla niezdolności szkoły do zrozumienia ostatniego stadium rozwojowego mistrza. Bo faktycznie w napisanym między r. 1868. a 70. „Teizmie“ Mill zamierzał dać teodyceę pozytywistyczną. Dwie zaś pozostałe rozprawy, które głęboki myśliciel napisał w szóstym dziesięcioleciu (50—58) i które wygładzał z nabożną komtemplacją aż do swej śmierci, przez swoją krytykę dotychczasowych teologii tworzyły po części przygotowanie do „Teizmu“, po części przejście albo uzupełnienie do niego, gdyż w „Pożytku religji“ są już zaznaczone wszystkie jego pomysły konstrukcyjne. W tych rozprawach Mill usiłuje dotrzeć i dociepa do ostatecznej perspektywy na życie, wdziera się na najwyższy punkt widzenia, orjentujący o celu, kierunku i wartości jego rozwoju. Boć zawsze było jego celem: otrzymywać poglądy na

całość („vues d'ensemble“), zadawalające popęd poznawczy, nie osłabiające jednak chęci do życia, a przede wszystkim nie potrzebujące bezsilnych i wątych dążeń wsteczniczych, przebranych za ideały, jako podpórek budowy.

Ale w tym jego celu tkwiła zarazem potrzeba dotarcia poza poszczególne badania filozoficzne do zadawalającej odpowiedzi na ostateczne i najwyższe pytanie o celu, na pytanie, dla którego nauka, sztuka, technika, gospodarstwo, słowem, wszystkie owe różnorodne czynności, na jakie się rozszczepia życie, są tylko środkiem do tego jednego celu, który się zajmuje sensem i znaczeniem życia w ogóle i dlatego dla pozytywisty nie jest jeszcze zgoła określony. Rozprawy o „Sensie i znaczeniu życia“ Mill wprowadzie nie napisał, ale wewnętrzny przymus rzeczy o wy parł go w tym kierunku: wynikiem tego były właśnie rozprawy religijno-filozoficzne. Tego nie rozumieli ludzie, którzy mniemali, że duch naukowy zupełnie zabrania teleologii. Pozytywistą był Mill tylko ze swej metody, metoda zaś nie określa postawienia zagadnienia, lecz tylko jego rozwiązanie. Postawienie zagadnienia było bez wątpienia dane przez pewną potrzebę; to wypowiada wyraźnie w rozprawie o „Pożytku religji“. Dla rozwiązania zaś zadania dotychczasowe utylitarystyczne określenia wartości w etyce dostarczały tylko punktu oparcia.

2. Mianowicie w etyce znaleziono normy moralności, miary oceny naszych postępów przez zastanowienie się nad dwiema grupami warunków, danymi faktycznie przez nasze przyrodzone i społeczne stosunki życiowe. Raz chodzi o właściwość czyli celowość postępu, jako postępu: jeśli jego cel jest dany, wtedy jest rzeczą rozumnej rozwagi albo doświadczenia znaleźć odpowiednie środki; aż dotąd mamy rozum, jako narzędzie czynności, naturę rzeczy, naturę jako system, rządzony prawami, jako przedmiot, w którym się ta czynność odbywa; a więc nie transcendentnego. Powtóre zaś wchodzi w rachubę moralność postępu. Jest ona dana 1. wraz z celem, 2. wraz z wolą czyli zamiarem użycia środków rozumnych w kierunku zadanego celu. Jeśli zaś za formalny cel każdego postępu uznajemy możliwie najwydajniejsze popieranie szczęścia czyli dobrobytu społeczeństwa, a za formalne kryterjum tego, czy postępek zmierza do takiego celu, uznajemy pozytywne, wtedy zarówno cel, jak i kryterjum postępu, a więc jedna strona jego jakości moralnej, są empirycznie określone. A więc i pod tym względem niema nic transcendentnego w moralnej czynności woli. Pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia pytania, czy i przez co wola jednostkowa jest zniewolona i skłonna do użycia podległego jej aparatu psychofizycznego w kierunku tej teorii utylitarystycznej. Wskazujemy

na odpowiedź, którą Mill w swoim „Utylitaryzmie“ ma na pogotowiu na ten zarzut; mimochodem zaznaczamy, że ten zarzut zwraca się przeciwko każdej teorii moralności, trzymającej się danych moralności. Ale właśnie ich poznanie i uwzględnienie zmusza utylitarystów do dwóch ustępstw. Popierwsze, istnieją faktycznie w wielkiej ilości postępków pod względem moralnym obojętne: t. j. takie, w których nie da się wykazać związku pożytku indywidualnego z ogólnym. Spełnienie ideału moralnego nieskończenie wiele na tym traci, gdyż ten ideał zawsze, jakkolwiekby był uzasadniony filozoficznie, polega na założeniu związku celowego w s z y s t k i c h postępków, na założeniu, na którym się opiera wszelka ocena praktyczna. Powtóre, doświadczenie uczy, że pobudka bardzo wielu postępków, doniosłych dla postępu kultury i urzeczywistnienia ideału humanitarnego, nie powstała ze świadomości wywiedzionego stąd rozkaznika kategorycznego (moralnego); zupełnie przeciwnie: To, co historia napotyka przedmiotowo moralnego, to wszystko w życiu gospodarczym i politycznym, w sztuce, nauce, religji, technice, o czym historia wydaje chlubny sąd, iż wytwarza wyższy gatunek człowieka, to wszystko ona sama jest zmuszona wywodzić po większej części z pobudek obojętnych, a nawet niemoralnych. Przypomnijmy sobie tylko wielkich odkrywców i wynalazców, monarchów i kierowników państw,

przypomnijmy sobie sposób, w jaki pod banderą chrześcijańsko-humanitarną kolonizowano i jeszcze kolonizują, nową, połączoną z ruchem narodowościowym politykę realną i wymagany przez nią patriotyzm, który człowieka, dążącego do motywacji swej woli przez pobudki chrześcijańskie albo czysto społeczne, może wprawić w najcięższe starcia i rozterki. Utylitarysta zaś, wywodzący to co moralne z danych moralności, mniej niż każdy inny powinien się opierać uznaniu, że między tym, co jest przedmiotowo moralne, a podmiotową moralnością istnieje przepaść, która w nowszych czasach, choćby od czasu reformacji, albo nawet od czasu rewolucji francuskiej, conajmniej nie zmniejszyła się znacznie. Optymiści z pośród nowszych teoretyków postępu, z Condorcetem i Comtem na czele, ale również i bardziej płytcy benthamiści, patrzą wciąż tylko na przedmiotową stronę tego stosunku, dlatego łatwo im stwierdzić postęp w historii.

To były niektóre z trudności moralno-filozoficznych, które Milla zmusiły wyjść poza zbiór tego, co nazywamy moralnym w społeczeństwie. Gdziekolwiek Mill staje się osobistym, jak w Autobiografji i w wielu z drobnych rozprawek różnej treści (pisma pośmiertne tymczasem pomijamy), widoczna jest wszędzie, jak bardzo obok kosmicznego oporu przeciwko urzeczywistnieniu tego, co jest cenne pod wzglę-

dem moralnym, uprzytomnia sobie również opór psychologiczny, tkwiący w naturze samego człowieka. Ten opór wprawdzie chwilowo znika mu z oczu. Odziedziczony optymizm wieku 18., jak się zdaje, wpływał przeważnie na jego poglądy historyczno-filozoficzne; buduje i pociesza się Turgota życiem fanatyka postępu, Condorceta. Ale ten optymizm socjologiczny jest u Milla, gdziekolwiek występuje w formie systematycznej, jak w dziele „A. Comte i Pozytywizm,“ rzeczywiście bardzo o rozważny i wstrzeźliwy, jak na ucznia racjonalistów i encyklopedystów. Tak n.p. przekonanie Comtea, że przez przeniesienie metod „pozytywnych“ do nauk duchowych, a więc środkami socjologicznymi, można produkować historję według życzenia i zamiaru, Mill uważał poprostu za złudzenie (WW. IX, 81). Z drugiej strony w tym samym dziele podaje jeszcze za błędne sławne twierdzenie Bucklea, że intelekt jest jedynym pierwiastkiem postępowym w historii, a pierwiastek moralny pozostaje po wszystkie czasy ten sam; ale to nie powinno nas wprowadzać w błąd. Jak prawie zawsze u Milla, równolegle z głośno wypowiedzianą myślą idzie jakieś tajemne „ale“; proces nasuwania się pomysłów i rozmyślania nad nimi wciąż się toczy dalej; każde zdanie tyle razy obraca w sieci możliwości dyalektycznych, aż skutek jego rozszerzania, prostowania i sprawdzania na faktach i doświadczeniu zbliża się niebezpiecznie do swe-

go przeciwieństwa. Dlatego u Milla więcej prawie, niż na wyniki jego myśli, należy zwracać uwagę na charakter metodologiczny, wyróżniający się nadmiarem sumienności logicznej, oraz na zasadniczy kierunek etyczny; dlatego tylko krótkowidztwo jego własnych zwolenników mogło nie dostrzec, jak to się stać mogło, że w tym samym czasie i w tej samej głowie, obok głoszenia ideałów humanitarnych, wogóle obok trzymania się „tego świata“ w jego nauce o normach moralnych i o sumieniu, mogła dojrzeć teodycea: właśnie teodycea pozytywizmu.

3. Mostem, prowadzącym do tej teodycei pozytywistycznej, jest swoista nowożytna tęsknota do religji, której nie tylko postępujące wciąż oświecenie umysłów nie zdołało stłumić, lecz która ogarnia coraz to szersze koła i silnie występuje w poezji i życiu, w miarę jak poznanie przyrody (jako wiedza), panowanie nad przyrodą (jako technika) i historyczne zrozumienie naszego rozwoju politycznego i gospodarczego wzrastają i się rozszerzają. Ta tęsknota, ta potrzeba religji jest zatym zagadnieniem kulturalnym pierwszego rzędu, i jako takie próbuje ją traktować Mill w swej rozprawie o pożytku religji, gdy tymczasem dwie pozostałe rozprawy, „O przyrodzie“ i „Teizm“, mają na oku jej możliwość naukową. Rzeczowo obydwaj pytania zdają się być nierozdzielne; ale ponieważ żyjemy w czasie, w którym z pośród argumen-

tów za i przeciw religji najważniejsze miejsce zajmują te, które dotyczą jej użyteczności, a wiara ludzi o wiele więcej kieruje się ich pragnieniem wierzenia, niż przekonaniem o jej prawdziwości: to według Milla nie wystarcza, a przede wszystkim filozofowi nie wolno twierdzić ogólnikowo, że nigdy nie może zachodzić starcie między prawdą a pożytecznością, że jeśli religja jest fałszywa, z jej zarzucenia może wyniknąć tylko dobro. Nasz myśliciel wypowiada nawet zdanie, że religja może być moralnie pożyteczną, nie będąc umysłowo możliwą do przyjęcia, a nawet, że były takie epoki i jeszcze są narody i osobniki, dla których to twierdzenie ma zupełną wartość. Ale nie chodziło mu wcale o udowodnienie tego twierdzenia, jak nie było jego zamiarem dać szczegółowej historii naturalnej religji, n.p. tak, jak to uczynił Feuerbach. Bo Mill nie chce wysłedzić jej powstawania w duszach surowych i nieokrzesanych, lecz chce zbadać, skąd to pochodzi, że wciąż jeszcze żyje w duszach wykształconych.

Ten fakt jest sam przez się tym godniejszym uwagi, że niedogodności, wielokrotnie powiązane z religjami pozytywnymi, przy wzrastającej kulturze umysłowej coraz to silniej rzucają się w oczy—ale zarazem coraz to bardziej są odrzucane przez religję. Przymusowe nawracania, dokonywane w jej imieniu, spustoszenia, zrządzane przez fanatyzm religijny i nietolerancki

szal prześladowczy kapłanów, wraz z wywołanemi przez takie postępowanie zdrożnościami moralnemi—pozostają wprawdzie dowodami ograniczonego wpływu religji, ale jako zło, dotyczą przecież tylko jej form minionych. Możemy więc uznać, że religja przyswoiła sobie najlepszą moralność ludzką, jaką „rozum i dobroć mogą wytworzyć z pierwiastków filozoficznych, chrześcijańskich i innych“. Potym nasuwa się pytanie: czy jej pożyteczne własności są jej wyłącznie właściwe, czy też jej dobrodziejstwa mogą być osiągnięte i bez niej? A przedtym jeszcze: co religja czyni dla społeczeństwa, a co dla osobnika?

Faktycznie jeszcze dzisiaj religja rości sobie pretensje do wszelkich wysiłków moralnych społeczeństwa, do wszelkiego poczucia sprawiedliwości i prawdy, do wszelkich objawów dobroczynności. A że tak czyni, jest rzeczą zupełnie naturalną, ponieważ o wszystkich postępkach moralnych, jakie się zdarzają, mawia się zwykle, że dzieją się w imię religji, ponieważ prawie we wszystkich, których się uczy moralności, tę naukę wpaja się jako religję. Naturalnie wtedy skutek, wywołany tą nauką moralności, jako nauką, uchodzi za skutek religji. Tu więc religja rości sobie pretensję tylko do tego, co przeważająca większość ludzi z przygniatającą zgodnością zdań jej przypisuje, jako jej skutek moralny. Co jej jednak nadaje tę pożyteczność społeczną, to najpierw wcale nie jej własna istota, lecz większość

która się za nią ukrywa. To ta większość i jej powaga wywiera w sprawach ludzkich ów wielki, przeważny wpływ etyczny. Potężne znaczenie powagi dla masy ludzi jest tak wielkie, że ta masa uwierzy we wszystko, gdy jej się powie, że ona to wie, nierzadko nawet wbrew świadectwu własnych zmysłów i pojmowaniu własnego rozumu; wszak i uczony, i badacz dopuszcza nieraz powagę, jako dowód, w wypadkach, których sam osobiście nie może zbadać. Novalis powiedział: „Moja wiara nabrała nieskończenie większej pewności z chwilą, gdy inna istota ludzka zaczęła to samo wierzyć“. Wiara, jak się zdaje, musi być wyższa ponad wszelką wątpliwość, jeśli ją podziela nie jeden człowiek, ale prawie wszyscy ludzie. Moznaby wprowadzić temu zarzucić, że w czasach obecnych ani jeden systemat moralności nie cieszy się ogólnym uznaniem, że przeto z ogólnego przyznania nie można wywodzić nieograniczonego jego panowania nad duszą. O ile chodzi o czasy terażniejsze, ten zarzut w samej rzeczy jest słuszny; dni niewzruszonej i niezachwianej wiary dla większości wykształconych Europejczyków już minęły. Ale że nauki wiary mogły ponieść ten uszczerbek swego wpływu na ludzi pomimo tkwiącej w nich sankcji religijnej, to dobitniej niż cokolwiek innego dowodzi, że wywierały swój wpływ nie jako religja, lecz właśnie jako nauki wiary, przyjęte ogólnie przez ludzkość.

Ażeby zrozumieć przeważny wpływ religji, należy dodać prawie nieograniczoną potęgę wychowania, które dotychczas jej służyło. A dla tego najwcześniejszego wychowania jest właśnie rzeczą znamioną, że sprawia to, co późniejszym, samodzielnie nabytym przekonaniem tak trudno osiągnąć: panowanie nad uczuciami. Ale pożytek społeczny, stąd wypływający, nie jest znów według Milla istotnie związany z religją; bo można sobie zupełnie dobrze wyobrazić, że nauka o obowiązkach bez sankcji religijnej mogłaby najpierw zawładnąć umysłami ludzkości, a więc stać się przekonaniem mas, wiarą powszechną, ażeby potem przez panujący system wychowawczy wpoić się duszom młodocianym i w nich skojarzyć się z uczuciami. Mill w tym miejscu przypomina nawet, że w największym znanym z historii zwycięstwie, jakie kiedykolwiek wychowanie odniosło nad przyrodzonymi skłonnościami całego narodu, religja brała najmniejszy udział: mianowicie w długim panowaniu prawodawstwa Likurga. Zresztą, wszak moralność społeczna u Greków była wogóle w wysokim stopniu niezależna od religji, co jednak nie wyłącza, że posługiwano się sankcją boską dla każdorazowych ustaw państwowych, ale, co prawda, i dla każdej zmiany ustaw (jak to i dziś jeszcze się dzieje).

Obok powagi i wychowania, Mill przytacza jeszcze trzecią potęgę, pozostającą na usługach religji i wyjaśniającą jej wpływ umoralniający:

potęgę opinji publicznej. Ale jej wpływ zdaniem moim prawie zupełnie się styka z wpływem powagi, bo opinja publiczna, jako całokształt panujących przekonań, wytwarzana jest nie przez masę, ale dla masy. Mill twierdzi, że wielkie wpływy na postępowanie ludzkie, zwykle przypisywane wprost pobudkom, zaczerpniętym z religji, najczęściej mają swe bliższe źródło w wpływie opinji publicznej. Jej wpływowi hipnotyzującemu nie można zaprzeczyć. Ale ponieważ ona to właśnie ludzi pospolitych utrzymuje w ich niesamodzielności myślenia, wierzenia i czucia, Mill powinien był w tym miejscu silniej uwydatnić pożytek społeczny, wynikający z panowania opinji publicznej nad jednostką, ażeby potym wykazać tym dowodniej, że pożytek społeczny religji może być zachowany i wtedy, gdy zwykłemi środkami pouczenia i zachęcania opinja publiczna będzie doprowadzona do tego, że zwróci się ku innemu systemowi wiary. Bo chociaż ona często może zawładnąć jednostką mimo oporu jej sumienia i może ją zmusić do zrobienia tego, czego w duszy swej nie pochwała, to jednak jej panowanie znów umożliwia dopiero silną i krzepką działalność zbiorową. Powtarzam: właśnie w tym miejscu powinien był Mill o tym pamiętać, ażeby nie usunąć gruntu z pod swego postawienia kwestji; bo tutaj uważa opinję publiczną, nie tak, jak w rozprawie „O wolności“, nie za potęgę wrogą kulturze, lecz za popierają-

cą kultnrę, gdyż ma nadzieję pozyskać korzyści społeczne jej wpływu dla wierzeń antykościelnych. W tym miejscu, jak się zdaje, chciał zwrócić uwagę na to: że w interesie spójności społecznej jest rzeczą pożądaną, żeby przekonania mas miały walor i jako opinia publiczna, jakoby władza kontrolująca, przeciwstawiały się silnie sumieniu jednostkowemu; bo uważa tu tradycje ideologiczne i skojarzone z nimi uczucia za spoidła bardzo cenne pod względem społecznym. Dlatego powinien był dalej mniej więcej tak argumentować: A może jednak, ze stanowiska pożytku społecznego, istnieje jakaś granica dla zaznaczenia swej podmiotowej wiary i mniemania? A może pojęcia zarówno prawdy, jak moralności, powinny się do pewnego stopnia ścieśniać pojęciem pożytku społecznego? Boć można sobie wyobrazić, że to, co jest społecznie pożyteczne, w pewnych warunkach może wejść w kolizję z tym, co samo przez się jest prawdziwe albo właśnie w tym czasie za takie uchodzi. A dalej: Mill odnosi pobudki postępowania moralnego nie jak Kant, do autonomji woli indywidualnej, lecz do pożytku społecznego, a więc na zewnątrz. Przez to punkt wyjścia tej rozprawy o pożytku religji, „jako czystego przekonania, z pominięciem kwestji jej prawdziwości“, staje się zrozumiałym i uprawnionym. Ale Mill tak tu, jak i gdzieindziej, nie pomyślał swoich przesłanek do końca.

Na pytanie o pożytku indywidualnym religii odpowiada zato bardziej przekonująco. Że religja wciąż jeszcze zajmuje dusze wykształcone i nad niemi panuje, to wyjaśnia się dostatecznie ciasnymi granicami wiedzy ludzkiej i nieograniczonością naszej żądy wiedzy. Byt człowieka jest spowity w tajemnicę. Ciasny zakres naszego doświadczenia—to drobna wysepka w bezgranicznym morzu, które swym ogromem i swym mrokiem przejmuje nas dreszczem uszanowania i potężnie podnieca naszą wyobraźnię. Tajemnica staje się jeszcze bardziej tajemniczą wskutek tego, że ta wysepka, na której się odgrywa nasz byt, nie tylko przestrzennie, lecz i czasowo jest otoczona nieskończonością: przeszłość i przyszłość—to zagadki, wabiące nieprzeparcie do rozwiązania, a jednak nieublaganie broniące mu się; nie znamy ani początku, ani ostatecznego przeznaczenia czegokolwiek, co jest. A jednak od tego wielkiego Nieznajomego zdaje się zależeć nasz los; zdaje się, że do tego Nieznajomego ostatecznie wobec wszystkich wysiłków woli obliczającej, zakreślającej sobie plany i cele, słowem, wobec wszelkiej teleologii woli, należy ostatnie słowo w procesie historycznym, nadewszystko nam drogim; bo wyrażając się słowami Engelsa: co z tego wynika, to coś innego, niż to, czegośmy każdy zosobna chcieli. A teraz: czy to ciemne tło naszego bytu jest przyjacielem czy wrogiem naszej teleologii woli? W rozprawach „O przy-

rodzie“ i „Teizm“ Mill zajmuje się tym zagadnieniem, ale w inny sposób, jak na sto lat przed nim Dawid Hume (porówn. Sanger, w *Archiv fur die Gesch. d. Philos.* Bd. XIII, 3. Heft, str. 415 i nast.).

4. U wejscia do teodycei czytamy wyraz magiczny: „przyroda“. Jakie znaczenie moe tu miec ten wyraz? Postępowanie moralne jest przede wszystkim, pominawszy wszelkie inne okrelenia, postępowaniem *inteligentnym*, wybieraniem srodków do pewnych celów. Jakież to więce moe miec znaczenie, jeśli swiadoość moralna, ogladajaca się pod przymusem do działania za pewnymi normami i wzorami, odsyła do *przyrody*? Czyż „przyroda“ w całości albo częściowo zawiera procesy, któreby mogły służyć za pierwowzory postępków moralnych? Wskazówka, by iść za przyroda (*naturam sequi*), ciągnie się jakby fundusz żelazny, prawie poprzez wszystkie filozofje moralne i szkoły prawnicze czasów starożytnych i nowożytnych, tylko uzasadnienia i wnioski się zmieniaja. Stoicy, epikurejczycy, rzymscy prawnicy, wielcy nauczyciele prawa przyrodniczego i prawa narodów: Gentesius, Puffendorf, Hugo Grotius, Montesquieu, ojcowie i klasycy ekonomji politycznej, dla których „przyrodzona cena“, wogóle „prawa przyrody“ w gospodarstwie były utartymi wyrazami, wielcy panteiści od Bruna i Spinozy a do Goethego i Schellinga, deistyczni oświeciciele i teoretycy rewolucji w 18. stuleciu, a przede wszystkim Rous-

seau ze swym nawpół etycznym a nawpół estetycznym ubóstwianiem przyrody: oni wszyscy we wszystkich możliwych stopniach omówień pojęciowych i poetycznie patetycznych opiewają chwałę przyrody. Ażeby zamęt był zupełny, zarówno wierzący w Opatrzność, jak ateści, zgadzają się w tym hymnie pochwalnym; a z tych źródeł nauki i poezji masy czerpią pokarm; u mas, tak jak u ich przodowników i wychowawców, p o m i m o wszelkich krytyk teodycei, coraz to bardziej się wzmacza wiara w „przyrodę“, jako całokształt wszystkiego, co jest i co ma być. Do rozbioru tych zagałwanych i wielorakich pojęć zabiera się nasz filozof.

Naukowo „przyroda“ oznacza nazwę zbiorową dla wszystkich faktów doświadczenia wewnętrznego i zewnętrznego, dla wszystkich zjawisk rzeczywistych i możliwych, z włączeniem „sił“, zwykle uważanych za przyczyny ich zmian i wzajemnych stosunków. To w tym miejscu wystarczy. Ale w tym naukowym określeniu pojęcia nie uwzględniono potocznego zwyczaju językowego; wedle niego przeciwstawiają się „sztuka“ i „sztuczny“, „natura“ i „naturalny“ („przyroda“ i „przyrodzony“). Sztuka nie jest jednak bynajmniej nazwą osobnej niezależnej siły, lecz oznacza tylko zastosowanie sił przyrody do celów, z góry oznaczonych. Działalność człowieka ogranicza się przytym do zaprowadzenia między rzeczami pewnych kombinacji albo do

wywolywania w nich zmian położenia. Nawet wola, która powzięła postanowienie, umysł, który obmyślił wykonanie, i siła mięśni, która te poruszenia duchowe przywiodła do skutku, są siłami przyrody i jako siły przyrody, podlegają prawom przyrody, oznaczającym warunki, pod którymi zgodnie z doświadczeniem zjawiska występują i procesy się odbywają. Zalecenie, żebyśmy szli za tak zrozumianą przyrodą, wychodzi ostatecznie na zdanie tautologiczne: czyń, co musisz czynić.

Ale wzywać ludzi, żeby się stosowali do praw przyrody, gdy przecież do działania nie posiadają innych sił, jak te, które im daje przyroda, i gdy wszystko, co zdołają uczynić, dzieje się zgodnie z prawami przyrody — to oczywiście niedorzeczność. Lecz jeśli Goethe oświadcza: w rzeczach ludzkich nigdy nie wiem na pewno, co jest właściwe (albo prawdziwe), w przestawaniu z przyrodą zawsze wiem, czego się trzymać, albo jeśli Napoleon wypowiedział to znamienne zdanie: „J'ai un maître qui n'a pas d'entrailles, c'est la nature des choses“, a Carlyle, wielki antypod naszego Milla, oceniał ludzi wedle tego, czy brali tę naturę rzeczy, czyli to, co jest, za prawo swego postępowania: to rozumie się samo przez się, że ci mężowie nie obracali się w tautologjach. Mill to, co oni chcieli powiedzieć, wyraża mniej więcej tak: Człowiek z koniecznością słucha praw przyrody, czyli innemi

słowy, własności rzeczy; ale nie daje się im z koniecznością prowadzić. Przez obserwację „natury“ rzeczy nie możemy jej wprowadzić samej w sobie zmienić, ale przez inteligentne zastosowanie swego poznania możemy wedle swych celów posługiwać się jednym prawem przyrody, aby przeciwdziałać drugiemu, albo przez zmianę okoliczności poddać się jednej klasie praw przyrody, zamiast drugiej. Tak doszliśmy do pierwszej zasady wszelkiego postępowania inteligentnego. „Naturam sequi“ przechodzi w „naturam observare“.

Ale z tym omówieniem utartego prawidła mądrości życiowej nie posunęliśmy się znacznie dalej; bo ci, którzy głoszą „posłuszeństwo“ dla przyrody, nie chcą przez to postawić maksymy praktycznej, lecz etyczną zasadę podstawową. Postępowanie moralne jest czymś więcej, niż prostym postępowaniem inteligentnym— a filozoficzne określenie pojęcia „przyroda“ o tym nas nie poucza.

Ale może nam dopomoże „natura“ w tym znaczeniu, w którym wyraża przeciwieństwo do sztuki: natura, jako pojęcie zbiorowe rzeczy, pozostawionych samym sobie, z włączeniem wszystkich samorzutnych objawów życia, n.p. instynktów. Ale przez to wytworzyliśmy nową i jeszcze większą trudność, gdyż poszukując moralnej zasady działania, dalibyśmy jej, jako treść, samorzutny byt i pozostawienie rzeczy ich biegowi.

A to byłaby prawdziwa niedorzeczność. Bo moralna zasada działania—to właściwie już tautologia; niepoprzestawanie na tym, co nam jest dane, dążenie poza przyrodzone zapory bytu, układanie planów, łączenie, obmyślanie i przewidywanie, słowem, wszelkie stadją stawiania sobie celu—oto faktyczne pierwiastki podstawowe tego, co nazywamy moralnym. W rzeczywistości więc człowiek bardzo często staje wobec przyrody, jak wobec wroga, któremu trzeba podstępem albo gwałtem wydzierać jeden posterunek po drugim (podobnie wyrażają się Comte i Proudhon, który postęp do wolności nazywa „une conquête incessante de l'esprit sur l'animalité“; porówn. Jodl w m. przyt. II, 572). W tym znaczeniu wszelka pochwała cywilizacji, sztuki i techniki ukrywa w sobie naganę przyrody. Dlatego też wszelka próba przekształcenia zjawisk naturalnych i przystosowania ich do potrzeb ludzkości wydawała się po wszystkie czasy przedstawicielom religii oficjalnej podejrzaną; historia nowatorów, umysłów, torujących nowe drogi, których myślenie, tworzenie i kształtowanie działały jako dźwignia postępu kultury, jest wymownym protestem przeciwko temu sposobowi pojmowania i ubóstwiania natury, Ale nie tylko historia twórców kultury, lecz codzienna walka o byt każdego człowieka tuzinkowego. Walka przeciw przyrodzie materialnej—oto hasło; a ta walka odbywa się wśród najgwałtowniejszego przeklinania samorzutnego

biegu przyrody, który wciąż wpada w sprzeczność z naszymi pojęciami sprawiedliwości i życzliwości, czerpanemi k o n i e c z n i e ze sfery ludzkiego porządku społecznego i działającemi jako regulatywy dla naszych stosunków gospodarczych, prawnych i moralnych. Zbytecznie byłoby chyba przytaczać przykłady niezliczonych wypadków, w których „samorzutny“ bieg przyrody obraża nasze poczucie moralne i wydaje się jakby umyślnym urąganiem i znieważeniem sprawiedliwości i słuszności. Wobec takich wypadków dusza najbardziej wierząca się miesza, najufniejsze serce się chwieje; i wobec takiego pojmowania przyrody Voltaire zawsze będzie miał rację przeciw Leibnizowi. Morderstwo jest stosunkowo jeszcze najłagodniejszym środkiem matki przyrody do pouczania jej najniewinniejszych, a nawet najlepszych, najbezinteresowniejszych, „najidealniejszych“ dzieci. Wszyscy Domiejanowie świata nie mieliby dość fantazji, by wymyślić takie narzędzia tortur, jakich przyroda używa co dzień i co godzina; a im wyżej stoi człowiek w moralnym porządku świata, im ważniejszy jest jego byt dla jego narodu albo dla ogółu, im bardziej się uwydatnia wśród masy ludzi, której przyroda wciąż puszcza krew przez huragany, trzęsienia ziemi, pożary i głód, tym bardziej jego istnienie jest oddane na pastwę ślepemu trafowi. Słowem: ponieważ materialny bieg świata jest pełen potworności, jakich żaden człowiek nie mógłby się

dopuszczyć bezkarnie, przeto nie może być ani religijnym, ani moralnym naśladowanie przyrody albo branie jej nawet za wzór moralny. A zatem siły przyrody, wogóle wzięte, tylko o tyle mogą być uważane za zbawienne, o ile nas zmuszają do próby zapanowania nad niemi.

Co się zaś tyczy wspomnianych regulatywów moralnych naszego porządku społecznego, to one wszystkie są według Mill'a s z t u c z n e. Odwaga, czystość, sympatja, panowanie nad sobą, prawdomówność, sprawiedliwość—są to wytwory społeczne, a więc sztuczne, które wśród ogromnych trudności są wydarte z gleby dziko rosnących instynktów; ich powstanie można sobie wytłumaczyć z wzajemnego interesu ludzi w tym, żeby zarodki owych cnót dojrzewały. Nie natura taka, jaka jest nam dana i jaka się nam objawia, powinna być naszym wzorem, lecz „sztucznie wytworzona, a przynajmniej sztucznie udoskonalona natura ludzka najlepszych i najszlachetniejszych istot ludzkich jest jedyną naturą, której naśladowanie można zalecić“. Mill uwydatnia tu przeciwieństwo między przyrodą a sztucznością naszych urządzeń i wartości społecznych z taką ostrością, jaka nie licuje ani z konsekwencją jego etyki, ani przedewszystkiem z mocno zasłoniętą główną tendencją tych rozpraw religijno-filozoficznych. Ale do tej kwestji jeszcze powrócimy.

5. Mówiliśmy wprawdzie dotychczas, za przewodem Milla, o przyrodzie w ogóle; ale to pojęcie z konieczności zlekka i nieznacznie się zbliżało do innego, do pojęcia całości, uporządkowanej umyślnie i celowo, ustroju, kierowanego przez wolę inteligientną, którą nazywamy boską, ponieważ u niej zamiar i wykonanie zupełnie sobie mają odpowiadać, a życie celowe wpływać bez wszelkiego starcia. W udowodnieniu tej wiary w Opatrzność, posługującej się przyrodą, jako argumentem, pomija się sprzeczne doświadczenia powszednie, jako zbyt łatwe zarzuty umysłu, czepiającego się szczegółów, a zwraca się uwagę na pożytek dla całości. Wiadomo, że dobro może powstawać ze zła. Pożar, który zniszczył Londyn w r. 1766., zmusił do wystawienia kamienic na miejscu nędznych chat drewnianych i do uzdrowotnienia miasta. Choroba, powstała wskutek wykroczeń przeciwko dyjece, wskutek lekkomyślności albo przeciążenia pracą, czyni nas skromnemi i przyczynia się do przedłużenia życia. Nagła utrata żywiciela albo majątku albo jakiego innego oparcia materialnego budzi, jak tego dowodzi doświadczenie, wszędzie drzemiące inteligencje i hartuje wolę osierconych lub dotkniętych stratą. Człowiek tak dalece przyzwyczaił się do celowości, że wszystko, cokolwiek się stanie żywiołowego i nieprzewidzianego, zaraz wstawia do systematu swoich celów i nigdy nie waha się powiedzieć, „na co

się to może przydać". W dziedzinie samorzutnych objawów woli, w historii, rzecz się ma nieinaczej. Niezliczone zastępy męczenników, którzy krwią swoją użyźnili glebę pod swojemi stopami, były potrzebne, aby ślepią nieruchliwą masę obudzić z jej gnuśności i wychować przez oświatę. Jakkolwiek niesprawiedliwą w szczegółach może się wydawać ofiara z najwyższych naszych umysłów i gienjuszów moralnych: cel ostateczny zdaje się ją usprawiedliwiać. Z historii można łatwo wyczytać to przekonanie, jakoby gwoli drogocennej przyszłości trzeba w czasie teraźniejszym poświęcić to, co się ma najcenniejszego; nietrudno także ułożyć listę osławionych zbrodni historycznych, z których później wykwiłło dobro.

Ale pozostajmy przy przyrodzie. Tutaj walkę o byt, jak wiadomo, tak wyjaśniają, że służy do wyhodowania gatunków; a zastosowanie „filozoficzne“ nie dało na siebie długo czekać, skoro je poprzedziła skuteczna praktyka. Ale dajmy na to, że skutek został osiągnięty; dajmy na to, że całość zjawisk przyrodzonych i historycznych, pomimo niezliczonych sprzecznych, a więc ze swej natury antyteleologicznych wypadków poszczególnych, daje się pojmować jednoznacznie jako ruch ku jednemu celowi: to wtedy wynika fatalna antynomja, która Millowi musiała bardzo ciężać. Jeśli ten cel ostateczny, dajmy na to: wyhodowanie rasy, sam przez się

jest pożądanym, to cel ten w szczegółach urzeczywistnia się środkami niemoralnymi i antymoralnymi. Jakiegokolwiek nieprzewidziane dobrodziejstwa, powiada Mill, wynikać mogą ze zbrodni, a mówiąc ogólniej: z postępków niemoralnych albo zdarzeń pod względem moralnym obojętnych: zbrodnie pozostają zawsze zbrodniami. A to przecież znaczy: rachunek teleologiczny nigdy się nie zgadza, ani w całości, ani w szczegółach. Jeśli przyznamy cel, czyli, wyrażając się jaśniej, jeśli wymierzmy rzeczywistość, jako całokształt przyrody i historii, którąkolwiek z miar, uchodzących za moralne, wtedy musimy zaprzeczyć środków, które faktycznie służą mu w rzeczywistości; bilans się nie zgadza; aktywa i pasywa nie odpowiadają sobie. Jeśli zaś pasywa zastosujemy do aktywów, jeśli nasze wartości zaczerpnijemy z rzeczywistości kosmicznych i społecznych: wtedy one przestaną być moralnymi w tradycyjnym znaczeniu tego wyrazu. A w tym fatalnym bilansie, jak się zdaje, nie zmienia nic także warunkowa teleologia, jak n. p. Leibniza, który, jak na to wskazuje Mill, poprzestaje na tym, że świat, w którym żyjemy, nazywa najlepszym ze wszystkich możliwych światów.

Przed tym stanowczym zwrotem w wyczerpującym traktowaniu zagadnienia teleologicznego Mill się cofa, zbliżywszy się do niego w szczegółach. Bo Mill pozostaje przy wartościach moralnych takich, jakimi są. Idee sprawiedliwości, życzliwości, poświęcenia interesów osobistych na

rzecz interesu ogólnego mają panować; człowiek nie ma być nigdy używany za środek, ma być zawsze traktowany jako cel ostateczny; postęp—to stawanie się lepszym w tym znaczeniu, to nie stawanie się przezorniejszym i zręczniejszym, to nie posuwanie się naprzód poprzez innych: oto stałe punkty w Millowskiej krytyce teleologii. Z początku kieruje nim, przynajmniej taki jest jego zamiar, bez wątpienia myśl, że urzeczywistnieniu naszych wartości moralnych opierają się zapory kosmiczne i antropologiczne (jak je możemy nazwać); że nasze środki do wcielania wartości moralnych w życie, do wyprowadzania życia coraz to dalej poza nie samo w linii wciąż wstępującej, nie wystarczają wobec tych wrogich potęg, tkwiących w przyrodzie i w człowieku samym. Ale już zwróciliśmy uwagę na to, że w tym punkcie koniecznie się zjawia krytyka naszych wartości moralnych; może właśnie dlatego trafiają na opór, ponieważ są albo w całości, albo częściowo fałszywe. Albo może nawet takie zapory, jak mniemał Fichte, należą do warunków postępu moralnego? Gdyby Mill był spróbował ogarnąć zagadnienie w tym porządku logicznym, powinien był po kolei dowieść: że nasze najwyższe regulatywy społeczne, włączając do nich szczególnie moralne miary wartości, wynikły z natury ustroju społecznego; że one są stałe, o ile polegają na niezmiennych własnościach ludzkiej duszy jednostkowej i na

stałych warunkach życia społecznego; że są zmienne, o ile tamte własności i te warunki są zmienne; że przeto tylko te regulatywy i rozkazy (imperatywy), a nie żadne inne, są przystosowane do odczuwanych potrzeb życia społecznego, poznanych po części instynktywnie, a po części przez pojmowanie i rozwagę, oraz, że nasze zasady etyczne, w nowszych czasach wyśmiewane, jako wartości upadające, są zdrowe, t. j. są wytworami przystosowania się do przyrody i społeczeństwa. Ale co prawda, trzeba by dodać, że te wytwory przystosowania się są tylko najlepszymi z możliwych; że istniejące zapory antropologiczne i kosmiczne aż nadto się starają o to, żebyśmy zawsze byli świadomi niedostateczności tych wytworów przystosowania i ani na chwilę nie stracili paraliżującego poczucia ich odległości od ideału. Trzeba by jeszcze zwrócić uwagę na to, iż stąd też pochodzi, że wciąż jesteśmy zmuszeni przeciwstawiać je, jako wytwory „sztuczne“, tak zwanym naturalnym, oraz, że w samym życiu moralnym nigdy nie jesteśmy zadowoleni ze skutku swych usiłowań, lecz przeciwnie zawsze upadamy na duchu i nigdy nie możemy stłumić pragnienia transcendentnej podpory naszego systemu wartości... Nie uważam za rzecz trudną nawet albo właśnie ze stanowiska pozytywistycznego dostarczyć tego dowodu. Ale Mill nam go nie dostarczył; jednak jego rozprawa etyczna dostarcza do niego nieco

materiału. Natomiast napomyka, jak sobie wyobraża transcendentną podporę. Wiadomo, że młodszy Mill, jak zresztą i jego ojciec, w ostatnich latach życia skłaniał się ku nauce Manesa: jak w sercu człowieka, tak i w wszechświecie walczą dobro ze złem, światło z ciemnością, czyli wyrażając się pospolicie: Bóg z djabłem. Dualizm moralny tym sposobem staje się własnością wszechświata. Bóg, który zdaniem Milla daje się pogodzić z pozytywistycznym wyjaśnieniem faktów w przyrodzie i w dziejach, jest wszechdobrotliwy i wszechmądry, ale nie wszechmocny; jego moc znajduje zaporę w demonach ciemności. W każdym razie jestto dla człowieka pociechą i oparciem, skoro może wierzyć, że jego system wartości ma podporę transcendentną. Ponieważ Mill był fenomenalistą, możnaby tę wiarę i tak wyrazić: świat jako wyobrażenie (zjawisko) ma swoje uzupełnienie transcendentne, niejako swego tajnego sprzymierzeńca w częściowo dobrej woli świata.

6. Zapущiwszy się tak daleko na wody metafizyczne, musiał także zmienić swój stosunek do religii pozytywnych. Przekonanie, z którym Mill wstępował w życie, możnaby bardzo dobrze omówić słowami Schopenhauera („O religji“; mówi to Philalethes): religje są jakby robaczki świętojańskie, potrzebują ciemności aby świecić. To stanowisko zmieniło się znacznie w pismach pośmiertnych. Przypomnijmy so-

bie, że Mill, aby ocenić siłę moralną religji, zdecydował się pozostawić na uboczu, przynajmniej tymczasowo, kryterjum ich „prawdziwości w sobie“, i zbadać je tylko pod względem ich pożytku społecznego. Ale jeszcze w r. 1859. tego pożytku zbyt wysoko nie cenił; tak n.p. w rozprawie o wolności powiada o chrześcijaństwie: że ideał jego jest negatywny, że głosi zachowanie się bierne, mianowicie: niewinność zamiast szlachetności, unikanie zła zamiast energicznego szukania dobra; słowem, w jego naukach przeważa nienależycie zakaz „Nie powinienes“, nad nakazem „Powinienes“. Tymczasem Mill stał się później o wiele bardziej tolerancki, przynajmniej w ostatniej swej rozprawie, o teizmie; Bain, co prawda, tę tolerancję nazywa ustępstwem dla panującej teologii. Ale o teologii, o uznawaniu nauki o sprawach boskich, możliwości wiedzy o Bogu zapomocą natchnienia i objawienia niema tu wcale mowy, jak jej nie było przedtem. Wobec teologii zachowuje swe prawa krytyka biblijna (rational criticism). Nasz filozof poczytnje tylko chrześcijaństwu za wieczystą zasługę, że stworzyło ideał osoby boskiej w postaci Chrystusa i postawiło go przed oczami wiernych i niewiernych, jako miarę i wzór dla wszelkiej doskonałości moralnej (standard of excellence and a model for imitation). Jest to ideał Boga, a nie Bóg żydów albo Bóg przyrody, co według Milla rów-

nież wywiera wpływ zbawienny na umysły nowożytnie. Cokolwiek krytyka rozumowa zburzyć może w chrześcijaństwie, powiada Mill, „Chrystus nam pozostanie: postać jedyna, tak niepodobna do swoich poprzedników, jak i do swoich następców, nawet do tych, którzy korzystali z jego osobistych nauk. Nie ujmnie to nic tej ocenie, jeśli kto powie, że Chrystus ewangelji nie jest historycznym, że nie możemy wiedzieć, ile z tego, co w nim jest godne podziwu, zostało dodane przez jego zwolenników... [Bo] któż z jego uczniów albo z nawróconych przez nich potrafiłby był wymyślić mowy, przypisywane Jezusowi, albo wymyślić życie i ukształtować osobistość taką, jaka nam się przedstawia w ewangeljach? Z pewnością nie rybacy galilejscy ani św. Paweł, którego charakter i skłonności były zupełnie innego rodzaju; najmniej zaś pierwsi pisarze chrześcijańscy. Co mogło być dodane i wstawione przez ucznia, to można wyrozumieć z mistycznych części ewangelji św. Jana, które są zapożyczone od Filona i od platoników aleksandryjskich i włożone w usta Zbawicielowi, i to w długich mowach o sobie samym, czego w innych ewangeljach niema najmniejszego śladu... Wschód był pełen takich mężów, którzy takie rzeczy kradli skąd się dało, jak to później uczyniły rozliczne sekty wschodnich gnostyków. Ale na życiu i na mowach Jezusa jest wyciśnięte znamię takiej głębokiej myśli i taka osobista oryginalność, że—jeśli się

wyrzeczemy próżnego oczekiwania, iż znajdziemy dokładność naukową tam, gdzie chodziło o coś zupełnie innego—że stawiają Proroka z Nazaretu, nawet w przekonaniu tych, którzy nie wierzą w jego boskie natchnienie, w pierwszym rzędzie mężów najwznioślejszych, któremi rodzaj ludzki może się szczycić. Ponieważ ten nadzwyczajny umysł oprócz tego był jeszcze wyposażony w przymioty prawdopodobnie największego reformatora i męczennika, jaki kiedykolwiek żył na ziemi, to nie można powiedzieć, żeby religja uczyniła zły wybór, stawiając tego męża za idealnego przedstawiciela i przewodnika ludzkości; i teraz jeszcze niełatwo byłoby, nawet niewierzącemu, znaleźć lepsze przeniesienie prawideł cnoty z dziedziny abstrakcyjnej do konkretnej, niż takie życie, któreby Chrystus uważał dobrym. Jeśli nakoniec jeszcze uwzględnimy, że nawet dla sceptyka w każdym razie istnieje możliwość, iż Chrystus był rzeczywiście tym, za którego się sam podawał—nie Bogiem, bo nigdy nie miał najmniejszej pretensji do tego, żeby nim był; i w takim uroszczeniu byłby prawdopodobnie upatrywał równie wielkie bluźnierstwo, jak ci, którzy go skazali—lecz mężem, na którego Bóg wyraźnie włożył jedyne posłannictwo doprowadzenia ludzi do prawdy i cnoty: to z pewnością możemy wnosić, że wpływy religji na charakter, które przetrwają, choćby krytyka rozumowa wyczerpała całą swą siłę przeciwko dowodom religji, chyba

są godne zachowania, oraz że to, czego im nie-
dostaje pod względem bezpośredniej dowodności,
w porównaniu z dowodami innej, lepiej uzasa-
dnionej wiary, aż nadto jest zrównoważone wię-
kszą prawdziwością i czystością zasad moralnych,
które one sankcjonują“.

Ja sądziłbym tak: z tym idealnym wzorem
doskonałości moralnej przed oczyma i z tą mo-
żliwością transcendentnej pomocy dla naszych
usiłowań moralnych za plecami, można wyżyć
na tym świecie; a przymus do uważania „ludz-
kości“, owego „Grand-être“ Comtea, za przedmiot
jeśli nie czci religijnej, to przynajmniej ciągłego
uwzględniania w działalności społecznej, wymaga
znaczej modyfikacji i oczyszczenia. Nie można
wprawdzie wytworzyć rezonowaniem optymisty-
cznego odczuwania życia i szczęścia, a los od-
mówił naszemu filozofowi tego pięknego posagu.
Ale można przecież zapomocą argumentów pod-
nieść optymizm do znaczenia zasady życiowej.
A to, jak się zdaje, Mill osiągnął. Wpierw jego
słowa miały w miejscach rozstrzygających moc
tragiczną; można z nich odczuć, jak ciężko cier-
piał człowiek, który je wypowiada, pod ciężarem
zagadek i mroków życia, jak bardzo tęsknił do
stanowiska, z któregoby mógł na nie patrzeć bez
lęku. A teraz? Rozprawy nie są zupełnie wy-
kończone, ale takie, jakimi pozostały, nie mają
siły kojącej. Jakkolwiek silnie myśli prą do
ostatecznego wniosku, jakkolwiek świadomie dą-

żą do stanowczego wyjaśnienia: zawsze pozostaje w nich resztką niemocy. Spokój wydaje się sztucznym, ukojenie wymuszonym. Otrzymujemy wrażenie, jakby Mill zarazem wierzył i wątpił. Ten niedostatek tkwi mniej w rzeczy samej, niż w granicach jego natury: gdy stanął u ostatecznej granicy myślenia pojęciowego, nie dopisała mu jego wyobraźnia. Ażeby mógł przekonywać jako metafizyk, Mill zamało był artystą.

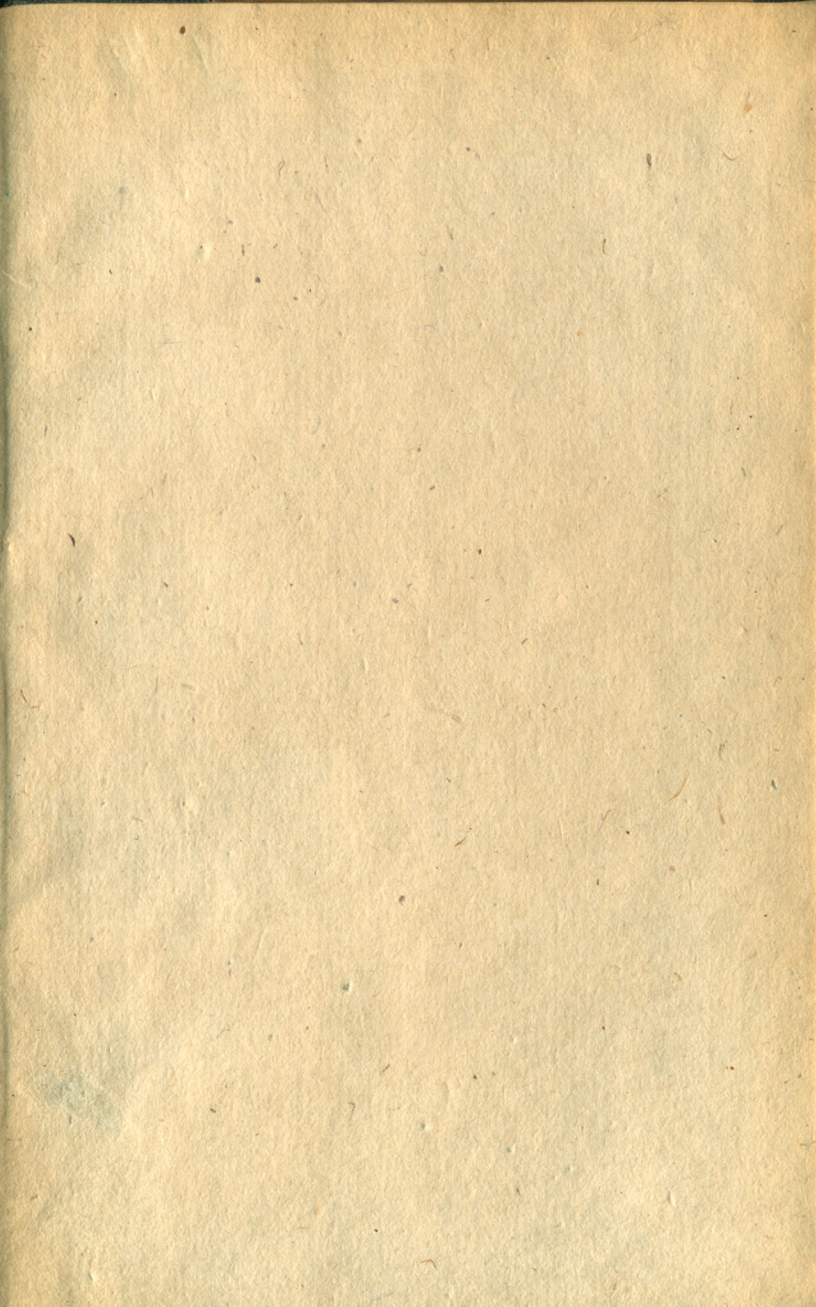


Spis rzeczy.

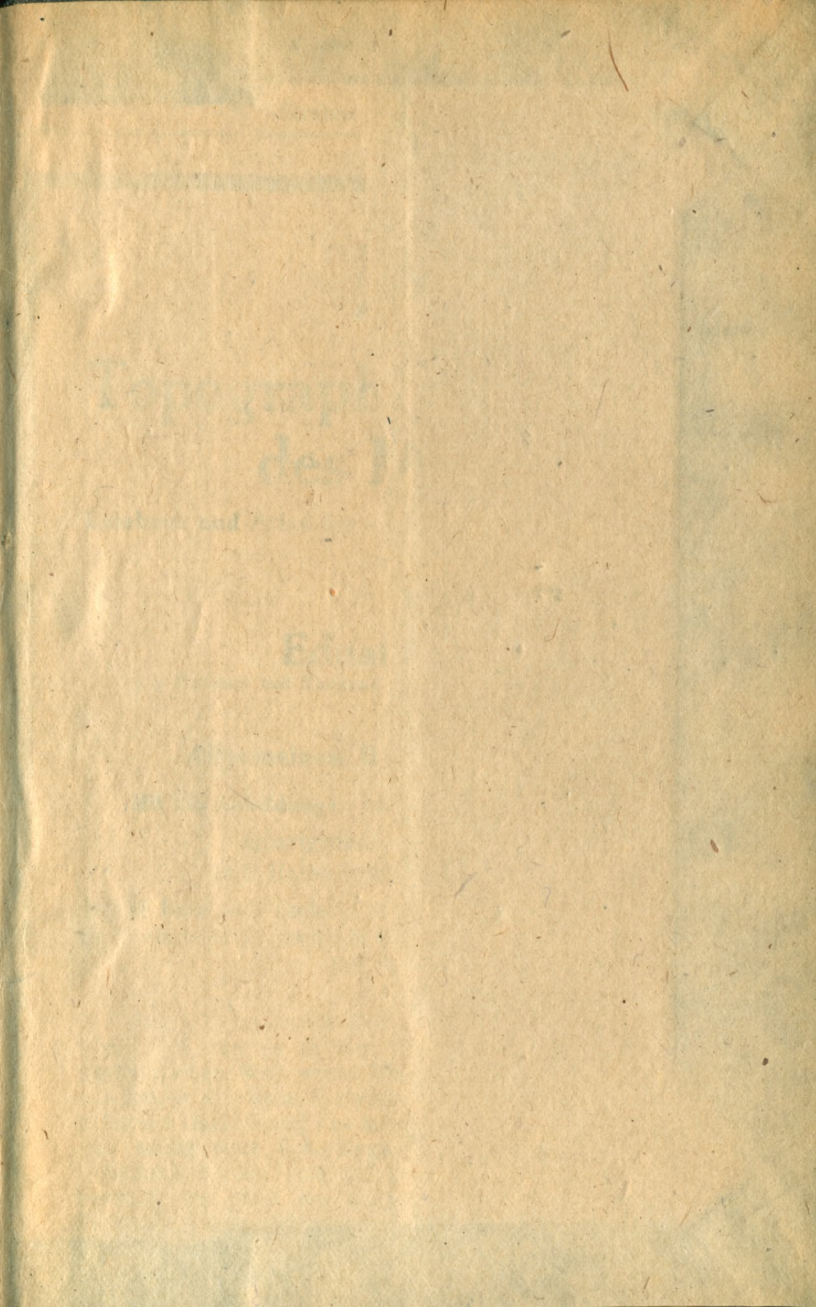
Rozdział pierwszy: Wstęp.	5
Rozdział drugi: Życie i cel życia.	23
1 Młodość i pierwsze wychowanie	23
2 Pierwszy stopień samokształcenia	39
3 Przewyciężenie benthamizmu	52
4 Wpływ Comtea na Milla	66
5 Lata żniw	85
6 Wpływ J. St. Milla na współczesnych i na potomność	90
Rozdział trzeci: Millowski system logiki dedukcyjnej i indukcyjnej	
1 Ogólny charakter Logiki Milla	99
2 Zdanie jako sąd, sąd jako akt wiary.	104
3 Co w zdaniu jest potwierdzone albo zaprzeczone	104
4 Dalsze szczegóły o znaczeniu sądów	107
5 Ogólna charakterystyka Logiki Milla	111
6 O wnoszeniu i wnioskowaniu	113
7 O wniosku sylogistycznym czyli sylogizmie	119
8 O indukcji	126
9 Prawo przyczynowości	141
10 Skala pewności	166
Rozdział czwarty: Logika nauk duchowych.	
O przyczynowości psychicznej i metodach nauk duchowych	179
Rozdział piąty: Fenomenalizm Milla	189
Rozdział szósty: Filozofja praktyczna	
1 O zasadzie moralności	201
2 Zastosowania	227
Rozdział siódmy: Rozmyślania o wieczności.	243

~~Akademia Lekarska w Gdańsku
Zakład Historii i Filozofii
Medycyny~~

~~nr. 94, zakup. Sychtówna Anna, Kołobrzeg,
dn. 20. IV. 1946, zł. 200~~



9214-



Biblioteka Główna
Akademii Medycznej w Gdańsku

009214



003-009214--000